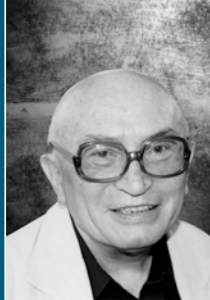


JACEK KAJTOCH



urodził się 7 lipca 1933 r. w Wadowicach. Od 1946 r. mieszka w Krakowie, gdzie ukończył III Liceum Ogólnokształcące im. Króla Jana Sobieskiego i Uniwersytet Jagielloński (polonistyka).

W 1967 doktoryzował się w WSP w Krakowie, promotor prof. dr Wincenty Danek. W latach 1955 do 1998 wykładał literaturę polską na Uniwersytecie Jagiellońskim. Przez kilka lat pracował w IBL PAN i PAN Oddział w Krakowie jako sekretarz Redakcji „Ruchu Literackiego” i serii popularno-naukowej PAN, „Nauka dla wszystkich”.

Jako publicysta literacki zadebiutował w 1956 r. w „Życiu Literackim”, z którym współpracował do likwidacji pisma. W latach 1957-1958 współredaktor periodyku młodych artystów „Zebra”. W latach osiemdziesiątych należał do Grupy Literackiej „Nadskawie”.

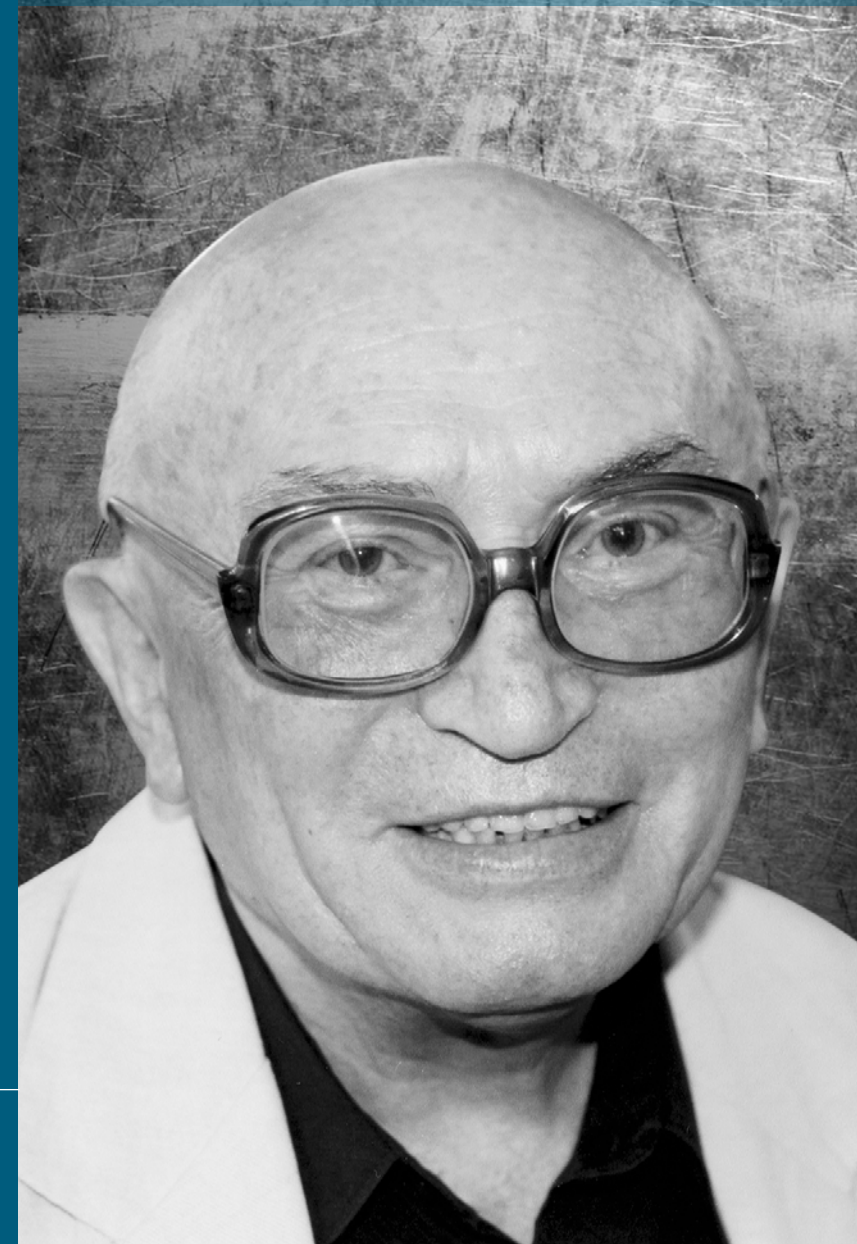
Zajmował się głównie: edytorstwem polskiej powieści historycznej i obyczajowej XIX wieku, nowelistyki XX w., rozwojem polskiej literatury regionalnej na Górnym Śląsku, ośrodkami literatury regionalnej w XX wieku, wydawaniem antologii poezji i prozy współczesnej, a przede wszystkim recenzowaniem nowości na łamach prasy. Brał udział w życiu społecznym i literackim Polski Ludowej.

WSPOMNIENIA I POLEMIKI

JACEK KAJTOCH

JACEK KAJTOCH

WSPOMNIENIA I POLEMIKI



WSPOMNIENIA
I POLEMIKI

JACEK KAJTOCH

WSPOMNIENIA
I POLEMIKI

KRAKÓW 2009

Wspomnienia

© Copyright by Jacek Kajtoch, Kraków 2009

Projekt okładki i opracowanie graficzne:
ŁUKASZ BUCHAŁA

Fotografia na okładce:
ANDRZEJ WALTER

Redakcja:
STANISŁAWA KASPRZYK

W suplemencie artykuł Wojciecha Kajtocha
pt. „Przygoda z „Wybiórczą”.

ISBN 978-83-7490-243-4

Wydawnictwo i drukarnia
Towarzystwa Słowaków w Polsce
ul. św. Filipa 7, 31-150 Kraków
tel.: (012) 634-11-27, fax: (012) 632-20-80
DTP (012) 633-09-41,
www.tsp.org.pl

CZY ZOSTAŁEM TYM, KIM CHCIAŁEM

Mam podstawy sądzić, że szkic „Z moich szpargałów”, opublikowany w „Prozie, prozie, prozie...”, t. II, został przez pewną liczbę osób przeczytany w Krakowie i w Polsce, prawdopodobnie był też komentowany, aczkolwiek – jak to jest dziś w zwyczaju – nie padło żadne słowo. Do mnie dochodziły tylko drogą prywatną komentarze, że moje autsajderstwo i krytyczny stosunek do środowiska bierze się stąd, iż nie zostałem profesorem UJ. Nawet uczelnianym. Przy czym życzliwsi podkreślali, że nie chciałem, a nie-przyjaźni – nie zdołałem. Takie postawienie sprawy zmusiło mnie do zadania sobie pytania: czy zostałem tym, kim chciałem? I znowu środowisko skomentuje: rychło w czas zastanawia się nad wyborem drogi życiowej na rok przed emeryturą.

1

Kim chciałem zostać?

Jako student zacząłem pisać do gazet i wtedy z pewnością myślałem o karierze dziennikarskiej. Rozpocząłem współpracę najpierw z „Gazetą Krakowską”. Szło mi średnio, lecz osiągnąłem poziom, usprawiedliwiający rozmowę z ówczesnym redaktorem naczelnym, Arnoldem Mostowiczem.

To był jeden z najinteligentniejszych ludzi w Krakowie lat pięćdziesiątych, ideowy komunista, lecz z otwartą głową. Jego późniejsza kariera zawodowa, twórcza i działalność społeczna ujawniły i potwierdziły wszystkie walory. Cenię go i lubię. A moją sympatię zyskał od razu, kiedy bez zbędnych wstępów powiedział, że przyjąć mnie do pracy nie może, ponieważ pochodzę z rodziny PPS-owskiej, mój ojciec należy do bliskich współpracowników Drobnera itp. itd., lecz łamów przede mną nie zamyka.

No i pisałem nadal, choć z kłopotami, gdyż nie wszyscy w „Gazecie Krakowskiej” wdrapali się na poziom swojego naczelnego. Zaczęły się konflikty. Napisałem np. recenzję „Odwilży” Ilii Erenburga, nie chciał jej puścić Leon Cukierberg uważając, że „Erenburg nie przysłużył się partii”.

Notabene z Leonem Cukierbergiem stykałem się też później, kiedy już jako Leon Cieślik pełnił obowiązki sekretarza odpowiedzialnego w „Życiu Partii”. Do PZPR wstąpiłem po XX zjeździe KPZR i naglej śmierci Bolesława Bieruta. Namówili mnie studenci do tego kroku. I oni także zachęcili do wysmażenia artykułu, wyjaśniającego, dlaczego tak późno. Istotnie, większość moich wybijających się kolegów, jak Zbigniew Siatkowski, Tadeusz Bujnicki, Stanisław Jaworski, od pewnego czasu już do partii należeli. Wyjaśniłem, że wstrzymywały mnie tak zwane „błędy i niedopatrzienia” i na zakończenie dodałem, że nie chciałbym nigdy żałować akcesu. Tego Cukierberg już nie wytrzymał i myśl moją zniekształcił, dopisując, że obawiam się dyscypliny partyjnej. A jednak to był uczciwy i porządny człowiek. Spreparowanego artykułu nie lubię, zawsze z niechęcią o nim wspominam, lecz nie potępiam Cukierberga. Miał chłop szczęście, po pewnym czasie wyjechał na placówkę dyplomatyczną do Moskwy i wkrótce zmarł na raka. Dobrze, że nie dożył 1968 roku, z pewnością pochłonęłaby go czystka, a traktowałby emigrację jako osobistą klęskę.

Nierzadko dochodziło do starć z Teresą Stanisławską. Chyba była zastępcą redaktora naczelnego i bardzo ortodoksyjną komunistką. Nawet nie dyskutowała. Dziś radykalnie zmieniona także z takimi jak ja nie rozmawia.

W dziennikarstwie krakowskim pracowało wielu uzdolnionych ludzi. Wspominam często Ignacego Krasickiego, który zamówił u mnie

artykuł na temat odradzającego się antysemityzmu po 1956 roku. Napisałem, opublikował. Po kilku latach przeżyłem duży stres z jego powodu. Wpadła mi w ręce książka Henryka Grynberga „Żydowska wojna”. Treść potraktowałem emocjonalnie, co mi się rzadko zdarzało, zawsze jednak czytałem ze ściśniętym sercem o losach moich żydowskich rówieśników podczas wojny. Słowem, „Żydowską wojną” bardzo się przejąłem i dałem temu wyraz, oceniając wysoko jako wiarygodny dokument. Podobnie potraktowałem po latach opowiadania „Wojna nie zabija matek” zapomnianego dziś pisarza, Jana Kurczaba, w których też dostrzegałem przejmujący dokumentaryzm. Opublikował mi ten artykuł o Grynbergu „Głos Młodzieży Wiejskiej”, a kiedy przyszedłem z numerem do domu, właśnie zaczynał się dziennik telewizyjny. Po dzienniku wystąpił Ignacy Krasicki, nazywając „Żydowską wojnę” utworem antypolskim. Poraził mnie cynizm tego człowieka. W dodatku po chwili odezwał się telefon. Dzwonił Zbigniew Siatkowski, gratulując publikacji. Zacząłem się bać, kilka lat wcześniej też gratulował mi pewnej recenzji, która stała się przyczyną mojego zwolnienia z pracy. Tym razem tak się nie stało.

Jeszcze jedno zdanie o Ignacym Krasickim: słyszałem, że pokutował, odbył spowiedź generalną, jest praktykującym katolikiem i stara się o repriwatyzację lasów koło Leska, należących do jego rodziny.

Upływały lata, pisałem, nigdzie nie będąc na etacie. Wreszcie dostałem ryczałt w „Głosie Młodzieży Wiejskiej” i to dzięki temu, że przypadkowo zobaczyłem niezręczną sytuację, w jaką wpakował się Stanisław Pięta, sekretarz propagandy KW PZPR, z powodu nieumiejętnego picia wódki i niepohamowanej namiętności do młodych mężatek. Znałem swoje miejsce: mogę pisać i redagować powierzony mi odcinek (proza artystyczna i współpraca z KKMP). Kierownicze stanowiska i zaszczyty nie są dla mnie. Zdarzył się taki śmieszny wypadek: „Głos Młodzieży” (tytuł zmodyfikowano) obchodził piętnastolecie. Był bankiet, nagrody i odznaczenia. Ilość i jakość nagród limitowana. Mogłem dostać tylko Srebrny Krzyż Zasługi, co odpowiadało zajmowanemu miejscu w rankingu politycznym. Mój uczeń, Stanisław Gawor, dostał Złoty Krzyż Zasługi, znowu odpowiednio do rangi w redakcji. Serdecznie mu gratulowałem i obecnie również żywię strzeliste uczucia. Nawiasem mówiąc: po kilku miesiącach „Głos Młodzieży” zlikwidowano, a mnie przeniesiono z tym ryczałcikiem do „Gazety Południowej”. Na krótko!

Miałem też w swojej – pożałujcie Boże – karierze epizod radiowy i telewizyjny. Nie pamiętam, kto zaprowadził mnie do telewizji, która gnieździła się jeszcze razem z Radiem na Szlaku. O ile się nie mylę, to Wojciech Pykosz, mający dobrą pozycję z powodu ojca, wziętego laryngologa, ordynatora w szpitalu Narutowicza. Zacząłem prowadzić magazyn kulturalny „Maszkaron”. Otrzymałem swoje dwie minuty. Pewnego razu poszedłem do Ośrodka Zdrowia i niewyraźnym głosem powiedziałem rejestratorce swoje nazwisko. Panienska już mnie miała zbesztać, spojrzała jednak wcześniej i odezwała się ze skrucą: – Przepraszam, nie poznałam od razu. – Innym razem szedłem mostem Dębnickim i usłyszałem komentarz: – To ten Kajtoch, który najlepiej prowadzi „Maszkarona”.

I nagle w sprawę wdał się Jerzy Broszkiewicz, który – po objęciu władzy przez Edwarda Gierka w grudniu 1970 roku – był bardzo ożywiony. Pamiętam, jak na zebraniu literatów na Krupniczej wystąpił z propozycją wysłania do Gierka depeszy, oceniającej jego przemówienie telewizyjne po zajęciu tronu – jako pierwsze w historii PRL – marksistowskie. Telegramu chyba nie wysłano, ponieważ nawet Władysław Machajek uznał ocenę za bezpodstawną i mimo woli ośmieszającą. Naudawców? Adresata?

Jurek postanowił podnieść poziom TV do standardów europejskich i zgłosił się jako wolontariusz do redakcji programów kulturalnych. Michała Sprusińskiego i mnie zabrał jako pomocników. Pracowaliśmy kilka tygodni bez honorariów, dopuszczano nas jednak i do głosu, i na wizję. Działalność tak szybko się urwała, jak zaczęła. Zawaliłem podczas prowadzonego na żywo wywiadu z Tadeuszem Hołujem, zwracając się do niego per „proszę pana”. – Do towarzysza Hołuja mówić proszę pana? To skandal! – miał to wydarzenie skomentować do ucha Wiesława Molika, naczelnego Telewizji, mój bardzo zdolny i z mocną pozycją w Krakowie kolega. Niedługo potem otrzymał Nagrodę Miasta Krakowa, znalazłem się w pobliżu na jakiejś wystawie w Pałacu Sztuki, kiedy z wylewnością dziękował za nią Kazimierzowi Barcikowskiemu, ówczesnemu pierwszemu sekretarzowi KW PZPR.

Praca w TV imponowała mi i chętnie bym tam dłużej pozostał. Chyba zabiegałem o nią u niekompetentnych osób, bo efektu widać nie było. Po dłuższym czasie zatelefonował do mnie Andrzej Kozanecki, kolejny sekretarz propagandy KW, z propozycją, żebym do niego wstąpił,

to porozmawiamy o pracy. Byłem już jednak w takim stopniu sfrustrowany, że grzecznie podziękowałem. Wiele mnie ta odmowa kosztowała, można ją było traktować jako niekonsekwencję, dziś ją oceniam jako dalekowzroczną. Bo kimże byłbym aktualnie? Zgorzkniałym redaktorem TV na wyproszonej u lekarzy, a może i zasłużonej kilkoma zawałami, rencie.

Dlaczego byłem sfrustrowany? Otóż trochę wcześniej, czy mniej więcej w tym samym czasie, jeden z warszawskich kolegów, który wybierał się za granicę, zaproponował mi, abym go zastąpił w „Walce Młodych”. Plany spaliły na panewce, jak mi tłumaczył, z powodu sprzeciwu samego Zenona Kliszki, który stwierdził, że na tak odpowiedzialne stanowisko jestem za młody. A przecież od dłuższego czasu pełniłem funkcję sekretarza odpowiedzialnego w redakcji „Ruchu Literackiego”. Ale to było czasopismo naukowe, decydenci inaczej rozumowali (finansował PAN, Oddział w Krakowie), nie podlegało tzw. nomenklaturze.

Rektor Mieczysław Karaś za niedługo sprawił, że znowu miałem swoich kilkadziesiąt sekund. Sprowadził mnie z powrotem na Uniwersytet Jagielloński i kazał zorganizować Podyplomowe Studium Dziennikarskie przy Instytucie Filologii Polskiej (1972). Inauguracja nastąpiła po kilku miesiącach. Z przerwami pracowałem dziesięć lat, w tym część za darmo, o czym pisałem we wspomnianym szkicu pt. „Z moich szpargałów”. W sumie był to dobry okres w moim życiu. Jeszcze niedawno prof. Walery Pisarek z Ośrodka Badań Prasoznawczych (a propos: mogłem i tam pracować po tragicznej śmierci Ireny Tetelowskiej, dzisiejszy znakomity językoznawca i prasoznawca proponował mi stanowisko sekretarza. Prasoznawstwo mnie nie interesowało, do Ośrodka przyszedł Tomasz Goban-Klas, spełniający te same co ja warunki. Otworzyła się przed nim kariera, na co w pełni zasługiwał) przy różnych okazjach przedstawiał mnie jako tego, kto reaktywował studia dziennikarskie na UJ. Wzbogaciłem swoją wiedzę o rzeczywistości. Po pierwsze: zrozumiałem, że o pracy w dziennikarstwie decydują wyłącznie Komitety PZPR. Zatem starania o etat zaczynałem zawsze od złej strony. Ta konstatacja uspokoiła mnie, ponieważ już wpadałem w kompleksy, że jestem tak mało zdolny i na nic nie zasługuję. Po drugie: rozumiałem, że jest to zawód całkowicie zależny od politycznych decydentów i w rezultacie, niestety, sprostytuowany. Pewnego razu podejmowałem delegację z Wy-

działu Dziennikarskiego Uniwersytetu im. Łomonosowa. Chcieli zobaczyć program studiów. Według mnie był jak na tamte czasy nowoczesny, dużą rolę w jego opracowaniu odegrał prof. Walery Pisarek. Jeden z gości zainteresował się wykładem i ćwiczeniami z prawa komunikowania masowego (wykładał mec. Jerzy Parzyński). – Co to jest prawo komunikowania masowego? – ja nędzną ruszczyzną tłumaczę. Gość się zdenerwował i mówi: Żadne prawo komunikowania masowego nie jest potrzebne, dla dziennikarza jedynym prawem są dyrektywy partyjne.

Rektor Karaś wpadł na pomysł, żeby prominentom krakowskiej prasy przyznać tytuły magisterskie na podstawie twórczości publicystycznej. Studiowali, ale nie mieli wytrwałości i dyscypliny wewnętrznej, koniecznej do zwieńczenia kilku lat studenckich – magisterium. Powołano komisję, której przewodniczył Dziekan Wydziału Filologicznego, doc. Jerzy Rusek, a ja byłem członkiem. Daliśmy magisteria znanym osobom, mój podpis figuruje m. in. na protokole wieńczącym edukację Macieja Szumowskiego, Andrzeja Urbańczyka i kilku innych. Był to jeden z najbardziej szokujących pomysłów rektora Karasia.

Na swoich uczniów nie narzekam, dobrze się wspominamy. Tylko jeden magistrant mnie zawiódł: Andrzej Urbańczyk, kiedy na początku 1990 roku został redaktorem naczelnym „Gazety Krakowskiej”, od razu odebrał mi rubrykę „O autorach i książkach”, którą prowadziłem przez osiem lat (oczywiście na wierszówce). Chciał się chyba uwiarygodnić w oczach opcji, która nie podzielała moich poglądów na literaturę, społeczeństwo i politykę. Ale bezskutecznie, nie uwierzono mu, po kilku tygodniach opuścił gabinet, a wymówienie wręczono mu również w nie najlepszym stylu. Na schodach!

Prawdopodobnie nikt nie wie, że mogłem zostać sekretarzem redakcji „Życia Literackiego”. Tak jest! Złożył mi taką propozycję Władysław Machejek w marcu 1981 roku. Odmówiłem grzecznym listem z 17 III 1981, który w całości przytoczę:

„Szanowny!

Przez kilka dni myślałem o propozycji przejścia na sekretarza „Życia Literackiego”. Jeszcze raz dziękuję za pamięć. Niestety, nie mogę jej obecnie przyjąć. Lekarz stanowczo odradza mi przerwanie kuracji. Jak wspominałem, od 10 II jestem na rocznym urlopie dla poratowania

zdrowia. Szkoda, że nikt nie pomyślał o takiej ofercie kilka lat wcześniej, kiedy cechował mnie formalnie głód pracy i aktywności społecznej. Teraz wypaliłem się.

Z pozdrowieniami Jacek Kajtoch”

Wracam do pytania: byłem publicystą, czy nie? Zrealizowałem zamiary, czy nie? Współpracowałem z kilkoma gazetami i czasopismami (o redagowaniu „Zebry” pisałem poprzednio), napisałem kilkaset, a może więcej artykułów i recenzji. Dopiąłem swego, chociaż nigdy nie miałem w kieszeni legitymacji prasowej i nie należałem do SDP. Dzięki Bogu, byłbym w 1990 roku wystawiony na targ i sprzedany wraz z tytułem. Nie lubię takich sytuacji.

2

Na studiach ożeniłem się i zostałem ojcem (córka Marta, dziś Bełowa). Żona co prawda miała etat w „Gazecie Krakowskiej”, ale jej sytuacja nie była najlepsza. Źle wyszła za mąż! Na jakiejś naradzie przywitała się z Bolesławem Drobnerem, a wtedy, zresztą i dzisiaj, nie było zwyczaju podawać publicznie ręki ludziom nie na topie. Nie rozmawiałem z nią na ten temat, ale głos wewnętrzny mi mówił, że długo ona na Wielopolu nie pozostanie: była za szczerą, zbyt naiwna, zbyt poważnie podchodziła do swoich obowiązków. Za kilka lat tak właśnie się stało, została zwolniona pod zarzutem wyznawania „światopoglądu drobnomieszczańskiego” (taki mniej więcej zarzut postawiono w „Nowych Drogach” czy „Życiu Partii”). Nigdy nie miała odzyskać stanowiska pierwszoplanowego w prasie, co nawiasem mówiąc aktualnie oceniam pozytywnie, nie stała się tym, kim jej koleżanki i koledzy, opublikowała jedenaście książek, a – da Bóg! – będzie więcej.

Przed zwolnieniem urodziła syna (Wojciech, od roku adiunkt UJ.) Nie mogłem zostawić jej samej z tą parką. Zrezygnowałem z wyjazdu do Paryża (zostałbym lektorem na Sorbonie, mój zwierzchnik jest profesorem „belwederskim”).

Musiałem starać się o jakieś stałe zajęcie, najlepiej – zgodne z moimi zainteresowaniami. Poszedłem do Aleksandra Słapy, dyrektora Wydawnictwa Literackiego. Niewiele o nim wiedziałem. Ktoś mi powiedział,

że pracował u Gebethnera i Wolffa, inny, że był przedwojennym lewicowcem. To sprawiło, że się odważyłem. Przyjął mnie bardzo uprzejmie, ale długo nie rozmawialiśmy, od razu dowiedziałem się o braku etatu. Po kilku tygodniach prawda wyszła na jaw, etat miał, przyjął moją koleżankę, Wandę Błońską. Brakło mu odwagi Mostowicza. Bardzo długo nie docierało do mnie, że powinienem być w jakimś układzie: albo partyjnym, albo towarzyskim. Inaczej niczego nie osiągnę. A mnie po prostu przeszkadzały wątpliwości, stalinizm odrzucałem, dlatego tak późno wstąpiłem do PZPR, buntowałem się jednocześnie przeciwko układom opartym na pochodzeniu i wspólnocie interesów. Ten mój przekłety rodowód!

W genealogii miałem dziadka wójta i dziadka stolarza. Byłem uparty!

Nie pamiętam, kiedy i kto przedstawił mnie Wincentemu Dankowi. Nasza współpraca przedstawiała się bardzo różnie, pod koniec nawet źle, tak że musiałem zrezygnować w połowie lat siedemdziesiątych ze współredagowania „Ruchu Literackiego”, nie zmienia to jednak faktu, że on był drugim, który podał mi rękę.

Pierwszym był oczywiście Wacław Kubacki. Byłem jego seminarzystą, on uczył mnie podstaw filologii i edytorstwa, u niego napisałem i obroniłem pracę magisterską na temat powieści obyczajowych Kraszewskiego.

Jako publicysta właściwie zadebiutowałem w październiku 1956 w „Życiu Literackim”. Pani Ewa Głębicka z IBL PAN, przygotowując mój biogram do „Współczesnych polskich pisarzy i badaczy literatury” t. 4, wypomniała mi wcześniejszy o rok artykuł o „Latarni czarnoksiężskiej” w „Gazecie Krakowskiej”. To był właśnie fragmencik pracy magisterskiej. Większe fragmenty opublikował profesor Henryk Markiewicz w „Zeszytach Naukowych UJ” (1957). Mój start odbył się pod znakiem Wacława Kubackiego. Do nielicznych pogodnych dni w moim życiu zaliczam 1 maja 1955, kiedy zebraliśmy się wszyscy – profesorowie i studenci – pod Gołębią 20. Do mnie podszedł profesor Wacław Kubacki i powiedział: – Wczoraj przeczytałem kolegi pracę, postawiłem ocenę bardzo dobrą, gratuluje. Późniejszy o kilka tygodni egzamin nie poszedł jednak tak gładko, recenzentem był Tadeusz Ulewicz, który wycisnął ze mnie siódme poty, dopytując się o różne szczegóły. Wyszedłem obroną

ręką, nawet przeczytałem po francusku jakąś monografię Balzaca. Tę informację dedykuję tym, którzy sądzą, że w 1955 roku na Uniwersytecie mówiono po rosyjsku.

Wracam do profesora Wacława Kubackiego. To jedyny człowiek, który mi sam zaproponował pracę – asystenta w Katedrze Historii Literatury Polskiej. Jak wiem, nie poszło mu to łatwo. Pierwszym etatem, o jaki się postarał, zadysponował Komitet Uczelniany inaczej – dostał go Tadeusz Bujnicki. Muszę przyznać, że decyzja była dobra, zważywszy późniejsze osiągnięcia protegowanego. Dopiero drugi etat dostałem ja. Trzeci – Stanisław Grzeszczuk, też wybór nader trafny. Żałuję, że profesor po kilku latach zrezygnował z pracy na uczelni, w ogóle z kariery naukowej. Zdążył jeszcze wysłać mnie jako stypendystę do Wilna z zadaniem odnalezienia i przestudiowania rękopisów Kraszewskiego.

Pierwsze moje zatrudnienia edytorskie wynikały z udziału w pracach Komitetu Wydawniczego w Ludowej Spółdzielni Wydawniczej, który, pod kierownictwem Wincentego Danki i Juliana Krzyżanowskiego, podjął się wznowienia na poziomie popularnonaukowym powieści historycznych Kraszewskiego.

Opracowałem kilkanaście powieści z korzyścią moralną i finansową. Do dzisiaj służą nam meble, które kupiłem za „Jaszka Orfanem zwanego żywota i spraw pamiętnik” (1958). Nie byłem z tej pozycji zadowolony. W pierwszym egzemplarzu dostrzegłem sporo błędów drukarskich. Błędy poprawiłem w kolejnych wydaniach, ale przez trzydzieści kilka lat pracy prześladowało mnie fatum, że choćbym jak najbardziej przykładał się do korekt, to i tak część błędów zobaczyłem dopiero po zakończeniu druku.

W tamtych latach wznowianie powieści historycznych sprawiało dzisiaj może nawet niezrozumiałe kłopoty. Doświadczyłem tego przy okazji „Diabła”. W wileńskim rękopisie dostrzegłem sporo skreśleń cenzuralnych, które, rzecz jasna, pragnąłem przywrócić we wznowieniu. Okazało się to niemożliwe. Akcja „Diabła” rozgrywa się pod koniec XVIII wieku w Warszawie. Rosyjski cenzor tropił wszystkie wzmianki o patriotycznych nastrojach Polaków, powstaniu Kościuszki, deklaracje religijne itp. Ku mojemu zaskoczeniu LSW podzieliła zastrzeżenia sprzed wieku i wydawało się, że pracowałem na darmo. maszynopis chciałem zrazu spalić, a potem głęboko schowałem w szafie. Załamał

się reżym Gomułki, Edward Gierek na początku swoich rządów dbał o image liberała. Żona przypominała mi o maszynopisie „Diabła”. Posłałem do wydawcy bez wiary w powodzenie. Udało się jednak: „Diabeł” się ukazał (1972), ale tylko raz, kiedy inne powieści miały kilka wznowień.

Gorzej potoczyły się losy powieści Michała Czajkowskiego pt. „Stefan Czarniecki” (1961). W wydawnictwie dosłownie tekst zmasakrowano. Jeśli ktoś przypadkiem czytał tę starą i zapomnianą powieść, to wie, że podobnie jak w późniejszym „Potopie” wydarzeniem centralnym jest obrona Częstochowy. Czajkowskim kierowały intencje patriotyczne i religijne. Wydawca usunął wszystkie deklaracje patriotyczne i religijne. Szczególnie znęcał się nad wzmiankami o Matce Boskiej Częstochowskiej. Usiłowałem pertraktować, bezskutecznie, uprosiłem postawienie na pierwszej stronie adnotacji, jakoby to było wydanie popularne i skrócone. Do białej gorączki doprowadziła mnie recenzja Alicji Lisieckiej w „Nowych Książkach”, która zarzuciła mi niechlujne opracowanie tekstu i liczne opuszczenia. Tak prominentna osoba, związana ze Stefanem Żółkiewskim, wpływowa redaktorka „Nowej Kultury”, udawała, że nie wie o niekompetencji i szaleństwach cenzury! Nie lubię faryzeuszów!

Półroczne stypendium w Wilnie przynosiło efekty kilka lat. Z uporem starałem się o przywrócenie fragmentów skreślonych przez cenzurę. Udało mi się to w wypadku „Diabła”, „Powieści bez tytułu”, „Latarni czarnoksiężskiej”, „Historii kołka w płocie”, „Ulany”. Rozumiałem niedolę Kraszewskiego, bądź co bądź starszego kolegi, chociaż o zasługach nieporównywalnych. Wiedziałem z praktyki własnej, co to jest cenzura, niwelowałem skutki jej działalności w dorobku Kraszewskiego, a wewnątrz kołatała wątpliwa nadzieja, że ktoś w przyszłości pochyli się nad moimi szpargalami i wydobędzie na wierzch właściwe zamiary.

Powieści współczesne Kraszewskiego wznowiałem w Wydawnictwie Literackim, z którym lepiej mi się współpracowało, ponieważ tam, mimo że kierownictwo było zawsze polityczne, zespół redaktorski składał się z wybitnych fachowców, wychowanych przez Stanisława Pigonia w takim samym jak ja kulcie rzetelnej i bezpartyjnej tekstologii. Dobrze myślę zwłaszcza o paniach: Marii Rydlowej, Janinie Bahrowej, Wiesławie Otto-Weissowej, aczkolwiek wiem, że nie zawsze byłem na poziomie ich oczekiwań. Korzystałem ze współpracy z nimi i na zawsze pozostały w moim sercu. Z Żukiem Pocięgą przyjaźniłem się. Marka

Halawę protegowałem do pracy i osłaniałem, kiedy miał kłopoty z powodów politycznych.

Moja współpraca z LSW i WL-em zaczęła się psuć w latach osiemdziesiątych. Było mi przykro, kiedy LSW nawet nie odpowiadała na moje listy. Ze wznowień powieści Kraszewskiego usunięto moje posłowania i przypisy, oparte zawsze na badaniach źródłowych. Umarł Wincenty Danek, umarł Julian Krzyżanowski, ich miejsca zajęli profesorowie nowego chowu, wyrosli w atmosferze partyjniactwa, jakby to powiedział Kazimierz Wyka. Kraszewski wyrażał się inaczej – cytuję z pamięci – „Zmaleliśmy, skarleli i bronimy się naszych przodków cnotami”. Nie mogę zrozumieć, jak można pogodzić z elementarną kulturą naukową fakt, który – nie ukrywam – boleśnie mnie dotknął. Otóż uczeń tych samych co ja profesorów, wznowiając „Ulanę” nawet nie wspominał o moich ustaleniach tekstu i przywróceniu skreśleń cenzury. Filolog by tak nie postąpił. Gdyby nie akceptował mojego rozwiązania, toby napisał, dlaczego. Kraszewski znowu padł ofiarą cenzury.

Wacław Kubacki odegrał dużą rolę w moim życiu. Dzięki niemu pokochałem Wilno. Poznałem wartościowych ludzi.

Po mieście oprowadzał mnie Jerzy Orda, jedyny doktor Uniwersytetu im. Stefana Batorego w radzieckiej Litwie, w każdym razie – na wolności. Opowiadano o nim różne anegdoty. Podobno na szkoleniu w archiwum wileńskim, a w Związku Radzieckim archiwa podlegały ministerstwu spraw wewnętrznych, kiedy tematem była anarchia w „pańskiej” Polsce, w oryginalny sposób bronił liberum veto (jak mi mówił, był anarchistą w duchu św. Augustyna), mianowicie odwoływał się do stosowania tego środka przez Związek Radziecki w Radzie Bezpieczeństwa ONZ. Przyjaciele chcieli mu pomóc w nostryfikacji polskiego doktoratu, warunkiem było zdanie egzaminu z marksizmu leninizmu, stanowczo odmówił. A kandydat nauk to dodatek do pensji i prawo do osobnego pokoju! Doktor Orda pomógł mi w moich poszukiwaniach. Udostępnił akta kancelarii generała gubernatora Dołgorukowa.

Nie dotarłbym do „gospodarki cenzury” w powieściach Kraszewskiego bez pomocy Władysława Abramowicza. Porządny człowiek i również oryginał. Pragnął w tamtych czasach umacniać przyjaźń polsko-litewską. Przyniósł mi interesujące rękopisy. A trzeba pamiętać, że w bibliotekach rosyjskich działy rękopisów nie miały ogólnie dostępnych

katalogów. Gdyby nie zawodowa uczciwość i życzliwość Abramowicza, wyjechałbym z Wilna z kwitkiem.

Efektem serdecznego stosunku do Wilna była też wydana we współpracy z Krzysztofem Woźniakowskim mała książeczka: „Współczesna polska poezja Wileńszczyzny” (1986). Są w niej wiersze zdolnych poetów, m. in. Sławomira Worotyńskiego, Henryka Mażula, Romualda Mieczkowskiego. Jestem do tej antologijki bardzo przywiązany. Jest co prawda pomijana w różnych przeglądach, niemniej nic nie może zmienić faktu, że była to pierwsza po drugiej wojnie światowej publikacja dokumentująca polską obecność na wschód od ustalonych w Jałcie granic. Polskie życie literackie w Wilnie nie skończyło się na „Żagarach”! Kłopoty z publikacją były spore. Po wieloletnich staraniach znaleźliśmy nakładcę (Wydawnictwo „Polonia”). Co z tego, gdy nakład leżał gdzieś w piwnicy, nie rozprowadzany, chodziły słuchy, że ktoś interweniował w Ambasadzie radzieckiej, upatrując w tej stustronicowej pracy przejaw polskiego nacjonalizmu, a może zamiarów rewindykacyjnych. Kilka egzemplarzy rozesłałem po znajomych. Pisano do mnie z Gdańska, że antologia jest kserowana i w tej formie rozprowadzana wśród wilniuków. To była satysfakcja. Ja nie pragnąłem być autorem książek w drugim obiegu. Należałem do orientacji neopozytywistycznej i praktykowałem, jakby powiedział Henryk Markiewicz, organicznikowski legalizm. Zwróciłem się o pomoc do Aleksandra Krawczuka, Ministra Kultury i Sztuki. Pomogło! Książka nie była jednak rozchwytywana. W latach osiemdziesiątych Polacy nie interesowali się byłymi Kresami Wschodnimi.

Jestem przywiązany do kilku antologii: „Czy „mały realizm?””, „Debiuty poetyckie”, „Rodowody”, „Starty”. Dziesięć lat pracy i współpracy z Jerzym Skórnickim.

Połączyła nas Henryka Broniatowska, zwana w kręgach bliskich współpracowników po prostu – Rysią. Poznałem ją na posiedzeniach Komisji Kultury KC ZMS, gdzie grała pierwsze skrzypce z kilku powodów: żyła w cieniu autorytetu swojego sympatycznego męża, „dąbrowszczaka”, pierwszego szefa Urzędu Bezpieczeństwa w Warszawie, odsuniętego później od pracy na pierwszej linii wewnętrznego frontu, zawsze jednak figury w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Sama Rysia z dumą opowiadała o początkach swojej działalności w szeregach I Armii Ludowego Wojska Polskiego. Aktualnie była zastępcą redaktora

naczelnego „Iskier”, wydawnictwa związanego z ruchem młodzieżowym, chyba w ogóle powołanego dla jego obsługi książkowej. Rysię bardzo lubiłem, aczkolwiek nie zawsze się z nią zgadzałem. Pamiętam, jak mnie besztła, kiedy nie mogłem pojąć przyczyn zaostrzenia kursu w polityce kulturalnej po jakimś pobycie Nikity Chruszczowa na wystawie obrazów w Moskwie i wyrażanej tam przez niego dezaprobaty dla nikłych śladów technik nierealistycznych. Telefonowała do mnie do Krynicy, gdzie się kurowałem po operacji woreczka żółciowego, żeby mi to wyjaśnić. Druga scysja była związana właśnie z „małym realizmem”. Głośno było o nim w prasie literackiej, wpadłem więc na pomysł, aby wydać poświęcony mu almanach problemowy. Zareagowała na mój list, przyjechała do Krakowa (w lecie 1966) i postawiła kawę w „Cracovii”. Powiedziała mi z miłym uśmiechem (wtedy jeszcze tak się nie zaciętrzewiała jak dziś), że jestem za młody i bez autorytetu, ona nie może ryzykować ze mną umowy, proponuje współautorstwo Jerzego Skórnickiego. Zanim ochłonałem i zdążyłem coś odpowiedzieć, nadszedł elegancki i sam grzecznie uśmiechnięty Jerzy Skórnicki, z którym nas wcześniej umówiła, nie dopuszczając nawet myśli, że ja mogę się jej opierać.

Jerzego Skórnickiego znałem z polonistyki UJ. Zasiadał prawdopodobnie jako czynnik społeczny w komisji, która przyjmowała mnie na studia, zresztą nie bez oporów, ponieważ wypracowanie napisałem bardzo niewyraźnie i miał kłopoty z odcyfrowaniem, mój ojciec musiał biegać do profesora Taszyckiego, żeby mnie wytłumaczyć. Później Skórnicki wprowadzał mnie w zawile arkana nauk pomocniczych. Co miałem zatem robić? Wytresowany w Liceum Ogólnokształcącym im. króla Jana III Sobieskiego i na seminariach u Kubackiego, Kleinera, Klemensiewicza, Dłuskiej itp., lekko się kłaniając, z twarzą wykrzywioną uśmiechem wyraziłem radość z perspektywy współpracy. Notebene: jeszcze raz się sprawdziło, że najlepsze są małżeństwa z rozsądku: ja dawałem pomysły, wykonywałem prace redakcyjne, pilnowałem autorów, Skórnicki miał wielką siłę przebicia. Pomysły także: drugą antologię, „Debiuty poetyckie”, wymyślił w jego gabinecie w Wydawnictwie Literackim wspólnie.

Almanach „Czy „mały realizm?”” (1967) cieszył się nawet dużą sławą. Wypowiedziało się na jego temat kilkunastu poważnych krytyków, wspomina go Marta Fik w „Kulturze polskiej po Jałcie”, chociaż zapo-

mniała wstawić mojego nazwiska do indeksu, co mnie uraziło, bo to potraktowałem jako jeden z pierwszych zapisów na moje nazwisko, dzisiaj już się przyzwyczaiłem. To nie znaczy, że dobrze odczytano nasze intencje. Piotr Kuncewicz np. w V tomie „Agonii i nadziei” przedstawia moją skromną osobę jako kodyfikatora „małego realizmu”. Podkreśla też, że na taki pomysł można było wpaść jedynie poza Warszawą, na prowincji. Kilku krytyków młodszego pokolenia, życzliwych kolegów z Instytutu Filologii Polskiej UJ, ocenia „mały realizm” jako łagodniejszą w formie kontynuację realizmu socjalistycznego. Zawinił Zygmunt Ziemka, projektant okładki, który dał mało wyraźny znak zapytania w tytule. A myśmy do tego znaku zapytania przykładali wielkie znaczenie. W naszych intencjach almanach miał być krytyką „małego realizmu”, wyrażać wątpliwość, czy nasi rówieśnicy, prozaicy i poeci młodego pokolenia, idą słuszną drogą. Większość zamieszczonych wypowiedzi krytycznych kontestowała „mały realizm”. Istotnym nowum była publikacja kilkunastu szkiców krytycznoliterackich. Krytyka literacka była i jest najsłabszym ogniwem naszego życia intelektualnego. Zebraliśmy zatem wypowiedzi: Bolesława Farena, Janiny Katz, Witolda Nawrockiego, Jana Pieszczachowicza, Michała Sprusińskiego, Mariana Stępnia, Aleksandra Wilkononia i Renaty Zwoźniakowej. A w aneksie przedrukowaliśmy wcześniejsze artykuły Zenony Macużanki, Michała Sprusińskiego, Andrzeja Lama i Jana Błońskiego. Przeoczyliśmy szkic Anny Bukowskiej, do dzisiaj to sobie wyrzucam. Wśród prozaików występowali m. in. Adam Augustyn, Anna Gorazd, Ryszard Miernik, Andrzej Twerdochlib. W dziale poezji: Jerzy Michał Czarniecki, Wincenty Faber, Henryk Jachimowski, Anna Kajtochowa, Ewa Lipska, Jan Lohmann, Leszek A. Moczulski, Anna Skoczyła, Krystyna Szłaga, Beata Szymańska, Elżbieta Zechenter-Spławińska, Bogusław Żurkowski. Ze smutkiem konstatuję, że obecnie taki zestaw nazwisk byłby niemożliwy, wówczas jeszcze się ze sobą nie gryzły, mieliśmy poczucie wspólnoty pokoleniowej, chociaż dostrzegaliśmy różnice. Aktualnie nie byłoby też pozytywnej oceny mojej pracy w „Tygodniku Powszechnym”. A tak szlachetnie postąpił wówczas Marek Skwarnicki, za co mu dziękuję i ściskam go.

W ferworze polemik recenzenci nie zauważyli drobiazgu: na okładce wśród autorów jest Spławiński, w środku nie ma tak podpisanego tekstu. Opowiadanie Jacka Spławińskiego, wtedy męża Elżbiety

Zechenter, zostało skonfiskowane przez cenzurę. Powodu nie pamiętam, zdaje się, że napisał coś niezbyt przychylnego o Wojsku Polskim, a zbliżały się czasy bardzo patriotyczne: 1968! Usunięto też bez naszej wiedzy prozę artystyczną Janiny Katzówny, coś w rodzaju wspomnianej „Wojny żydowskiej” Grynberga. Opowieść o dziewczynce ukrywającej się w piwnicy, zagrożonej szczurami. Kiedy zatelefonowałem do Rysi Broniatowskiej, zbyła mnie informacją, że czasy się zmieniają. To była druga z nią scysja. Zestawiając plusy i minusy naszej znajomości, bilans jest jednak pozytywny. Sporo jej zawdzięczam. Uchowała się podczas zawieruchy 1968, przeszła do KAWu, gdzie i mnie za sobą pociągnęła. Nie rozumiem, dlaczego później zawiesiła ze mną znajomość, mogła mi wybaczyć małolotność polityczną i brak umiejętności dokonywania zwrotów wspólnie ze środowiskiem.

Jeszcze słowo o Jance Katzównie. Do najprzykrzejszych dni w moim życiu zaliczam ten przedwiosenny w 1968 roku, kiedy spotkałem ją na Rynku w Krakowie. Miała na ręce opaskę z dużą Gwiazdą Dawida. Zapytała, czy pójde z nią do redakcji „Życia Literackiego”, aby trochę zdenerwować Władysława Machajka. Wspomniała o planowanej emigracji. Wstydziłem się tego, co w Polsce się działo, chociaż część starszych kolegów z dużą gorliwością wprowadzała mnie w przedwojenne stosunki polsko-żydowskie. Przeraził mnie atak milicji na pochód studencki na ówczesnej ulicy Manifestu Lipcowego, który obserwowałem z okien lokalu „Ruchu Literackiego” w ówczesnym budynku WSP. Nie wiem, dlaczego właśnie w tym dniu ostatni raz otrzymałem z Paryża „Kulturę” na adres redakcji. Zatelefonowałem wtedy do domu, krzycząc coś z oburzeniem o faszystach. Może dlatego w następnych miesiącach nie starałem się o tzw. „marcową docenturę”, która znacznie ułatwiłaby mi karierę i podniosła poziom życia?

Rozgrzani powodzeniem almanachu „Czy „mały realizm?””, przystąpiliśmy do opracowania (1968) drugiego: „Debiuty poetyckie 1944-1960, wiersze, autointerpretacje, opinie krytyczne” (1973). Ambicje mieliśmy duże. Chcieliśmy mianowicie stworzyć nowy rodzaj antologii, kolaż tekstów artystycznych, autotematycznych i krytycznoliterackich. W ten sposób zbudowana książka miałaby pewne cechy panoramy poezji współczesnej, również historii poezji, jakkolwiek od tych zamiarów oficjalnie odżegnywaliśmy się z oportunizmu. Pragnąłem nawiązać do

„Panoramy myśli współczesnej” Gaëtana Picon, której polską edycję przywiozłem z festiwalu młodzieży w Helsinkach, owiniętą w trencz, co zmyliło celników i z czego do dzisiaj jestem dumny. Wybraliśmy dwudziestu pięciu poetów, prosząc ich o sześć wierszy z wczesnego i ostatniego okresu twórczości i autointerpretację, przyrzekliśmy, że do niczego nie będziemy się wtrącać, co zostało dotrzymane. W końcu w antologii znalazły się dwadzieścia trzy zestawy. Przepisuję spis treści, podając w nawiasie nazwisko krytyka, autora eseju o autorze: Tadeusz Różewicz (Andrzej Lam), Artur Międzyrzecki (Wiesław Paweł Szymański), Jerzy Ficowski (Zdzisław Jastrzębski), Tymoteusz Karpowicz (Edward Balcerzan), Tadeusz Kubiak (Bolesław Faron), Mieczysława Buczkówna (Jan Prokop), Anna Kamińska (Aleksander Wilkoń), Wiktor Woroszyński (Marian Stępień), Wisława Szymborska (Julian Rogoziński), Tadeusz Nowak (Jan Błoński), Miron Białoszewski (Artur Sandauer), Bohdan Drozdowski (Tadeusz Bujnicki), Stanisław Grochowiak (Czesław Taborecki, ps. WP Szymańskiego), Jerzy Harasymowicz (Kazimierz Wyka), Zbigniew Herbert (Jerzy Kwiatkowski), Małgorzata Hillar (Marta Wyka), Marian Jachimowicz (Andrzej K. Waśkiewicz), Urszula Kozioł (Stanisław Jaworski), Jarosław M. Rymkiewicz (Janusz Maciejewski), Ernest Bryll (Stefan Melkowski), Stanisław Swen Czachorowski (Michał Sprusiński), Helena Raszka (Krzysztof Nowicki), Marian Grześczak (Stanisław Balbus). Byli też Arnold Ślucki i Witold Wirpsza. Nie pamiętam, kto o nich pisał, w ostatniej fazie produkcji (1971) usunęła ich cenzura w ramach restrykcji z powodu pozostania na emigracji. Usunięto też „Lichtarz ruski” Harasymowicza. Książkę pruto, a potem od nowa zszywano, o rok przedłużyły się prace. Gratulowali mi Kazimierz Wyka, Jerzy Kwiatkowski, napisali duże recenzje, cytuję z pamięci – Zbigniew Bienkowski, Ryszard Matuszewski, Marta Wyka, Karol Lubelski, Piotr Kuncewicz, Jan Pieszczachowicz, Tadeusz Szyma. „Poezja” poświęciła pół numeru. Na pewno wielu recenzentów pominąłem, ale wszystkich chowam w sercu. To najlepsza moja praca, jak na tamte czasy – luksusowo wydana. Bronię każdej decyzji redaktorskiej. Antologia zawiera w gruncie rzeczy wszystkich uznanych poetów i krytyków poezji w Polsce Ludowej. Niestety, nie udało się jej wznowić i uzupełnić o pokolenie Nowej Fali, co zamierzaliśmy. Za wysoka była cena, żądano od

nas w latach siedemdziesiątych usunięcia Zbigniewa Herberta i Wisławy Szymborskiej. Rzecz jasna, nie mogliśmy na to przystać.

Mnie ta antologia przysporzyła jednak nieprzyjaciół. Obraził się Tadeusz Śliwiak, o czym przy innej okazji już wspominałem. Miał za złe jeden profesor, którego traktowałem jako wybitnego znawcę powieści polskiej, a nie domyślałem się, że ma on także ambicje bycia koneserem najnowszej literatury. Nie zaprosiłem go do tej antologii i już bardzo długo płacę za to rachunek. Również moja rodzina.

„Debiuty poetyckie” były lekturą na kilku uniwersytetach, zanim nie padły ofiarą czystki ideologicznej przeprowadzonej na początku lat dziewięćdziesiątych. Ale i obecnie przywołują je co sprawiedliwsi i obiektywniejsi znawcy poezji.

Andrzej Haegenbarth w 1974 r. napisał w Poznaniu na seminarium „Literatura polska XX wieku” pod kierownictwem doc. dr hab. E. Balcerzana pracę magisterską: „Antologia Jacka Kajtocha i Jerzego Skórnickiego pt. „Debiuty poetyckie 1944-1960” na tle polskiej liryki powojennej”. Przystał mi ją z miłym liścikiem 20 III 1975:

„Wielce szanowny Panie, nadeszła wreszcie ta słynna chwila, kiedy to wysiłki moje dotarły do Pana. „Trochę” to trwało i za to „trochę” bardzo Pana przepraszam; dziękuję również za „ojcowskie” rady, mówiące o nieodkładaniu pracy magisterskiej. Proszę – oprócz pana Skórnickiego nikomu jej nie pokazywać, ponieważ (mówiąc ogólnie) nie jestem nią zachwycony. Pan na pewno również nie będzie, więc w celu poprawienia humoru przesyłam Panu „Notatki z lektur obowiązkowych”. Przy okazji donoszę, iż „Lekcję polskiego” zadebiutowałem w „Nurcie” (2 nr z br). Gdyby chciał Pan porozmawiać ze mną na temat „Debiutów” to proszę podać numer telefonu, pod którym można Pana zastać do godziny 15.00. Łączę serdeczne pozdrowienia. Haegenbarth.”

Kolega Haegenbarth nie miał racji, praca mi się nawet bardzo podobała, żałowałem, że dostosowując się do jego życzeń nie mogę pozyczać jej na prawo i na lewo w intencji upowszechniania. Notatki z „Lektur obowiązkowych” przedrukowuję w „Aneksie”.

Pomyśleliśmy: do trzech razy sztuka! – I na początku 1971 zaczęliśmy przygotowywać trzeci wspólny almanach pt. „Rodowody”. Hasło wywoławcze znowu było aktualne, tak jak w 1966/67 „mały realizm”. Wydano właśnie czterotomową pierwszą serię „Słownika współczesnych pisarzy polskich”. Notabene: nie była ogólnie dostępna, nabywały ją tylko biblioteki, pracownicy naukowcy oraz krytycy literaccy, umieszczeni na „liście uprawnionych”. Nabiegałem się, ale słownik posiadam. Na zebranym materiale pracowali socjologowie kultury, przede wszystkim Andrzej Siciński (w III RP jeden z kilkumiesięcznych ministrów kultury i sztuki) oraz Aleksander Wallis. Zapragnęliśmy dołączyć do tego ekskluzywnego grona. Interesowali nas debiutanci z lat 1960-1970, nie objęci jeszcze wspomnianym słownikiem, a odznaczający się według niektórych krytyków nieczęstą we wcześniejszych pokoleniach artystycznych właściwością, mianowicie chłopskim i proletariackim pochodzeniem. „Rodowód” pojmowaliśmy szeroko: socjologicznie, kulturalnie, politycznie. Powstała w ten sposób książka według mnie dosyć oryginalna, orientująca w naszym pokoleniu, toteż dziwiło mnie i dotąd w zasadzie nie rozumiem, dlaczego została niechętnie przyjęta. W almanachu jest trzydziestu dwóch pisarzy, każdy napisał literacką autobiografię i dorzucił fragment prozy lub kilka wierszy. Zgodnie z naszymi zamiarami część publicystyczna i artystyczna miały być koherentne. Rzecz jasna, jeszcze raz to podkreślam, że tak jak poprzednio w wypadku „Czy „mały realizm?”” i „Debiutów poetyckich 1944-1960” nie ingerowaliśmy pod żadnym względem w nadesłane teksty, a była to w tamtych czasach praktyka niecodzienna! Odpowiedzieli na nasze wezwanie pozytywnie: Leszek Bakula, Tadeusz Chudy, Ernest Dyczek, Andrzej Gerłowski, Janusz Głowacki, Anna Gorazd, Henryk Jachimowski, Jerzy Jarmołowski, Maria Józefacka, Erwin Kruk, Bogusław Latawiec, Ewa Lipska, Jan Marszałek, Ryszard Milczewski-Bruno, Tadeusz MocarSKI, Wiesław Myśliwski, Stanisław Neumert, Krzysztof Nowicki, Jerzy Lesław Ordan, Marian Pilot, Jerzy Pluta, Edmund Puzdrowski, Edward Redliński, Krystyna Szłaga, Zygmunt Trziszka, Jerzy Waksmański, Andrzej K. Waśkiewicz, Jerzy Wawrzak, Piotr Wojciechowski, Zygmunt Wójcik, Bohdan Zadura i Bogusław Żurkowski.

We wstępie do „Rodowodów” wyraziłem żal, że z różnych powodów nie skorzystali z zaproszenia: Jan Goczoł, Zbigniew Jerzyna, Adolf

Momot, Janusz Styczeń, Zbigniew Ryndak, Zyta Oryszyn, Edward Stachura i Feliks Netz. Podkreślam: z różnych powodów, np. żona Adolfa Momota napisała konfesyjny liścik, jakoby mąż znajdował się w impasie twórczym (na szczęście później wydał jeszcze kilka książek). Andrzej Waśkiewicz po śmierci Edwarda Stachury znalazł w jego papierach nie wysłany do mnie list ze zgodą na udział. Niestety, Edward Stachura był już wtedy w złej formie i zamiaru nie zrealizował.

Dawno nie miałem w ręce „Rodowodów”, gdy obecnie odczytuję listę obecności, to rodzą się we mnie refleksje optymistyczne. Pokolenie bardzo pluralistyczne, co potwierdzają aktualne losy pisarzy, większość z nich należy do SPP, Erwin Kruk był senatorem pierwszej kadencji, Ewa Lipska poszła w dyplomację, Krystyna Szłaga jest wiceprezesem ZG ZLP, Bogusław Żurkowski przewodzi krakowskiemu „pisarzom spod Wawelu”. Poziom literacki także nie najgorszy: Janusz Głowacki, Ewa Lipska, zwłaszcza Wiesław Myśliwski, poniekąd Edward Redliński i Piotr Wojciechowski mają wysokie notowania na rynku ogólnopolskim? europejskim? amerykańskim?

Dlaczego zatem o książce się dziś nie wspomina? Po publikacji w 1975 r. ukazało się nawet kilka pogłębionych szkiców (np. Jana Pieszczachowicza), prof. Marian Stępień włączył informację o niej do swojej „Historii literatury polskiej w zarysie” (niestety w ostatnich wersjach dzieła już tę skromną książkę pomija). Powinienem być się tego wyrzucenia do lamusa spodziewać po reakcji Edmunda Puzdrowskiego i Edwarda Redlińskiego, którzy wyrażali się o „Rodowodach” dosyć zgryźliwie. Wchodziliśmy w kryzys aksjologiczny, zaczęliśmy tracić tożsamość narodowo-społeczno-kulturalną. Zapadło w moją świadomość zdanie Jarosława Iwaszkiewicza, które kiedyś usłyszałem w Warszawie na spotkaniu pisarzy należących do tzw. nurtu chłopskiego, że trzeba dążyć do godnej obecności w rodzinie europejskiej, ale tam zdobędą obywatelstwo przede wszystkim ci, którzy się nie pozbawiają własnej twarzy, nie zapomną korzeni. Wierzę, że moje pokolenie opamięta się i przestanie wstydić swojego pochodzenia, biografii i dorobku. Czy zawsze będzie dominować w Polsce paradygmat kultury szlacheckiej? Albo – jeszcze gorzej – prezenteizm teleidiotów?

Należało na tym poprzestać, ale myśmy kusili los dalej i zaczęli przygotowania do czwartego almanachu, tym razem dla Wydawnictwa

Literackiego pod tytułem „Starty. Manifesty i wypowiedzi programowe młodych poetów 1960-1974” (koniec 1975). Koncepcję precyzowaliśmy wspólnie, ale wykonałem ją już sam. Jurek Skórnicki był zbyt zajęty pracą w ministerstwie kultury i sztuki i PIWem, żeby ze mną tak intensywnie jak poprzednio współpracować. Rozeszliśmy się bez gniewu, choć przez krótki czas miałem do niego pretensję, bo według mnie za szybko pogodził się z konfiskatą „Startów”. Uznał, że jestem wyłącznym autorem tej nie wydanej książki, pani Skórnicka po niespodziewanej śmierci męża zwróciła mi jego część zaliczki. Jerzego Skórnickiego zawsze ciepło wspominam. Był to wydawca rzeczowy, z inwencją, szerokim horyzontem, pomógł mi w PIWie wydać wybór poezji Józefa Aleksandra Gałuszki, przedwojennego autora o orientacji katolicko-narodowej. Bez jego życzliwości nie dostałby się ten poeta, polemista skamandrytów, do PIWowskiej kolekcji: Oficyna Poetów XX wieku, gromadzącej poetów niesłusznie zapomnianych.

Wracamy do „Startów”. Chciałem zaprezentować osiem grup poetyckich w kolejności odpowiadającej czasowi powstania: Orientację Poetycką „Hybrydy”, Grupę Literacką „Agora”, Kołobrzeską Grupę Poetycko-Plastyczną „Reda”, „Forum Poetów Hybrydy” – „Konfederację Nowego Romantyzmu”, „Ugrupowanie Literackie 66”, Grupę „Centrum”, Grupę „Teraz” i Grupę „Kontekst”. W drugiej części przypomniałem programy indywidualne Witolda Maja i Bohdana Zadury oraz Leszka A. Moczulskiego. W aneksie był artykuł Andrzeja K. Waśkiewicza: „Formy nieobecności „nieobecnego pokolenia”. Grupy literackie młodych 1960-1970”.

Tymczasem warunki polityczne edytorstwa literatury współczesnej znacznie się pogorszyły, zaczęła się dezintegracja środowiska literackiego. Przekonać wydawcę o celowości druku było stosunkowo łatwo, ale do składu – bez mojej wiedzy – posłano pracę okrojoną. Na mocy decyzji kolegium Wydawnictwa Literackiego z 11 maja 1977 usunięto ze sterty maszynopisów: Stanisława Barańczaka i Ryszarda Krynickiego (Grupa „Próby”), Jacka Bierezina z Grupy „Centrum”, Adama Zagajewskiego z Grupy „Teraz”. To nie koniec, po niecałym roku, w marcu 1978 krakowska cenzura skonfiskowała resztę. Na poleceniu wycofania książki z produkcji widziałem podpis kompetentnego członka dyrekcji!

Mam książkę skonfiskowaną przez cenzurę! Byłem represjonowany! Proszę o odpowiednie odszkodowanie! Nie zadowolę się nawet wysunięciem mojej kandydatury do parlamentu! A teraz pisząc serio: mało pisarzy krakowskich, nawet tych zasłużonych dla obalenia komunizmu może się legitymować takim cierpieniem. Jeżeli ktoś nie wierzy, służę dowodami rzeczowymi: w mieszkaniu przy ulicy Barskiej 10 w szafie bibliotecznej na górnej półce przechowuję egzemplarz korektowy, stron 593, oprawiony w konspiracji w Drukarni Dziełowej przy ulicy Wielopole. Kompletny maszynopis złożyłem w Bibliotece Jagiellońskiej w Dziale Rękopisów: Przyb. 192/78.

Z próżności dodam, że w tym czasie miałem sporo różnych kłopotów. Po udziale w marszu pogrzebowym po śmierci Stanisława Pyjasa odebrano mi nawet felieton o książkach w „Głosie Nowej Huty”. Jako rekompensatę otrzymałem wiązaną kwiatów od red. Mariana Oleksego, kiedy przyszedł mnie o tym zawiadomić – leżałem z nogą w gipsie, co jednak, niestety, nie miało związku z ową manifestacją, gdyby miało, byłbym dziś pewnie bogatym człowiekiem. Anna Gorazd chciała mnie jakoś podtrzymać na duchu i proponowała, abym nadal pisał recenzje, ona będzie podpisywała i zwracała honorarium. Nie przyjąłem oferty, a szkoda, w ten sposób miałbym udział w pracy konspiracyjnej. Znowu żartuję! Oświadczam przy okazji, że nie mam pretensji do Mariana Oleksego, uważam go za porządnego człowieka. On jedyny zdobył się na publiczne przeproszenie mnie w 1981 r.

W tym samym czasie skonfiskowano mi pierwszą wersję folderu „III Krakowskie Dni Poezji”, 18-25 stycznia 1976. Przyczyną była próba prezentacji Grupy „Teraz” z wierszami Juliana Kornhausera i Adama Zagajewskiego. To była ciekawa inicjatywa – mam na myśli Krakowskie Dni Poezji – zajmowałem się upowszechnianiem poezji kilkanaście lat. Miałem satysfakcję, ale w latach siedemdziesiątych także kilka kłopotów. Przechowuję np list Dyrekcji Krakowskiego Domu Kultury „Pałac pod Baranami” z zapytaniem: „Dlaczego umieszczono T. Szaję skoro współpracuje z „Tygodnikiem Powszechnym””. Nie ugiąłem się, dowód znajduje się w folderze z lutego 1978 w formie bardzo lubianego przeze mnie wiersza Tadka Szai pt. „Nowohucki kombinat po latach”. Taki byłem nonkonformista!

Nie mogłem się ustabilizować jako wydawca. Należało wtedy gdzieś należeć i mieć odpowiednie zaświadczenie, potwierdzające kwalifikacje zawodowe. Napisałem do Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek z uprzejmą prośbą o przyjęcie. Odpisano mi, że nie ma podstaw, ponieważ nie jestem na etacie. Postanowiłem więc w dalszym ciągu udowadniać, że nie pracując w wydawnictwie, można być edytorem.

Zacząłem układać antologie nowelistyczne. Pierwszą zamówiła u mnie Kasia Krzemuska do Biblioteki Literatury Trzydziestolecia. Termin krótki, poprosiłem zatem Tadka Bujnickiego, z którym w okresie studiów i tuż po byłem bardzo blisko, m. in. wciągnąłem go do grona współpracowników „Zebry”, on też miał dla mnie serce, kilka razy pomógł mi kapać mojego syna Wojtka – więc poprosiłem Tadka o współpracę. Wyboru znowu dokonaliśmy w porozumieniu z prozaikami. W „Polskiej noweli współczesnej” (1975) są tylko utwory, które oni również uznali za ważne w swoim dorobku. Łatwo podkreślać, kto jest, wspominać, kogo nie ma. Rzecz jasna, nie ma pisarzy emigracyjnych. Przykro mi i żałuję! Nie mieliśmy odpowiedniej siły przebicia, lecz prawdopodobnie nikt by nie potrafił włączyć wówczas do antologii np. Gombrowicza. Ale są wartościowi pisarze: Promiński, Żukrowski, Czeszko, Pruszyński, Szczepański, Andrzejewski, Borowski, Nałkowska, Putrament, A. Rudnicki, K. Brandys, Dygat, Filipowicz, Iwaszkiewicz, Worcell (to tom pierwszy); Dąbrowska, Hołuj, Kruczkowski, Lem, Otwinowski, Różewicz, Zieliński, Czyż, Hłasko, Krasiński, Mrozek, Nowakowski, Głowacki, Stachura, Bryll, Kawalec, Nowak, Pilot, Redliński (w tomie drugim).

Antologia została dobrze oceniona. Jarosław Iwaszkiewicz w „Życiu Warszawy” napisał, że jest to prawdziwa, ciekawa i wartościowa powieść o Polsce współczesnej. Powieść, jakiej nikt indywidualnie nie napisał. Szczyciłem się tą recenzją i szczycę. Sprawdziła się jeszcze raz moja koncepcja antologii-kolażu, antologii – ekspresji osobistych poglądów antologisty. Ale antologia nie tylko przyniosła radość, kiedy np. recenzenci podkreślali, że jest w niej nawet Hłasko! Przypominam, że przez wiele lat obowiązywał zakaz druku Hłaski w Polsce. Wrogowie także się umocnili w zapatrywaniach na mój temat. Władysław Machejek nie zapomniał mi pominięcia. To była przecież jedyna antologia krajowa,

w której go nie było. Była też dodatkowa przyczyna niespodziewana, która mogła dać w efekcie za wczesny zawal.

Byłem w pracy dosyć skrupulatny, tym razem w pośpiechu kilku szczegółów nie sprawdziłem. Poprosiłem przemiłe redaktorki WL, aby przedrukowały „Apel” Andrzejewskiego według pierwodruku z 1954 roku. Miałem zwyczaj przeglądać nowo wydane pozycje przy herbacie (bez papierosa, już nie paliłem). Dochodzę do „Apelu” i włos mi się zjeżył ze zgrozy: nie znam takiego tekstu! W szeregu więźniów stoi „ziemianin spod Biłgoraja”, a nie „ogrodnik”, jak czytałem w szkole. Trafiam na różne rozważania o sensie życia, odpowiedzialności wobec Boga. Umierający Pawłowski szepcze: „-Nikt mnie nie kochał”, a nie – „Wolność...” – na co nam zawsze zwracał uwagę prof. Wyka na wykładach ze współczesnej literatury. Pomyślałem, że moja kariera edytorska jest na ukończeniu...

Na wszelki wypadek pobiegłem jednak do Biblioteki Jagiellońskiej i zacząłem kolacjonować. Wówczas poznałem pasjonujące zjawisko, notabene do dziś w sposób kompetentny nie opisane przez tekstologów, mianowicie przeróbkę „Apelu” i następnie „Popiołu i diamentu” ręką Andrzejewskiego na początku lat pięćdziesiątych, kiedy był ideowym komunistą, socrealistą, autorem pomijanego dziś eseju „Partia i twórczość pisarza”. Andrzejewski nigdy nie wypowiedział się na temat przeróbek, a zwłaszcza ich ewentualnego przedawnienia w sytuacji, kiedy wystąpił z PZPR i stał się niemal oficjalnym przywódcą opozycji antypezetperowskiej. W trosce o komfort psychiczny przyszłych wydawców napisałem do niego list z zapytaniem, czy należy wznawiać pierwodruki „Apelu” oraz „Popiołu i diamentu”, czy masowo powielane edycje późniejsze, począwszy od 1954. Nie odpisał, po kilku tygodniach w „Literaturze” przeczytałem felieton, w którym się żalił, że od pewnego czasu otrzymuje od młodych ludzi listy z głupimi pytaniami. Czyżbym był adresatem owego felietonu?

„Polska nowela współczesna” miała dwa wznowienia i przez kilka miesięcy pozostawała na liście lektur w szkole średniej, opracowanej przez „Solidarność” w 1981 roku. Zespołem kierował chyba prof. Jan Błoński. Drugi raz dostąpiłem takiego zaszczytu. Wcześniej zalecono do szkół średnich „Debiuty poetyckie 1944-1960”.

Niepotrzebnie przygotowaliśmy trzecie wydanie w 1987 r. Zaczęło się od oportunistycznej zgody na usunięcie z tomu II opowiadania

Marka Nowakowskiego. To był wedle ministerstwa kultury i sztuki podstawowy warunek reedycji. Zniknęli też Janusz Głowacki i Ernest Bryll. Weszli natomiast: Dobraczyński, Wojdowski, Zawieyski, Wyka, w tomie II: Bursa, Iredyński, Strykowski, Stojowski. Niezłe nazwiska!. Nic nie jest albo czarne, albo białe! Tylko „w kratkę”, jak pisał mądry ks. Twardowski. Udało się ponadto wymienić kilka opowiadań na lepsze. Żałuję jednakowoż nieobecności Marka Nowakowskiego. A chciałem zastąpić „Kocioł”, „Weselem raz jeszcze”, które cenię i lubię.

Wiedziałem już wtedy, że tom Janusza Kasińskiego „Jakie wielkie słońce” ma dwie wersje: pierwotną, polską, rozgrywającą się w realiach stalinowskiego więzienia, i drugą, maskującą właściwy problem, wprowadzającą na żądanie cenzury realia hiszpańskie, frankistowskie. Nie udało się wznowić pierwszej wersji w 1975 r. Ale, jak już kilka razy pisałem, jestem uparty: za trzecim razem osiągnąłem swoje. Przy okazji przypominam, że nie ocenizowany Janusz Kasiński ukazał się w mojej serii „Polskie opowiadania współczesne”, także w latach osiemdziesiątych.

Drugą antologię noweli przygotowałem na sześćdziesięciolecie odzyskania niepodległości w kolaboracji z Ewą Sabelanką, ówczesną redaktorką Wydawnictwa Literackiego, ja zrobiłem pierwszy tom, ona – drugi. Pracę ukończyliśmy w 1979 roku. Bardzo się lubiliśmy, po tej przyjaźni pozostały tylko wspomnienia – u mnie dobre. Wiem, że pani Ewa ma do mnie pretensję, niesłusznie, nie zawiniłem, chyba zaniechaniem, lecz i w takim razie na moją korzyść przemawia to, że byłem za słaby na przeciwstawienie się intrygom.

Jakkolwiek było, dwa grube tomy „Antologii noweli polskiej 1918-1978” są ciekawą lekturą. Przypominałem kilka nazwisk w tamtych latach nie eksponowanych, jak Żeromski, Kaden-Bandrowski, Jerzy Kossowski, Witold Gombrowicz, Zygmunt Kisielewski, Helena Boguszewska, Włodzimierz Perzyński, Wincenty Burek, Stanisław Jan Flukowski, Jerzy Mieczysław Rytard, Andrzej Strug, Jerzy Bohdan Rychliński, Andrzej Wolica itp. itd. Wymieniam nielicznych, a było ich w t. I w sumie czterdziestu pięciu. Obecność Władysława Machejka stanowiła cenę, którą płaciłem za np. opowiadanie Juliusza Kadena-Bandrowskiego „Nikt nie chce mojej śmierci” o legionistach z pierwszej wojny światowej i rodzącym się kulcie Piłsudskiego, czy za utwór Andrzeja Wolicy „Rudy” o rozwiązaniu KPP, za który autor prawdopodobnie oddał głowę w ZSRR.

W tomie II znaleźli się wszyscy, którzy powinni, nawet wspomniany Marek Nowakowski.

O wydanie tej książki walczyliśmy cztery lata! Ciekawa historia! Oficjalnym powodem złożenia nakładu w piwnicy – tak mówił ówczesny dyrektor Wydawnictwa Literackiego, Ireneusz Maślarz – było opowiadanie Witolda Gombrowicza „Tancerz mecenasa Kraykowskiego”. Nie było decyzji politycznej, dopuszczającej do rozpowszechniania w Polsce utworów Witolda Gombrowicza (20.000 egzemplarzy!). Nieoficjalnie dowiedziałem się, że przeciwna drukowi była także wydawnicza „Solidarność”. Za dużo komunistów! Tak się po raz pierwszy zetknąłem z nowego typu cenzurą! A raczej – przeciwko mnie były stara cenzura i nowa jednocześnie! Dobrze mi tak, w gruncie rzeczy mógłbym powtórzyć za patetycznym poetą: „Każde prawo i każdy ustrój, w całopalny rzuca mnie stos”, ale tego nie napisałem, ponieważ, gdybym napisał, byłbym zarozumiałcem i pyszałkiem. Raczej by pasowało przytoczyć poetę-błazna: „za duży wiatr na moją wełnę”...

W październiku 1978 przygotowałem z myślą o młodzieży szkół średnich antologię poetycką „Bez tej miłości nie można żyć”. Na jej druk czekałem sześć lat. Dlaczego?

Zaczęły się długie rozmowy z redaktorami warszawskiego KAWu. Dyskutowaliśmy kompozycję, przyjąłem układ chronologiczny i pragnąłem podkreślić szczególnie rok 1918 jako otwierający drugą niepodległość, w mojej koncepcji nie był tak dobitnie, jak chcieli redaktorzy wydawnictwa, uwypuklony przełom 1944/1945. Dziś przyznaję, że mieli trochę racji. Lata 1944/1945-1990 przeszły do historii jako okres jednolity i odrębny. Przypuszczam jednakże, że kierowała nimi intencja pomniejszenia roli listopada 1918 w naszej historii, a z tym i wówczas, i obecnie pod żadnym pozorem bym się nie zgodził.

Kwestionowano obecność w tej antologii niektórych poetów. Dwóch warszawskich profesorów pytało, czy powinienem zamieszczać w książce wiersze Czesława Miłosza, skoro złamał on przysięgę złożoną rządowi RP w Warszawie. Ważnych profesorów, od jednego z nich zależały programy nauczania języka polskiego w szkołach. Upierałem się przy Miłoszu, ponieważ od wielu lat szczególnie lubię wiersz pt. „Kołyśanka” i jego interpretacją zamęczam swoich uczniów. Wydawca też stał niezłomnie na swoim stanowisku, aż przyszła jesień 1980. I wyobraźcie

sobie moje zdumienie. Telefon z Warszawy i bardzo miły kobiecy głosik zapytuje mnie, czy zgodziłbym się włączyć do książki wiersze nowego Noblisty. Zaskoczyła mnie przewrotność ludzka!

W latach osiemdziesiątych miałem kilka kłopotów z powodu Miłosza.

W lutym 1981 w folderze „Krakowskich Dni Poezji” przedrukowałem „Piękne czasy” (epizod „Traktatu poetyckiego”) za pozwoleniem Adama Bromberga ze Szwecji, przedstawiciela autora. Pochwalił mnie za to Stanisław Jaworski w przemówieniu inauguracyjnym „Dni”.

Bieg dziejów nabrał przyspieszenia, a nawet przez krótki czas zdawało się, że zmienia kierunek. Nieczuły na wiatry historii dalej uważałem, że trzeba normalizować stosunki między literaturą emigracyjną a krajową, na szczęście podobnie sądził nie byle kto, lecz sam Marian Stępień i dał temu wyraz w trzeciej edycji „Historii literatury polskiej w zarysie”. Nie podobało się to niektórym kolegom, np. Januszowi Roszce i Stanisławowi Stanuchowi, ale „Gazeta Krakowska” zamieściła pozytywną recenzję mojego pióra. Mogłem także zachęcać czytelników partyjnego organu do lektury „Człowieka wśród skorpionów”. Esej bardzo aktualny i w Polsce stale przemilczany. Wszystko to się działo w 1983 roku. Byłem wówczas na spotkaniu aktywu literackiego pod Warszawą z udziałem wysokich funkcjonariuszy KC PZPR, gdzie miałem przyjemność bronić podręcznika Mariana Sreńnia i prawa do publikacji Miłosza w Polsce. Ostro mnie krytykowali wspomniani i Witold Nawrocki, lecz mnie nie zależało na awansach.

Niełatwo było też przemycić do antologii „Bez tej miłości nie można żyć” tzw. pisarzy legionowych: Józefa Mączkę, Edwarda Słoińskiego i Jerzego Żuławskiego. Udało się, czym prawdopodobnie pomieszałem szyki niektórym dyrektorom szkół średnich. Przeczytałem kiedyś w „Tygodniku Powszechnym” list polonistki, która skarżyła się na swojego dyrektora, wyrzucającego z repertuaru słynny utwór „Ta, co nie zginęła”. – A przecież ten wiersz jest w antologii Kajtocha! – argumentowała. Serdecznie ją pozdrawiam. Jest jedyną, która wierzyła w mój autorytet. Zredagowałem kilkanaście antologii, przygotowałem do druku wiele utworów pisarzy dziewiętnastowiecznych i współczesnych, moją serię „Polskie opowiadania współczesne” zamknąłem na pięćdziesiątej pozycji, którą była „Zbrodnia z premedytacją” Witolda Gombrowicza. To

zajęło mi trzydzieści lat życia. Bywałem częstym gościem w Wydawnictwie Literackim w Krakowie, w LSW, „Iskrach”, PIW, KAW w Warszawie, w „Śląsku” katowickim, „Ossolineum” we Wrocławiu. Byłbym zapomniał! Przez kilka dni byłem prawie przyjęty przez Andrzeja Kurza do Wydawnictwa Literackiego na jego zastępcę.

Andrzej Kurz ćwiczył mnie w marksizmie-leninizmie na Uniwersytecie Jagiellońskim. Wykładał ten przedmiot Stefan Morawski, niezwykle inteligentny profesor, zatem wcale mnie nie zaskoczyło, kiedy niedawno dowiedziałem się, że obecnie promuje w Polsce postmodernizm. Andrzej Kurz miał zawsze do mnie ambiwalentny stosunek: kiedy moje akcje trochę zwyżkowały, podkreślał, że jest moim nauczycielem, gdy spadały – dystansował się i wypominał mi moje sympatie do PPS. Mam jednak historyczną zasługę, że go tą partią zainteresowałem. Dwa czy trzy lata temu dostałem zaproszenie na zebranie organizacyjne PPS w Krakowie z podpisem Andrzeja Kurza. Nie poszedłem, bowiem przyrzekłem sobie, że do końca życia pozostanę bezpartyjny.

Musiały nieznacznie moje akcje zwyżkować, skoro Andrzej Kurz pod koniec lat siedemdziesiątych poprosił mnie do siebie i zaproponował pracę w WL. Ale wyżej podskoczyły akcje Jana Pieszczachowicza, któremu po odejściu ze „Studenta” otarto łązy Wydawnictwem Literackim. Kurz do mnie zadzwonił i powiedział, że Pieszczachowicz został prezesem ZLP (notabene: bardzo o to sam zabiegałem) i on musi go wziąć na przygotowane dla mnie miejsce. Życzliwi dodawali, że prawda jest trochę inna, po prostu Tadeusz Hołuj i „Kuźnica” woleli kandydata bardziej spolegliwego. A ja... do wszystkiego zdążyłem już przywyknąć, przykro mi tylko było, kiedy po tzw. transformacji nie zaproszono mnie na kolejny jubileusz WL. Mogli przecież uszanować niedoszłego redaktora naczelnego!? Jakby w takiej sytuacji postąpiono w II Rzeczypospolitej?

Nie chcę kończyć opowieści o mojej – pożałuj Boże – karierze edytorskiej taką puentą. Kilka zdań zatem o jedynym naówczas jasnym wydarzeniu w moim życiu zawodowym.

W 1981 roku powtórnie związałem się z Wadowicami. To jakaś prawidłowość, że osiągnąwszy wiek dojrzały, wraca się do miejsc poznanych w dzieciństwie. Stało się to za sprawą mojego ciotecznego brata, Jerzego Romana Jaglarza, oryginalnej postaci, trochę dziennikarza, tro-

chę poety i kabareciarza, gawędziarza. Złośliwi mogli w nim dostrzec pozerstwo i bufonadę, dla mnie był bratem, synem cioci Marysi i wujka Janka, porucznika stacjonującego w Wadowicach pułku piechoty, obrońcy Górnego Śląska w 1939 roku, kawalera wysokich odznaczeń francuskich za kampanię 1940 roku.

Otóż Jurek przyjechał do Krakowa z pomysłem założenia Grupy Literackiej „Nadskawie”, co się rychło stało, a należeli do niej: on sam jako prezes, ja jako wiceprezes, ponadto: pani Janina Barbara Górkiwiczowa, powieściopisarka, Anna Kajtochowa, oczekująca na wydanie swojej pierwszej książki pt. „Babcia”, Tadeusz Stolarz, poeta. Dołączyli do nas potem: Stanisław Franczak, ponieważ pochodzi z pobliskiej Bienkówki koło Makowa Podhalańskiego. Umożliwiliśmy mu wydanie pierwszej książki. Krótko pozostawał wśród nas Jerzy Fiutowski, przedwcześnie zmarły poeta i chirurg szczękowy.

Wadowice miały pierwszą grupę literacką od czasu Zegadłowiczowskiego „Czartaka”. Przyszłość miała pokazać, że tak jak nie doceniały „Czartaka”, tak i nas, po śmierci Jurka z ulgą przyjęły nasze samorozwiązanie.

Zawsze był mi bliski regionalizm. Pisałem o nas w artykule paraprogramowym: „Rzecz jasna, jednocy równocześnie przeświadczenie generalne, że mianowicie kultura współczesnej Polski byłaby bardziej urozmaicona, stwarzałyby mocniejsze podstawy identyfikacji społecznej i narodowej, gdyby większą rolę odgrywały w niej środowiska regionalne, gdyby wzmocniły się ośrodki pozastołeczne, gdyby miały większe niż dotychczas możliwości wypowiedzi i samorealizacji”.

Na początek chcieliśmy wystąpić z antologią literacką „Nadskawie”. Przyświecała nam idea usytuowania grupy w tradycji kulturalnej Wadowic, na tle „Czartaka” (Zegadłowicz, Kozikowski, Miller, Brzostowska, Szantroch) oraz Karola Wojtyły. Nie wyobrażałem sobie antologii bez przynajmniej czterech utworów Ojca Świętego, a to: „Matki”, „Kamieniołomu”, „Myśląc Ojczyzna” i „Stanisława”.

Trzeba było pisać do Watykanu. Marek Skwarnicki dał mi adres i utwierdził w przeświadczeniu, że mogę zwracać się: „Ojciec Święty”.

24 maja 1982 roku napisałem list do Jego Świątobliwości, który przytaczam:

„Kraków, 24 V 1982

Ojciec Święty,

Towarzystwo Miłośników Ziemi Wadowickiej powierzyło mi przygotowanie antologii literackiej pt. „Nadskawie”, zawierającej utwory pisarzy, związanych z regionem bądź urodzeniem, bądź twórczością.

Uprzejmie proszę o pozwolenie na przedruk w tej książce czterech wierszy Waszej Świątobliwości: „Matka”, „Kamieniołom”, „Myśląc Ojczyzna”, „Stanisław” na podstawie edycji Karol Wojtyła „Poezje i dramaty”, Wydawnictwo „Znak”, Kraków 1979.

Jestem st. wykładowcą w Instytucie Filologii Polskiej UJ, zajmuję się historią literatury (napisałem monografię o Norbercie Bonczyku i Konstantym Damrocie), edytorstwem i krytyką literacką. Należę do Związku Literatów Polskich. W antologii zamieszczę teksty autorów z grupy „Czartak” (E. Zegadłowicz, J. N. Miller, E. Kozikowski, J. Brzostowska, T. Szantroch), obecnie utworzonej w Wadowicach grupy „Nadskawie” (J. B. Górkiwiczowa, A. Kajtochowa, J. R. Jaglarz, T. Stolarz) oraz A. R. Fajfery i J. Putka.

W wyborze kieruję się kryterium poziomu artystycznego, a także ideami humanizmu, demokratyzmu, wartości ludzkiej pracy, przywiązania do tradycji narodowych i ziemi rodzinnej. Pragnę podkreślić znaczenie kulturotwórcze Wadowic i regionu. Antologię kieruję głównie do młodzieży.

Proszę o życzliwy stosunek do mojej pracy i zgodę na przedruk.

Z najgłębszym szacunkiem

Dr Jacek Kajtoch”

16 czerwca 1982 otrzymałem wiadomość, że sprawy publikacji utworów kardynała Wojtyły w języku polskim załatwia ks. prof. Marian Jaworski w Krakowie. 26 września napisałem pod wskazany adres, 19 października ks. Profesor wyraził zgodę. W grudniu 1982 ukończyłem pracę nad antologią.

W czerwcu 1983 „Nadskawie” wydrukowano i przygotowano do dystrybucji. To moja jedyna publikacja sprzedawana „na telefon”. Od-

było się to tak, że w dniu przyjazdu Ojca Świętego do Krakowa dyrekcja Domu Książki o jednej godzinie zawiadomiła podległe księgarnie, że mogą sprzedawać „Nadskawie”. To także moja jedyna książka, po którą ludzie ustawiali się w kolejce. Oczywiście, wiem, że nie z mojego powodu...

Syt wrażeń i chwały pojechałem na urlop. Po powrocie otrzymałem list z Sekretariatu Stanu w Watykanie, który przedrukowuję:

„SEKRETARIAT STANU
WATYKAN, sierpień 1983 r.
N.113.300

Ojciec Święty Jan Paweł II serdecznie dziękuje za cenne dary przekazane Mu w czasie niezapomnianej pielgrzymki do Polski z okazji Jubileuszu 600-lecia obecności Matki Boskiej w jej wizerunku jasno-górskim.

Szczególnie wdzięczny jest Ojciec Święty za dary duchowe – za modlitwy, cierpienia, wyrzeczenia i dobre uczynki ofiarowane w intencji Jego pasterskiego posługiwania w Kościele. Wdzięczność swoją wyraził już Papież w Polsce, kiedy mówił: ...”Zależy mi na tym, aby w moim ‘serdecznie dziękuję’ odnalazła swe miejsce każda bez wyjątku osoba, która miała jakiś udział w przygotowaniu i upamiętnianiu tych odwiedzin”.

Ojciec Święty, obejmując wdzięcznym sercem i modlitwą wszystkich swoich Rodaków, udziela im Błogosławieństwa Apostolskiego na owocne przeżywanie Roku Świętego 1950-lecia naszego Odkupienia.

Łączę wyrazy szacunku

Mons. Giovanni B. RE
Asesor”

Okoliczności związane z przygotowaniem, drukiem i recepcją „Nadskawia” wryły mi się w pamięć i serce. Wspomnienie dotąd uruchamia żywe emocje i wzruszenia.

Nie wiem w zasadzie, jak to wyjaśnić. Postaram się jak najprościej i szczerze. Czytelnik tej relacji dostrzeżę z pewnością, że zawsze praco-

wałem w zespole, wciągałem do różnych inicjatyw kolegów. Sądziłem, że jestem postrzegany dobrze, gesty przyjmowałem jako dowody przyjaźni. I nagle zostałem sam, zaczęto okazywać niechęć także mojej rodzinie. Dlaczego tak się stało? Z pewnością po części zawiniłem, popełniałem błędy jako recenzent Wydawnictwa Literackiego, co wyznałem w eseju „Z moich szpargałów”. Ale to chyba nie uzasadniało wrogości moich byłych przyjaciół. Kontekst jest głębszy i poważny.

Środowisko literackie było celowo korumpowane. Przekupywane nagrodami, mieszkaniem, talonami na auta, stypendiami zagranicznymi, wznowieniami, tłumaczeniami itp. itd. Dochodziło do tego, że w agita-cji przedwyborczej używano takich argumentów, jak Staszek Skoneczny, namawiający do głosowania na nowego prezesa, ponieważ kandydat za-łatwił kilka mieszkań dla kolegów i prawdopodobnie uzyska coś jeszcze. Kupowano lojalność i akceptację. W porę nie zorientowałem się, że to wszystko gra pozorów. A kiedy już się przekonałem, nie zamierzałem dokonać wraz ze środowiskiem politycznego zwrotu. Nie wymieniałem przekonań na talony na samochód. Nie szukałem nowych sponsorów. Nawiasem mówiąc, rzeczywiście samochodu nie posiadałem! Środowi-sko utraciło zdolność wyboru wartości. Zaraziło się myśleniem totalitar-nym. W tym czasie ukazała się wreszcie w oficjalnym obiegu „Miazga” Andrzejewskiego. Wynotowałem z niej jakże trafną uwagę: „...jednym z niebezpieczeństw, deprawujących w sensie intelektualnym ludzi opo-zycji, jest naturalna niejako skłonność tych jednostek, zepchniętych na margines życia publicznego, aby swoje poglądy upodabniać do „obo-wiązujących” w kołach opozycji. Ludzie opozycji dobierają się przede wszystkim na zasadzie środowiskowej, a w określonym środowisku za-wsze na ogół działa prawo mimikry, nawet w tak zindywidualizowanych, jak środowiska intelektualno-artystyczne”.

Dziś niektórzy koledzy nie mogą pogodzić się z istnieniem dwóch związków twórczych. Dzielą związki na „gorszy” i „lepszy”. Dwa związki to rezultat demokratyzacji, stwarzający ludziom psychiczny komfort do-bierania się na podstawie celów zawodowych. Zapamiętałem dziwaczne sceny, jak to zebranie pracowników Wydziału Filologicznego, na którym dziekan, prof. Alfred Zaręba, osoba skądinąd godna szacunku, świetny fachowiec i nauczyciel, wiele mu w sensie intelektualnym zawdzięczam, forsował projekty przystąpienia całego Wydziału do Solidarności – a gdy

kilku z obecnych nie zgłosiło akcesu, to po prostu wyprosił ich z sali. Znalazłem się wśród wyrzuconych...

Wracając do „Nadskawia”: kiedy starałem się o zgodę na przedruk wierszy kardynała Karola Wojtyły, to wcale nie byłem pewny skutku. Okazałem się mały duchem, popełniłem błąd, przenosząc doświadczenia ze światka mikro na świat makro. Ten list z Watykanu znaczył dla mnie dużo, chowam go wśród drogich pamiątek, stanowi fundament przeświadczenia, że nawet w naszych czasach i w naszym świecie można spotkać Dobro i Ciepło.

3

Wyznam na koniec, że nie zostałem profesorem UJ z powodu zaniechania.

Miałem w życiu trzy pasje: dziennikarstwo, edytorstwo i nauczanie. Najmniej przykładałem się do realizacji trzeciej. Co prawda dosyć wcześnie zauważyłem, że na uniwersytecie mam najmniej szans. Profesor Wacław Kubacki opuścił środowisko i nie chcę powtarzać, jak się o nim w rozmowach ze mną wyrażał. Profesorowie Kazimierz Wyka i Wincenty Danek, którzy wiele mogli i w gruncie rzeczy zaludnili swoimi wychowankami kilka szkół wyższych, zwłaszcza po 1968 roku, widzieli mnie raczej na innych stanowiskach, chętnie korzystali z moich umiejętności redaktorskich. Uposażenia były tak niskie, że zawsze musiałem podejmować mnóstwo dodatkowych zajęć, aby utrzymać i wykształcić dzieci. Zaczęła się wreszcie komplikować moja sytuacja towarzyska z powodu niezręczności i niezrozumiałej dla otoczenia pryncypialności. Pewnego dnia 1978 roku poszedłem do prof. Henryka Markiewicza, ówczesnego dyrektora Instytutu Filologii Polskiej UJ, i powiedziałem, że chcę się starać o przejście w szeregi pracowników dydaktycznych. Profesor Markiewicz uznał moje racje. Rada Wydziału przyznała mi tytuł starszego wykładowcy w tajnym głosowaniu. Wydarzenia najbliższych lat utwierdziły mnie, że dobrze zrobiłem, schodząc z ringu.

Nie jestem gorszy. Mam wydrukowane magisterium, wydrukowany doktorat, jestem dobrym nauczycielem. Miałem honor stawać w obronie kanonu ojczyźnej literatury, gdy większość przezornie milczała... Ze studentami nie mogłem dogadać się tylko wtedy, kiedy organizowano bojkot moich zajęć po opisywanym wyrzuceniu z zebrania pracowników

Wydziału. Na szczęście, to przeszłość. Młodzież ma większe kłopoty niż niepokorny, bezpartyjny nauczyciel.

A swoją drogą, to niespodzianka, że właśnie z UJ pójdę za półtora roku na emeryturę.

Władza nigdy nie stosowała wobec mnie obowiązującego prawa. Karta Nauczyciela przewidywała, że po dwudziestu latach pracy powinno się nagradzać pedagoga Złotym Krzyżem Zasługi. Jestem próżny, zaszedłem kiedyś (już po tym wyrzuceniu) do prof. Włodzimierza Maciąga i nieśmiało przypomniałem o takiej możliwości uhonorowania mojej osoby. Zdumiał się moją bezczelnością i poradził, żebym z tą prośbą poszedł do Komitetu Uczelnianego PZPR. Nie poszedłem, ponieważ Krzyż należał mi się od władz uczelni, gdzie za pół darmo od kilkudziesięciu lat pracowałem. Kto przyznawał odznaczenia innym, a przecież, gdyby chcieli, to by się mogli nimi obwieścić, jak – przepraszam za porównanie – niegdysiejsi sojusznicy na Defiladzie Zwycięstwa?! Kończę już, ponieważ jeszcze bym coś napisał, a moje dzieci mają lata do emerytury... Męczą mnie natrętne zdania:

„Człowiekam kochał i przyrodę... Wielbiłem wolność i swobodę... Nie wabił mnie spiżowy pomnik... Zostawcie po mnie pusty pokój i...”

Jacek Kajtoch

Kraków, kwiecień 1997

Dopiski:

Tak więc w szkicu „Z moich szpargałów” Marianowi Bombie dałem imię Stanisław, a Adamowi Macedońskiemu – Aleksander... W drugim wypadku to może nawet dobrze się stało, przecież ten były współpracownik zetemesowskiego „Forum” energicznie i bez pardonu, odważnie niczym historyczny Macedoński atakuje objawy komunizmu. Gorzej, że błędy wkrały się do mojego biogramu we „Współczesnych polskich pisarzach i badaczach literatury”, tom IV.

Oświadczam, że w Podyplomowym Studium Dziennikarskim Uniwersytetu Śląskiego miałem tylko wykłady w l. 1970-1971. Natomiast w latach 1972-1982 byłem kierownikiem Podyplomowego Studium Dziennikarskiego przy IFP UJ (z przerwami, o których pisałem).

ANEKS

Andrzej Haegenbarth

NOTATKI Z LEKTUR NADOBOWIĄZKOWYCH Jackowi Kajtochowi

I

Błogosławieni ci którzy
wewnętrzne oko mają
albowiem nim jak lunetę
wszystko sobie posprawdzają
(Księga I według A. H.)

Ciemno choć oko wykol
a oko wciąż nie rośnie
nie mam wewnętrznego oka
ludzie mają oczy
więc
nie wychyłam się z siebie

nie chcę ani ani
pokazać siebie bo inni zaraz
tym swoim
szklanym okiem odbijają (w bok)

czasami tylko zakładają na nie
czarne okulary
różowe okulary
czarne okulary
różowe okulary

albo
zdejmują okulary i patrzą
swoim drugim

wrednym okiem
albo
do swego trzeciego
świńskiego oka przykładają
lupę jak armatę i nie widzą mnie
choć jestem wyraźny jak oko

Ludzie-e-e-e!
-kagańce!-kupujcie -kagańce! (na oko)

nie mam wewnętrznego oka
mam dwoje oczu (jak drudzy)
uszy i nerw jak neurotyk
a nie wiem
gdzie pion gdzie poziom
tylko to migotanie migocze

nie chciałbym mieć
wewnętrznego oka bo bardzo bałbym się
że straci mięśnie śmiechu
lub wyrośnie na nim
bielmo
a tak
tylko to migotanie migocze migocząc

ale
gdybym miał widelec którego nie mam
to bardzo chciałbym wyjąć komuś wewnętrzne oko
aby zobaczyć miejsce po oku którego nie ma
a potem gdybym miał szczękę psa
pokręciłbym głową

w lewo
w prawo
i rozgryzłbym oko
w swych myślach

LEKCJA POLSKIEGO – „PLAKAT” S. BARAŃCZAKA

ja im że B. sztuk –
mistrz precyzyjny

a oni wrzasnęli
-gdzie wena?
-gdzie wena?

to ja im
rozwalilem
Mickiewicza mit

w ławkach słysząc
ó
i ęty wstaje
-coś nie tak – powiada
jestem krótkowidzem

a nie mam przekrwionych oczu
i tak mi dookoła

to ja mu
-za mało czytasz po nocach
noc jest po to żeby czytać
zrobiła się trawie-
stacja

Do Komisji Kwalifikacyjnej

Katedra Zesp. Hist. Literatury Polskiej stawia wniosek o mianowanie zastępcą asystenta studenta Grzeszczuka i o mianowanie asystentem Jacka Kajtocha. Wymienieni kandydaci mają objąć obowiązki pomocniczych służb naukowych po dr Spytkowskim, który zostaje zastępcą profesora i po drze Ulewiczu, który otrzymuje tytuł docenta.

W. Kubacki

Proponuję mianowanie asystentem przy katedrze Zesp. Historii Literatury Polskiej ob. Jacka Kajtocha, który napisał i oddał już pracę magisterską, ocenioną przeze mnie jako „bardzo dobrą” i w pierwszych dniach czerwca będzie zdawał końcowy egzamin magisterski.

Praca magisterska Kajtocha „'Ostap Bondarczuk’ i Jaryna’ J. I. Kraszewskiego” zapowiada bardzo uzdolnionego, dociekliwego i samodzielniego badacza, który już na IV-tym roku studiów polonistycznych (a wiadomo, że jest to rocznik wykształcony na skalę swego przejściowego charakteru z trzylatki na studium czteroletnie) umie stawiać i rozwiązywać sporne w krytyce uniwersyteckiej i historii literatury zagadnienia. J. Kajtoch posiada już dzisiaj niezłe przygotowanie do dalszej specjalizacji w zakresie studiów nad historią literatury polskiej.

W. Kubacki

Kraków, 3 VI 71

Szanowny i Drogi Panie Doktorze,

Potwierdzając odbiór Pańskiego listu i, niestety, zobowiązany przez Pana do przyjęcia Pańskiej rezygnacji z zajęć, jakie przez 10 lat prowadził Pan w Katedrze Literatury Polskiej WSP w Krakowie, z żalem przyjmuję Pańskie oświadczenie, a z przyjemnością – zawarte w liście stwierdzenie, iż nie pracowało się Panu źle w zespole, którym w tychże latach kierowałem, a na dobrej, koleżeńskej atmosferze w nim tak bardzo mi zawsze zależało – podobnie jak na wysokim poziomie naukowym i dydaktycznym.

Mogę z całym obiektywizmem stwierdzić – ze swojej strony – że zajęcia Pańskie i udział w zespole Katedry spełniały zawsze takie postulaty. Danym mi było zauważyć doskonale u Pana dyspozycje pedagogiczne, dydaktyczne, umiejętność wzbudzania u studentów potrzebnych zainteresowań i kierowania ich pracą. Z uwagi na własny Pana udział w życiu literackim treść zajęć praktycznych sprzyjała rzeczywistemu zbliżeniu do współczesnej literatury i – szerzej – kultury w skali narodowej, a niekiedy również szerszej (zjawiska z literatury obcej, powszechnej). Proszę w tych zdaniach odczytać moje i Katedry serdeczne podziękowania za współpracę z nami. Chcielibyśmy, by Pan uważał nas za przyjaciół – licząc również nadal na przyjazną życzliwość Pańską i dobre wspomnienia.

Łączę serdeczne wyrazy przyjaźni

Jan Nowakowski

Opinia naukowa o drze Jacku Kajtochu

Dra Jacka Kajtocha, wieloletniego a pełnego inicjatywy sekretarza „Ruchu Literackiego”, znam bezpośrednio i z dużym uznaniem obserwuję w jego pracy od jakichś 17 czy 18 lat. Tak się bowiem złożyło, że jako absolwent polonistyki U.J. (w r. 1955) i przez parę lat asystent w Katedrze Historii Literatury Pol.U.J. debiutował on naukowo najpierw w ramach redagowanego przeze mnie działu historycznoliterackiego „Zeszytów Naukowych UJ” pierwszą swą rozprawką o Kraszewskim ogłoszoną w 1957. Z kolei, w zespole redakcyjnym „Ruchu Literackiego”, miałem znów możliwość śledzić na co dzień jego wkład pracy w każdy prawie zeszyt czasopisma, nie mówiąc już o działalności w ramach serii „Nauka dla Wszystkich” wydawanej przez Oddział Krakowski PAN. Wreszcie zaś – osobiście od lat jeszcze trzydziestych interesując się pograniczem polsko-niemieckim i sprawami śląskimi – z żywą sympatią mogłem z kolei patrzeć na samorzutny tu rozwój naukowy dra Kajtocha jako badacza piśmiennictwa śląskiego oraz na jego studia nad czołowymi pisarzami polskimi na Śląsku pomiędzy r. 1864 a 1918.

W tym stanie rzeczy z trzech wyraźnie się wyodrębniających dziedzin zainteresowań badawczych dra Kajtocha, jakimi są: 1) romanetyczna literatura krajowa i twórczość J. I. Kraszewskiego (łącznie

15 pozycji bibliograficznych), 2) współczesna nam literatura polska po r. 1945 (kilkadziesiąt pozycji) oraz 3) piśmiennictwo śląskie 2. połowy XIX i pocz. XX wieku (17 pozycji) – zatrzymam się przykładowo na tej ostatniej, szczególnie tu indywidualnej i ważnej naukowo.

Badania nad piśmiennictwem polskim na Śląsku rozwijające się tak żywiołowo w okresie międzywojennym (W. Ogrodziński, ks. E. Szramek, L. Łakomy, P. Musioł, Z. Hierowski i in.) oraz po r. 1945 (zwłaszcza Ogrodziński, Hierowski, J. K. Zaremba, L. Brożek, J. Kucianka) znalazły się jednakże ostatnio w pewnym impasie kadrowym. Po nagłym bowiem zgonie Hierowskiego i tragicznej śmierci najzdolniejszej z młodych Kucianki wytworzyła się tam dotkliwa luka, w której dr Kajtoch jest – zdaniem piszącego – najlepiej dziś w tym zakresie badań, w szczególności więc w dziedzinie piśmiennictwa wieku XIX oraz XX przygotowanym badaczem-polonistą, stojącym zresztą stanowczo na progu docentury. Pośród mianowicie wspomnianych wyżej pozycji bibliograficznych śląskich, jakimi się dotychczas legitymuje (a jest to mniej więcej 1/3 jego dorobku naukowego), znajdują się starannie opracowane monografie popularno-naukowe twórczości poetyckiej Norberta Bonczyka (Katowice 1965, s. 110) oraz życia i twórczości Konstantego Damrota (Katowice 1968, s. 120), jak również cenne wydanie polskich oraz niemieckich „Poezji” Bonczyka w Instytucie Śląskim nakładem Ossolineum (Wrocł.-Wwa-Krak. 1967, s. 260) i kilka źródłowych studiów analitycznych o ważniejszych tam pisarzach i zagadnieniach literatury regionalnej, porozsypywanych po czasopismach. Przede wszystkim na łamach podstawowego w tym zakresie periodyku: „Zarania Śląskiego” zapisał się dr Kajtoch jako autor rozprawy o liryce Bonczyka (w 1964) i poniekąd „urzędowy” tam recenzent historycznoliterackich silesiadców, nie mówiąc już o chętniej gotowości do udziału w rozlicznych tam zbiorowych imprezach naukowo-wydawniczych, organizowanych m. in. przez Instytut Śląski (np. w tysiąclecie Państwa Polskiego) oraz żywej od lat współpracy z innymi czasopismami. Wiadomo mi też, że od paru lat właśnie w dziedzinie piśmiennictwa śląskiego żywi on większe plany naukowo-badawcze, których umożliwienie leży stanowczo w interesie naszej nauki i kultury regionalnej na Śląsku.

Nadmienić również trzeba, że dr Kajtoch jest uzdolnionym wykładowcą i dydaktykiem. Oprócz dawniejszej tu działalności asystenta U.J.

oraz wykładowcy na WSP i UŚ w Katowicach prowadzi on także od lat zajęcia z literatury współczesnej na WSP w Krakowie, co stanowi dostateczną chyba rękojmię jego kwalifikacji. Jako pracownik naukowo-dydaktyczny zasługuje na zaufanie swoją postawą i wysokim poczuciem odpowiedzialności.

Tadeusz Ulewicz, prof. UJ.

Kraków, dnia 5 lutego 1972.

Kraków, 11 lipca 1992 r.

*Prof. dr hab. Andrzej Borowski
Dyrektor Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego*

Wielce Szanowny Panie Profesorze!

W tym roku po raz pierwszy kandydaci na historię zdawali egzamin wstępny m. in. z języka polskiego. Było to dla nich poważną próbą, która nam pozwoliła dodatkowo przekonać się o wiedzy i uzdolnieniach kandydata.

Jako przewodniczący Komisji Egzaminacyjnej dla doboru kandydatów na I rok historii pragnę tą drogą podziękować Panu doktorowi Jackowi Kajtochowi za trud i wysiłek włożony przezeń w pracę naszej Komisji. Doktor Jacek Kajtoch zaprezentował nam się jako wyborny dydaktyk. Egzaminował kandydatów bardzo sumiennie, na wysokim poziomie, w formie rozmowy. Można powiedzieć, że nawet jeśli kandydat nie zdał egzaminu, zyskał więcej po tym egzaminie, niż wyniósł ze szkoły średniej.

Wprowadzenie egzaminu z języka polskiego jest dobrym sprawdzianem wiedzy, umiejętności poprawnego myślenia i wystawiania się.

Byłbym wdzięczny i szczerze zobowiązany Panu Profesorowi za urzędowe przekazanie mego podziękowania doktorowi Jackowi Kajtochowi.

Z wyrazami szacunku

prof.dr hab. Kazimierz Przyboś
Instytut Historii UJ

MOI NAUCZYCIELE I...

G otują się zmiany w moim życiu. Przygotowując się do nich, przeglądam rozmaite papiery. Ostatnio świadectwa szkolne, które skrzętnie przechowywała moja Matka, chroniąc przed zaginięciem podczas przeprowadzek. Prawdopodobnie po Niej odziedziczyłem skłonność do troskliwego zbierania urzędowych papierków.

Ale i Ona nie uchroniła przed zatrutą świadectw szkolnych, które musiałem otrzymać po ukończeniu pierwszych dwóch klas w szkole dla młodych Polaków w Wadowicach, które od września 1939 należały do Reichu. Z tamtej szkoły prawie nic nie pamiętam, z wyjątkiem chłodu, mroku i bicia, jakie aplikowali nam z byle powodu nauczyciele. Mówiono, że byli to Ukraińcy. Największe lanie sprawiono mi pod kościołem parafialnym, kiedy z którymś z kolegów rozmawiałem po polsku. Dostałem tak po buzi, że stoczyłem się po schodkach aż na sam dół. Kto zna Wadowice, wie, że schodkami schodzi się z Rynku do lipowej alei, prowadzącej do stacji kolejowej. Tam też znajdowała się szkoła, gdzie rozpocząłem edukację. Wyniki oceniam jako pozytywno-negatywne. Nie lubię języka niemieckiego, w ogóle języków obcych, niech mi wybaczy zjednoczona Europa! W gorączce chorobowej przeklinam w dobrej niemieczyźnie. Po kilkunastu latach od tej egzekucji ukończyłem polonistykę, następnie czterdzieści trzy lata uczyłem języka polskiego. Nie wiem, czy ten żandarm zdążył się z Wadowic ewakuować.

W 1942 pod przymusem wyjechałem do Mielca, gdzie mój Ojciec pracował w fabryce samolotów. Później dowiedziałem się, że była to chluba COPu. Dziś, jak słyszę, kończy egzystencję. Ale do rzeczy... Zna-

lażłem się w gronie rówieśników, najczęściej Ślązaków i Poznaniaków, których rodzice, tak jak moi, odmówili podpisania volkslisty.

Zapamiętałem taką scenkę: Matka niezbyt dokładnie zaciemniła okna, mieszkaliśmy wtedy na Blumenstrasse. Z krzykiem wpadł do naszego mieszkania patrol policyjny, zaczęli od wylegitymowania Ojca. Ojciec na pytanie o narodowość odpowiedział: – Polak. Wówczas policjant krzyknął: – Jaki ty Polok, tyś tak jak jo Ślązok. Tę scenkę dedykuję moim znajomym, którzy aktualnie zabiegają w sądach Rzeczypospolitej o prawne uznanie narodowości śląskiej. Mam po mieczu prawo do zmiany narodowości!

Z lat nauki w Mielcu również mało pamiętam. Pozostały mi natomiast świadectwa w dwóch językach, niemieckim i polskim, z nadrukiem Generalgouvernement – Generalne Gubernatorstwo. Na ostatnim świadectwie, otrzymanym 4 lipca 1944, w wielkim pośpiechu (w szkole, blisko Wisłoki, zainstalowano szpital polowy, przez miasto przelewały się tabuny brudnych i zmęczonych niemieckich żołnierzy. To jeden z najbardziej radosnych okresów w moim życiu, odczuwałem satysfakcję z przynależności do zwyciężającego narodu.) sprawowałem się „bardzo dobrze” („sehr gut”), uczęszczałem do szkoły „regularnie” („regelmässig”), uczyłem się religii „bardzo dobrze” („sehr gut”), języka polskiego „bardzo dobrze” („sehr gut”), rachunków „dobrze” („gut”), geometrii „dobrze” („gut”), przyrody „dobrze” („gut”). Opuściłem 32 godziny, żadnej nie usprawiedliwiono („unenischuldigt”).

Otóż pragnę się teraz z tego zaniedbania wytłumaczyć: handlowałem drożdżami i mydłem, które przysyłała nam Babcia Tomiakowa z Wadowic. Czasami mój utarg był większy od robotniczej pensji Ojca. Tego lipca napisałem do Babci list, żeby mi już drożdży nie wysyłała, o ile zapamiętałem, informowałem Ją, że jestem bardzo zajęty oglądaniem czołgów na ulicach i rozmowami z „naszymi” żołnierzami. Tak uczyłem się obchodzenia cenzury!

Z tej szkoły prawie nic nie wyniosłem, do dzisiaj odczuwam elementarne braki w wykształceniu właśnie na poziomie podstawowym. Zapamiętałem dwie lekcje: jedną, kiedy chyba w klasie trzeciej zostałem królem tabliczki mnożenia, co mi się do dziś przydaje, zwłaszcza odkąd dokonuję codziennych zakupów. Nauczyciel prawdopodobnie nazywał

się Jagiełko, nic mi wtedy to nazwisko nie mówiło, bo o królu Jagielle i jego czynach dowiedziałem się dopiero w wyzwolonej Polsce. Druga, to była lekcja religii. Nauk nie zapamiętałem. Pod szkołą zaczęto strzelać z pistoletów maszynowych. Ksiądz polecił mi sprawdzić, co się tam dzieje. Wyszedłem na podwórko, wydrapałem się na parkan i o mały włos nie zostałem zastrzelony przez niemieckiego żandarma. Na jezdni leżeli dwaj „Jędrusie”. Nie mogę sobie przypomnieć nazwiska księdza prefekta. Miał siostrę, która zginęła podczas bombardowania Mielca, gdy byliśmy już po radzieckiej stronie frontu. Leżała na ulicy, to była pierwsza kobieta, którą zobaczyłem w negliżu. A z księdzem prefektem wypilem kawę po kilkudziesięciu latach w krakowskim Noworolu. Odnalazł mnie i poprosił o umieszczenie siostrzenicy na polonistycie. Udało się, była przygotowana, chciał mi pomóc w sfinansowaniu wakacji dla mnie i dla mojej rodziny. Odmówiłem. Obiecał się pomodlić za mojego Ojca.

Na tym niemiecko-polskim świadectwie szkolnym określono mnie jako chłopca wyznania („konfession”) rzymskokatolickiego. Tak też informowano na dokumentach powojennych. Klasę piątą i szóstą ukończyłem w Wadowicach, w 1945 i 1946 roku. Dla niezających historii Polski powojennej dodam, że religii uczyłem się do końca mojej nauki szkolnej. Na świadectwie ukończenia klasy XIc w Liceum im. Króla Jana Sobieskiego w Krakowie w maju 1951 roku (notabene „wyróżnionej za socjalistyczny stosunek do nauki i pracy społecznej”) mam również bardzo dobrą ocenę z religii.

Jeszcze kilka słów o Publicznej Szkole Powszechnej im. Marcina Wadowity w Wadowicach, gdzie pojawiłem się na wiosnę 1945 roku po powrocie z wysiedlenia do Mielca, jak stałem, z czarnym kundlem nazwanym Cymbałem (zginął po pewnym czasie w Krakowie jako ofiara migracji). Z dokumentów wnioskuje, że uczyłem się nawet bardzo dobrze. Na jednym z nich „Rada Pedagogiczna uznaje ucznia tego [tzn. mnie] bardzo dobrze uzdolnionym do przejścia do klasy siódmej” (tak orzeczono 28 czerwca 1946). Ale chyba się tam niczego nie nauczyłem, nie zapamiętałem ani jednej twarzy pedagogicznej. Przez ponad rok brońnię się przed brutalnymi atakami kolegów, którzy nie mogli ścierpieć w klasie syna działacza PPS. Dziękuję im i serdecznie ich pozdrawiam! Przewodzący tej watasze już nie żyje, był to Jerzy Majka, jeden z ostatnich redaktorów naczelnych „Trybuny Ludu”. Dzięki nim wiem, co to

jest wojna domowa, poznałem ślepą nienawiść. Te doświadczenia pozwoliły mi na podjęcie rozsądnych decyzji w 1981 roku. A kiedy znajduję się w okolicach mojej (?) szkoły w Wadowicach i patrzę na zniszczony obelisk poświęcony młodym milicjantom, którzy padli w tamtych latach, żebym ja mógł skończyć tę siódmą klasę, chociaż w ogóle nie wiedzieli o moim istnieniu, to nachodzi mnie czarna chmura pesymizmu.

Na dobrą sprawę systematyczną naukę szkolną rozpocząłem dopiero w Krakowie. Zamieszkałem z rodzicami i bratem na Alejach Słowackiego pod 40. Dozorca domu przyjął nas niezbyt przychylnie, okrzykiem w rodzaju: – Świat się kończy, kiedy tacy tu się sprowadzają. Potem się nawet z panem Oskwarkiem zaprzyjaźniłem (zawsze miałem dobre kontakty z proletariatem), a przede wszystkim z jego synem Tadeuszem, dziś już nieżyjącym piekarzem, moim pierwszym uczniem. Pomogłem mu skończyć ósmą klasę. Taka to była wtedy praca u podstaw! Oskwerek wytłumaczył mi kiedyś kontekst swoich lamentów: na Alejach przed wojną mieszkała sama dobrze zarabiająca inteligencja, czynsze płacono w dolarach, podczas wojny zaś mieszkali tam urzędnicy centralnych urzędów GG. W tej sytuacji nasze zjawienie się z kilkoma mebelkami i tobołkami musiało go zbulwersować.

Zacząłem uczęszczać do Publicznej Szkoły Powszechnej im. św. Wojciecha, mieszczącej się w podłużnym, drewnianym baraku na Placu Biskupim, jeszcze dziś mam w nozdrzach zapach rozgrzanego drzewa i smoły. Jesień 1946 roku była ciepła, więc mogłem przez pewien czas biegać do szkoły boso ulicą Krowoderską. Bo wtedy wiosną, latem i wczesną jesienią część uczniów nawet w Krakowie chodziła do szkoły boso. W następnych miesiącach nasz poziom materialny trochę się podniósł. YMCA, z którą sąsiadowaliśmy, częstowała nas na wielkiej przerwie śniadaniem, na które składało się gorące kakao i bułka. Pojawiły się też buty i ubrania z amerykańskiego demobilu. Bardzo lubiłem wojskowy płaszcz, który odziedziczyłem po jakimś niezbyt wyrośniętym Jankesie, a nade wszystko kożuszek po nieznanym pilocie. Paczki z UNRY zawierały też papierosy. Zacząłem palić w szkole podstawowej, a nabytego nałogu pozbyłem się dopiero w trzydziestym roku życia, kiedy dr Pykosz ze szpitala im. Narutowicza postraszył mnie rakiem krtani.

W tej kochanej budzie – jest to pierwsza szkoła tak przeze mnie nazywana – zacząłem ciężką drogę do uczestnictwa w życiu Krakowa

i Polski. Żałuję, że nie jestem pewien, jak nazywał się nauczyciel geografii, któremu – miało się to okazać po latach – tak wiele zawdzięczam. Nazywaliśmy go Grzyb, chyba nie był to skrót nazwiska, lecz informacja o tuszy, a głównie wydatnym brzuchu. On prawie w każdą sobotę i niedzielę chodził z nami na wycieczki i pokazywał nam Kraków. Pod jego kierunkiem zadebiutowałem jako publicysta specjalizujący się w zagadnieniach kulturalnych. Napisałem artykuł o sklepieniach krakowskich sieni. Kilkanaście lat temu mój starszy kolega, nieżyjący już dr Zenon Jagoda, pokazał mi fotografię szkolnej gazetki ściennej i zapytał, czy poznaję swój utwór. Niestety, nie wiem, gdzie ta fotografia była reprodukowana. Może bym się z tamtej książki dowiedział, kto rozbudził we mnie miłość do Krakowa i zainteresowanie historią sztuki.

Z innych pedagogów pozostał mi w pamięci przede wszystkim ks. Władysław Bajer. Nazywaliśmy go Władkiem, on sam kazał się tytułować wujkiem, kiedy grał z nami w piłkę lub uczestniczył w rowerowych wycieczkach w okolicy Krakowa. Wiele godzin spędziłem w jego mieszkaniu przy ulicy Długiej 17. W tym czasie chodziliśmy w każdą niedzielę na dziewiątą na Mszę do ojców Pijarów. U wejścia do kościoła stali wójtowie klasowi i dwa razy sprawdzali obecność: na początku i na końcu Mszy św. Władek Bajer wygłaszał dramatyczne kazania, strasząc nas wizją przeróżnych mąk piekielnych, ale najstarsi nic sobie z tego nie robili i pod samą amboną uprawiali hazard karciany. Na lekcjach religii poznałem smak dysput światopoglądowych. Nasz wujek nie znosił Darwina, w obronie którego stawał zawsze Władek Grodziński, zwany Murzynem, syn rektora UJ, sam później profesor tej uczelni. Władek Bajer raz się zaperzył i zaczął wykrzykiwać, że jeżeli Darwin miał rację, to przemawia za jego teorią tylko wygląd samego Władka Grodzińskiego, podobnego do małpy. Nie pamiętam, czyśmy się obrazili, czy zdrowo pośmiali, w każdym razie nie zahamowało to naszego życia towarzysko-religijnego, którego kochanym promotorem był prefekt. Z zapałem uczęszczaliśmy na zebrania Towarzystwa Dzieciątka Jezus (przepraszam, jeżeli coś pokręciłem) do pobliskiego kościoła Wizytek. Ofiarnie wstawałem wczesnym rankiem i na siódmą biegałem do Mariackiego, żeby służyć do Mszy. Zmęczony, zazwyczaj drzemałem, ksiądz prefekt nie raz za mnie dzwonił i budził mnie szturchańcem, gorsząc dewotki. Na szczęście, nie mieliśmy licznej publiczności.

Zapamiętałem dyrektora szkoły, Romana Bienia. I on mnie też zapamiętał. Podczas jakiegoś strajku studenckiego czy gimnazjalnego zapragnęliśmy i my wypłynąć na szersze wody życia społecznego. Kłopot w tym, że nasz klasowy prominent, Jurek Szewczyk, był synem prokuratora wojewódzkiego i nie chciał robić ojcu świństwa. Nie wiem kto (może ja sam?) wpadł na pomysł, żeby go wyrzucić z klasy przez okno, będzie miał alibi przed ojcem. Zrealizowaliśmy plany za zgodą i ku radości ofiary. Ale pan Dyrektor okrutnie nas nazajutrz zbeształ, a zwłaszcza mnie, jak mówił, syna socjalisty. Miał na mnie oko od czasu, kiedy bawiłem się rzucaniem pocztu królów Polski. Wybaczył mi jednak to zachowanie, ponieważ, gdy w lipcu 1967 roku broniłem pracy doktorskiej, przysłał mi piękne gratulacje. To była przyjemna chwila w moim życiu, największa pochwała i wyróżnienie.

Późnym latem 1948 roku prawie cała moja klasa ósma „a” ze szkoły im. św. Wojciecha zebrała się kolejny raz, ale już w auli III(!) Liceum Ogólnokształcącego im. Króla Jana Sobieskiego. Z Placu Biskupiego na ulicę Sobieskiego nie mieliśmy daleko. Tam przywitał nas energiczny, w średnim wieku mężczyzna, w wojskowej bluzie andersowca. Był to Mieczysław Pawłowski, historyk, ówczesny dyrektor Liceum, który skutecznie pomagał nam zaadaptować się do nowych warunków, znosił wybryki i kawały, pomógł przeżyć coraz bardziej skomplikowane czasy. Żałuję, że nie on podpisał się pod moim świadectwem dojrzałości. Użyskania matury pogratulował mi Józef Fijałek, polonista, którego również dobrze wspominam, z moim Ojcem znali się chyba jeszcze sprzed wojny, prawdopodobnie z działalności społeczno-politycznej. Spotkałem go ponownie po kilku latach, kiedy był bodajże dyrektorem Biblioteki Oddziału PAN w Krakowie. Jednak do dyr. Pawłowskiego byłem bardziej przywiązany. Wychowawczynią naszej klasy została zrazu Izabela Molewicz, nauczycielka biologii, zapamiętałem ją jako kulturalną i przystojną panią, nie odegrała ważniejszej roli w moim szkolnym życiu.

Byliśmy od lat zaprzyjaźnieni, dlatego po wchłonięciu kilku nowych kolegów, stawiliśmy czoła profesurze, która w większości składała się z nauczycieli przedwojennych z doktoratami. Rezultaty pracy dały o sobie znać już za trzy lata, gdy zdawaliśmy maturę w sali gimnastycznej dostosowanej do potrzeb egzaminu. Matura ustna wtedy trwała cały dzień, od rana do wieczora, zdawało się z kilku przedmiotów. W komisji

pojawiał się tzw. czynnik społeczny, ale nie robił na nas większego wrażenia. Uzyskałem bardzo dobry wynik, muszę się po latach przyznać, że dzięki profesorowi Jodłowskiemu, który życzliwie potraktował mnie w trakcie zdawania matematyki. Profesor mnie wyraźnie lubił, chociaż nigdy nie wykazywałem większych uzdolnień w matematyce czy geometrii, zachęcał nawet do studiów na Politechnice. Nie posłuchałem, niestety, jak i tych, którzy kusili medycyną, poszedłem za głosem serca i w ten sposób sam skazałem się na kilkudziesięcioletnią poniewierkę.

Wśród szczególnie chronionych pamiątek przechowuję tablo. Przepisuję z niego nazwiska: Rosiek, Orzechowski, Wolwender, Budzyński, Grodziński, Ciechanowski, Owsinski, Diduch, Wasilewski, A. Krawczyk, Zawadzki, Greffkowicz, J. Krawczyk, Knaus, Kumala, Kajtoch (mam bujną fryzurę!), Kordas, Napora, J. Konopka, Szewczyk, Szemraj, Mika, Bukowski, Reinisch, K. Konopka, Nowak, Lenartowicz i Czarnecki. Nie ma na tym tablo Andrzeja Trzaskowskiego, znanego jazzmana, który został zaaresztowany w drodze z mieszkania na Siemiradzkiego do szkoły. Nie wiem, dlaczego nie ma Ablewicza, później ginekologa, od dawna nieżyjącego. Gdzie się podzieli Marek Gedl (profesor UJ), Mietek Maruńczak? Brak Adama Matusika, z którym od wieków kolegowałem i u którego w damskim towarzystwie oblewaliśmy dojrzałość. To był ważny, czerwcowy wieczór, który na dziesiątki lat zdeterminował moje życie prywatne.

I jeszcze jeden szczegół z historii obyczajów: po maturze pojechałem do Wadowic, mój Dziadek, stolarz, stary Tomiak, gdy Mu pokazałem świadectwo dojrzałości, zobaczył mnie w nowym świetle i na znak tego podarował mi paczkę papierosów. Po raz pierwszy zapaliłem papierosa w towarzystwie nestora rodu mojej Matki, ale nie w mieszkaniu, z obawy przed Babcią schowaliśmy się w warsztacie. W Oświęcimiu drugi Dziadek, Franciszek Kajtoch, przedwojenny wójt, poczęstował mnie piwem. Tak stałem się mężczyzną.

Wracam do kolegów: cała moja klasa skończyła studia wyższe, z naszego grona wyszedł rektor Politechniki Krakowskiej, dwóch profesorów zwyczajnych UJ, profesor medycyny, fizyk atomowy (jeden z pierwszych w Polsce), dwóch literatów, multum lekarzy, inżynierów na różnych dyrektorskich posadach. Najważniejsze, że udało nam się utrzymać przy-

jaźń, która sprawdza się w ciężkich chwilach. Tu szczególnie ściskam Józia Owsinińskiego!

Kilka miesięcy temu zostałem zaproszony do naszego Liceum, dziś drugiego (II). Przebiegłem korytarze, obejrzałem aulę, nawet ubikacje, w jednej z nich dyr. Pawłowski pozwolił nam urządzić palarnię (tylko dla starszych klas!). Szukałem wspomnianego tablo. Czyżby Sobek się nas wstydził? W ostateczności można było zakleić informację: „Klasa XIc wyróżniona za socjalistyczny stosunek do nauki i pracy społecznej”. Nasi profesorowie nie byli upolitycznieni w dzisiejszym rozumieniu terminu, może dlatego wyszliśmy na ludzi? W auli nad sceną wisiał napis: „Ars longa vita brevis”. To była główna wskazówka wychowawcza. Tego napisu także dziś nie ma, podobno został zdjęty podczas jakiegoś remontu.

Zostawmy sentymenty i żale. I tak jestem dumny, że ukończyłem Sobka. Cieszę się, że uczy się tam teraz moja wnuczka, Anna Agata.

Jednemu koledze należy się kilka słów dodatkowych. Z Januszem Budzyńskim kolegowałem najdłużej: w szkole powszechnej, w liceum i na polonistyce UJ. Początkowo nazywał się Stachiewicz i mieszkał u wujostwa na Friedleina. Rychło się zaprzyjaźniliśmy i wtedy zawiadomił mnie, że jego ojcem jest Wiktor Budzyński, komediopisarz, autor „Wesołej lwowskiej fali”, twórca licznych zespołów wojskowych u Andersa, w końcu redaktor w Wolnej Europie w Monachium. Nic mi jego nazwisko nie mówiło. Matką była Ewa Stojowska, aktorka Teatru Starego, piękna kobieta. Kiedy Janusz zaprowadził mnie do niej i przedstawił jako przyjaciela, siedziałem sparaliżowany podziwem, wprost uwielbieniem. Była żoną prokuratora Majewskiego. Janusz wciągnął mnie w życie artystyczne, pisywał wiersze, próbowałem z nim współzawodniczyć, zresztą bez rezultatu. W Liceum wspólnie założyliśmy Teatr ZMP im. Franciszka Zabłockiego. Skończyło się na inscenizacji „Kryminalisty” Uptona Sinclaira. Jurek Diduch grał zanadto naturalistycznie, w karafce zamiast wody było to, co w zasadzie być powinno, dyrektor Pawłowski wpadł za kulisy i rozwiązał naszą trupę. Udało nam się tylko wyjechać kilka razy w tzw. teren pod opieką starego działacza Jasińskiego. Byłem autorem programu jako kierownik literacki. Po artykule o sieniach w Krakowie był to mój drugi tekst, poważniejszy, wyraźnie ewoluowałem w dobrym kierunku. Na studiach Janusz udzielał się, gdzie tylko było można, lecz był, jak wielu wybitnych ludzi w Polsce i Ameryce ob-

darzony nadmiernym apetytem seksualnym. Oburzyło to nasze koleżanki z ZMP i Janusz ledwo uratował się, groziło mu usunięcie z ZMP i uczelni. Całą noc obradowaliśmy w taki sposób, żeby go, krytykując, uratować. Znałem jego największe miłości, nie wymienię imion, bo i on, i ja – byliśmy dżentelmenami. Żonie Halinie nawet dałem psa na wychowanie. Po studiach Janusz wciągnął mnie do redakcji „Zebry”, gdzie zdobyłem szlify redaktora i recenzenta literackiego. Myślę, że nie wykorzystał swoich talentów. Przed kilku laty przykro uderzyła mnie wiadomość z Warszawy, że Janusz w rozmowach z kolegami zarzuca mi nielojalność. Wybrałem się do stolicy, chciałem porozmawiać, niestety, już nie miał na to siły. Tak wielka przyjaźń zamknęła się żalem.

Wracajmy do Sobka.

Trzy lata tam spędzone zaważyły na całym moim życiu. Trzy lata i troje nauczycieli.

Do matury z polskiego doprowadziła mnie Zofia Nowakowska. Nazywaliśmy ją po prostu Zosią. W maju obchodziła imieniny. Naten czas cała klasa wybierała się do niej z życzeniami na Osiedle Oficerskie. Szliśmy gęsiego przez całe miasto, każdy z jednym goździkiem. Wchodziliśmy do mieszkania także po kolei, w równych odstępach czasu, a ona dowody naszej miłości zносиła z pogodną twarzą. Mieszkanie nie było umeblowane, Nowakowscy dwa razy wszystko stracili podczas wojny, pierwszy raz gdzieś na wschodzie, drugi raz w powstaniu warszawskim. Jeżeli coś poplątałem, to przepraszam duchy mojej nauczycielki i profesora Jana Nowakowskiego, który po latach, owdowiały, powtórnie ożeniony z dentystką, zajął także ważne miejsce w moim życiorysie. Przewodniczył komisji, która nadała mi stopień doktora nauk humanistycznych w 1967 roku. Na razie o niczym takim nie myślałem i wraz z innymi siadywałem na podłodze wokół olbrzymiego tortu. Bywali na tych imieninach również starsi. Dzięki temu poznałem Kazimierza Wykę i jego żonę.

Zosia Nowakowska kilkakrotnie ingerowała w moje życie. Były wtedy coraz modniejsze wyjazdy na studia do ZSRR. Nęcił mnie Instytut Literacki im. Gorkiego w Moskwie. Podzieliłem się tymi pragnieniami z moją nauczycielką. Zapytała: – Czy chcesz być polskim pisarzem? – Odpowiedziałem twierdząco. – Powinieneś skończyć polonistykę w Polsce, a potem jechać, gdzie chcesz. – Na szczęście usłuchałem. Bo

kimże byłbym dzisiaj? Gorszym Woroszylskim? Tak samo jak on rozczarowanym i chorym z nienawiści?

Zosia chciała pomóc mi w realizacji marzeń i pewnego dnia zaprowadziła na Krupniczą, przedstawiła wysokiemu brunetowi i niższemu piegowatemu rudzielcowi. – Otwinowski, Słomczyński – burknęli pod nosem na moje zamaszyste szurnięcie nogami. Otwinowski polecił mi napisać biografię w formie noweli i obiecał na tej podstawie przyjąć do Koła Młodych. Nie napisałem! Nie byłem nigdy członkiem Koła Młodych. Do Związku dostałem się po dwudziestu latach od tej prezentacji. Prezes Otwinowski umarł na moich rękach podczas zebrania Koła Młodych, którego byłem przez pewien czas opiekunem. Zosia pokazywała mi gazety i książki, których wówczas nie było w programie szkolnym. Na lekcjach omawialiśmy natomiast utwory świeżo upieczonych laureatów nagród państwowych, młodych socrealistów. I wyobraźcie sobie, że nawet to mi się przydało. Od dwóch lat prowadzę wykład, tzw. opcję, na temat spornych problemów rozwoju poezji polskiej po II wojnie światowej, inaczej mówiąc, poezji socrealistycznej. Mam dużo słuchaczy, są zadowoleni.

Na przerwach, zwłaszcza na dużej pauzie, korytarzami Liceum spacerował ksiądz dr Jan Szymeczko, nasz katecheta. To była postać charakterystyczna: starszawy, drobny, w wyświechtanej, połatanej i czerowanej sutannie, jednak zawsze czystej, w powykrzywianych butach, wygolony i pachnący świeżością, sama dobroć. Życzliwie się uśmiechał, kiedy pozdrawiali go biegający w te i we wte chłopcy. Zatrzymywałem się nieraz przed jego niepozorną postacią, a on pytał, jak zresztą innych, czy bym coś zjadł. Nigdy nie odmawiałem, a on z kieszeni sutanny wyciągał raz bułkę, kiedy indziej jabłko, choćby ślazowego cukierka. Pasterzował u Sobka w bardzo trudnych latach. Moje pokolenie przeżywało kryzys religijny. Zaczęło się od upadku autorytetu Kościoła rzymskokatolickiego, który w naszych młodych oczach skompromitował się w trakcie II wojny światowej. Chodziłem pilnie do kościoła, nie tylko w niedziele, i nadśluchiwałem, ale słów protestu jakoś nie udało się usłyszeć. Ani wielcy, ani pomniejsi pasterze nie potępiali hitlerowców. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego nie kwestionowano ich prawa do noszenia pasów wojskowych z napisem na klamrach: „Gott mit uns”. Niektóre z nauk naszych katechetów wyrządzały niepowetowane szkody. Jeszcze

w Wadowicach stałem z Babcią Tomiakową na ulicy, kiedy prowadzono gromadę Żydów. Babcia rozpoznawała sąsiadki i użalała się nad nimi. A ja mitygowałem ją, przypominając, że przecież Żydzi zabili naszego Pana Jezusa. Kto mi o tym powiedział? Z pewnością ksiądz proboszcz Prochownik i jego pomocnicy, którzy przygotowywali mnie na początku wojny w Wadowicach do I Komunii. Jednym słowem, wyszedłem z wojny pełny wątpliwości, a przecież pochodziłem z drobnomieszczańskiego-inteligenckiego środowiska, gdzie księdza zawsze całowano w rękę, a kiedy przechodził z komunikantami przez ulicę, padano na kolana, nie zważając ani na błoto, ani na proch.

Ksiądz Szymeczko miał trudne zadanie, z którego wychodził obronną ręką, z godnością i dla naszego dobra. W miarę starzenia się myślę częściej o nim i z coraz większą sympatią. Może on uchronił mnie od niejednego głupstwa? W tym przynależności np. do Towarzystwa Ateistów i Wolnomyślicieli, do którego wstępowało wielu moich świątłych i znanych kolegów. Nigdy nie byłem osobistym nieprzyjacielem Pana Boga. Całą wiedzę z dziedziny biblistyki, dogmatyki, historii Kościoła jemu zawdzięczam. Czasami wprawiam w zakłopotanie moich uczniów, prymusów aktualnych organizacji katolickich. Za mało, jak na mój gust, wiedzą o chrześcijaństwie i jego wartościach. W gruncie rzeczy on dalej jest obecny w moich rozmyślaniach i kieruje powrotem do źródeł. Czego można więcej oczekiwać od księdza prefekta? Ostatni raz widziałem go chyba pod koniec lat pięćdziesiątych, gdy był na emeryturze i mieszkał, jak się wyraził, na dewocji u Salezjanów w Dębnikach.

Lata całe utrzymywałem kontakt z dr Wincentym Spiechowiczem, historykiem, naszym wychowawcą w klasie maturalnej. Trudno przecenić jego znaczenie w moim życiu zawodowym. Pewnego dnia wezwał mnie po lekcjach do siebie, mieszkał w okolicach Szlaku, może na ulicy św. Teresy, i po krótkiej rozmowie polecił mi przygotować referat na temat konspiracyjnych organizacji młodzieżowych w Krakowie ok. 1846 roku. Trzeba było iść do Biblioteki Czartoryskich, przeczytać protokoły przesłuchań na policji austriackiej, o ile dobrze zapamiętałem, część była po francusku. Nie wiem, czy dr Spiechowicz wiedział, jakie będą konsekwencje jego polecenia. Pamiętam specyficzną atmosferę Biblioteki Czartoryskich, zapach rękopisów, satysfakcję z poznawania rzeczy powszechnie nieznanych. On odślonił przede mną uroki biblioteki na-

ukowej. Mogę dziś wyznać, że do najszcześniejszych zaliczam godziny spędzone w Bibliotece Jagiellońskiej, Ossolineum, Narodowej, Czartoryskich, Wróblewskich w Wilnie, Śląskiej, nawet w tych najmniejszych, tzw. pedagogicznych i publicznych.

Na początku lat dziewięćdziesiątych dostałem książkę Marty Fik pt. „Kultura polska po Jałcie. Kronika lat 1944-1981”. Pod datą 1 IX 1950 przeczytałem, że do szkół średnich wprowadzono nowy program oparty na marksizmie-leninizmie, wiążący nauczanie z aktualnym życiem politycznym i ukazujący Związek Radziecki jako przykład i wzór dla Polaków. Natomiast pod datą 2 IX 1950 znajduje się informacja o zarządzeniu ministra oświaty, nakazującego wycofywanie z normalnego obiegu bibliotecznego książek naruszających zadekretowaną hierarchię wartości społeczno-politycznych. Te dwie sprawy łączyły się ze sobą i należy o nich mówić łącznie. Zrozumiałem wtedy, dlaczego dr Wincenty Spiechowicz kładł nacisk przede wszystkim na wykłady, nie korzystał z podręczników, nie sprawdzał, czy my studujemy zalecone lektury. Obowiązywał wtedy podręcznik do historii autorstwa Jefimowa (jeśli zniekształciłem nazwisko, przepraszam, książki nie przechowałem). Tłumaczenie z rosyjskiego, wiadomości o Polsce były na marginesach, główny wywód przedstawiał historię Rosji.

Znajomość historii Polski zawdzięczam wykładom profesora Spiechowicza.

Z rusyfikacją za pomocą wykładu z historii Europy i Polski zetknąłem się dopiero na Uniwersytecie Jagiellońskim. Wykład dla polonistów przez semestr czy dwa miała prof. Celina Bobińska, prawdopodobnie bezpośrednio po przyjeździe z Moskwy, nie znała jeszcze dobrze naszego języka. Wykład wyraźnie z punktu widzenia rosyjskiego, nie przynosił żadnego skutku, budził sprzeciw i niechęć. Na szczęście powrócił na katedrę prof. Kazimierz Lepszy, późniejszy rektor UJ, i wszystko potoczyło się, jak należy. Nie pamiętam, aby na Uniwersytecie Jagiellońskim przestrzegano jakichś zakazów. Nie rozumiem, jak absolwenci tej uczelni mogą opowiadać, że nie wiedzieli o różnych paktach Mołotow-Ribbentrop i najeździe 17 września 1939 roku.

Notabene: nie pojmuję nauczycieli, którzy opowiadają baniałuki, że nie mogli informować o wojnie polsko-radzieckiej 1920. Jak oni w takim razie interpretowali „Przedwiośnie” Stefana Żeromskiego, część za-

tytułowaną „Nawłóć”. Gdzie według nich odznaczył się bohaterstwem Cezary Baryka? A „Przedwiośnie” było po II wojnie światowej lekturą obowiązkową.

Z Celiną Bobińską widziałem się ostatni raz w styczniu 1982 r. kiedy ostentacyjnie występowała z PZPR. Dziwne są losy komunistów!

Mógłbym kontynuować wspomnienia ze szkoły średniej. Dobrze słowo należy się dr Władysławowi Stabryle. Nie uczył u Sobieskiego, kiedy spędzałem tam czas jako niesforny podrostek. Pojawił się na krótko później, ale miałem szczęście, bo właśnie pod jego kierunkiem odbyłem praktykę pedagogiczną, on wprowadził mnie w tajniki uprawianego do dzisiaj zawodu. Łączył nas dodatkowo szacunek do prof. Kleinera, z którym dr Stabryła współpracował przed wojną we Lwowie. Ucieszyłem się, kiedy dwa lata temu mogłem kupić jego rozprawę doktorską pt. „Wernyhora w literaturze polskiej”.

Łaciny uczył nas Mikołaj Kaszyczko. Nie tylko języka, również kultury greckiej i rzymskiej, to ułatwiło nam trzymanie się europejskich fundamentów w krótkim okresie dominacji socrealizmu. Profesor Kaszyczko wraz z małżonką odwiedził mnie w mieszkaniu na Barskiej. Był jak zwykle swobodny i dowcipny, nie wiedziałem, że ostatnie lata przeżywał w biedzie. Kazia Makowska, ofiarna i życzliwa ludziom pielęgniarzka, córka Bronisława Świstka, woźnego w naszym Liceum, opowiadała mi, że Profesor miał kłopoty z uzyskaniem pełnej emerytury. Naszym nauczycielom los nie oszczędził żadnej przykrości i upokorzenia. Wychodzili z tych opresji z podniesioną głową i nie uchybili powołaniu.

Z Liceum Sobieskiego wyszedłem jako człowiek ukształtowany. Miałem za sobą pierwsze doświadczenia społeczne, decyzje określające opcje polityczne i światopoglądowe, wiedziałem, co chcę w życiu robić, czekało mnie tylko sprecyzowanie szczegółów. Nawet miałem konkretne plany matrymonialne.

Zapomniałem napisać, że w 1949 roku cała nasza klasa wstąpiła do ZMP. Dobrowolnie, ale po długich dyskusjach, czasami dość dramatycznych. Niektórzy koledzy poinformowali inicjatorów przystąpienia do nowej organizacji, że oni także myślą o włączeniu się w życie społeczne, lecz po dokładnie przeciwnej stronie. Przekonaliśmy ich, odstąpili od swoich zamiarów, a jakiś stary rewolwer, z którym wiązali nadzieje na powodzenie akcji antyrządowej, komisyjnie wrzuciliśmy do Wisły. Na

działacza ZMP w skali szkoły szykował się Rosiek, ja pozostałem na poziomie klasy, następnie przeszedłem na krótko do Zarządu Dzielnicego Krowodrza. W samorządzie szkolnym udzielał się Bolek Kordas, znowu pozostawałem na drugim planie jako wicewójt.

Wyłonił się kolejny problem, mianowicie, jak rozpocząć i kończyć lekcje: modlitwą czy hymnem Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej. Znowu po długich debatach osiągnęliśmy kompromis: kto chce, może się modlić (czyniła to mniejszość), inni będą śpiewać hymn, ale i przy pierwszym, i przy drugim – wszyscy poważnie wstają.

Ksiądz Szymeczko zareagował spokojnie na te innowacje. Rozpisał anonimową ankietę z pytaniem, o co nam właściwie chodzi i w jakim kierunku zmierzamy. Nie znam jej wyników. Klasa w dalszym ciągu uczęszczała na lekcje religii i kończyła opanowanie przewidzianego dla szkoły średniej materiału. I pod względem społecznym wyniosłem z Sobka bardzo dużo. Nauczyłem się żyć w środowisku pluralistycznym i dążyć do kompromisu. Miało się jednak okazać, że, jak na razie, w życiu nie dało mi to korzyści. Społeczeństwo polskie coraz bardziej dzieliło się na dwa obozy. Z takich ludzi jak ja każda ze stron była niezadowolona. A kiedy mnie zmuszono do wyraźnego opowiedzenia się, to, niestety, wykazałem się całkowitym brakiem dalekowzroczności i wyczucia, która z walczących stron przynajmniej w perspektywie najbliższych lat – zwycięży.

Osiem semestrów spędzonych w Gołębniku nie miało już takiego znaczenia. Oczywiście, poznałem nowe koleżanki (dotychczas chodziłem do szkół męskich) i kolegów. Niemniej czas nie sprzyjał zawiązywaniu przyjaźni. Początkowo trzymaliśmy się razem z Budzyńskim. Z tych kilkudziesięciu nowych znajomych najgłębiej w serce zapadli mi Andrzej Bilwin, Rysio Cierpiał i Franek Skórka. Już nie żyją. Andrzej Bilwin na pewno byłby świetnym teatrologiem, jego praca magisterska na temat teatrów objazdowych była w tamtych czasach pionierska. Cierpiał umarł na posterunku, ucząc polskiego na rodzinnym Śląsku. Z Frankiem przez pewien czas byłem skłócony, nie mogłem pogodzić się z tym, że zmienił nazwisko na Franz Skórka. Zamieszkał w Niemczech, pozostał jednak socjaldemokratą. Na szczęście pogodziliśmy się, na kilka miesięcy przed śmiercią odwiedził mnie, zobaczył dzieci i wnuki. Z czwartym kolegą, Jasiem Majdą, ojcem chrzestnym mojego Wojtka, do dziś pozostaję

w najlepszych stosunkach*. I tyle, taki jest bilans czterech lat siedzenia w starych, solidnych ławkach z ponad setką rówieśników.

Miałem jednakże dużo szczęścia, dostałem się na studia w momencie, kiedy kończył się stary świat uniwersytecki, zaczynał nowy, jak to teraz widzę, nie na miarę moich marzeń i potrzeb. Wykładało jeszcze kilku wybitnych polonistów. W następnych dziesięcioleciach zburzono hierarchię, fundując pezetpeerowskie „docentury marcowe” i solidarnościowe profesury uczelniane.

Przez cztery lata byłem pod silnym wpływem Zenona Klemensiewicza, poznałem pod jego kierunkiem wszystkie dziedziny językoznawcze: opisówkę, historyczną i historię języka. Po ukończeniu studiów jeszcze przez rok uczęszczałem na seminarium dla wolontariuszy, poświęcone badaniu składni języka poetyckiego. Bardzo mi się to teraz przydaje, kiedy czytam współczesnych poetów, coraz częściej *con amore*, ponieważ nie mam ani gdzie, ani z kim dzielić się swoimi wrażeniami. Profesor Klemensiewicz na swoich wykładach i seminariach zawsze mawiał, że nauka wymaga poświęcenia i bezinteresowności. Pamięć tych adhortacji pomaga mi przeżyć trudne czasy! Profesor imponował mi nie tylko wiedzą, krasomówstwem i umiejętnościami dydaktycznymi. Był nonkonformistą. Zdobył się na przykład, gdy nikt nie ośmielał się kwestionować ZMP-owskiej pajdokracji, przyjść na wykład i rozpocząć od publicznego wywołania do odpowiedzi jednego z aktywistów, Władysława Loranca, dlaczegóż to nie przedstawia postulatów zainteresowanemu profesorowi, tylko peroruje na jakichś „produkcyjnych naradach”. Był dowcipny. Wszyscy wiedzieli, że nie znosił niepunktualności, na kilka minut przed jego wykładem zajmowaliśmy swoje miejsca, a Profesora witaliśmy powstaniem. Jednego dnia profesor Klemensiewicz na dobre zagłębił się w jakieś detale gramatyki opisowej, kiedy otworzyły się drzwi do sali 22. Klemensiewicz gwałtownie się obrócił, potrząsając piękną grzywą siwych włosów. Wszyscy zamarli, oczekując piekielnej awantury. We drzwiach stał Saleh, Jordańczyk, pierwszy student z III Świata na polonistycie. Zanim Profesor wybuchnął, Saleh wykrztusił: – Ja jestem Arab... – Profesor Klemensiewicz roześmiał się i powiedział: – Ależ proszę bardzo, proszę wejść, pan może wchodzić o każdej porze...

Z szacunkiem i miłością odnosiliśmy się do Juliusza Kleinera. Miał piękne wykłady w sali 17. Przychodzili na nie panie i panowie z mia-

sta. Wchodził utykając, siwiuteńki. O ile dobrze pamiętam, Jasio Majda podbiegał i pomagał mu się rozebrać, wieszał płaszcz, kapelusz i łaskę na wieszakach koło drzwi. Kleiner stał na katedrze, chwila skupienia i następował zawsze efektowny początek wykładu, np: „Z uśmiechem na ustach przyszedł na świat książę biskup warmiński...”. W pierwszych latach pracy często przynosiłem Profesorowi książki do Jego mieszkania na Straszewskiego, podziwiałem Jego bibliotekę, wtedy Profesor powiedział mi, że i tak jeszcze nie przeczytał wszystkiego, co powinien. Profesorowa natomiast, kiedy wspominałem te niezapomniane i bezprecedensowe wykłady, wyjawiała mi, że przed każdym pójściem na uniwersytet mąż odbywał próbę generalną przed lustrem. Do dziś uważam, że nikt lepiej od Profesora nie znał romantyzmu. Chciałem napisać: – nie zna. Przeczytałem w latach studiów wszystkie Jego książki na temat Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego. Do monografii Słowackiego nie zniechęcił mnie nawet wstęp, gdzie Kleiner napisał, że autor „Kordiana” żądał od Polaków tego samego co Piłsudski, to znaczy: „duszy anielskiej”. A nie byłem wtedy, jak dzisiaj, sympatykiem Marszałka. Z profesorem Kleinerem można było porozmawiać ma każdy temat. Zapytałem go kiedyś, co sądzi o powieściach socrealistycznych. Odpowiedział trochę zasmucony, że bez wyraźnej szkody estetycznej mogą przeczytać tylko „Węgiel” Ścibora-Rylskiego. Zawsze precyzyjnie wyrażał swoje opinie. Wówczas dyskutowano książkę Stefana Żółkiewskiego „Spór o Mickiewicza”. Profesor ocenił ją zwięźle, łamiąc uniwersyteckie decorum.

Nie wiem, czy wszyscy wiedzą, że, jak wielu wybitnych Polaków, profesor Kleiner ma dwa groby. Pochowano Go w Alei Zasłużonych na Cmentarzu Rakowickim. Rychło się okazało, że Zarząd Cmentarza stawia rodzinie warunki, których ona nie może spełnić: zabroniono postawienia krzyża. Rodzina ekshumowała Profesora i wystawiła Mu grobowiec z symboliką religijną obok Alei Zasłużonych. Co roku tam jestem i zapalam znicz nie tylko za bardzo dobrą ocenę na egzaminie z oświecenia i romantyzmu. Chodzę tam z dziećmi i wnuczętami, później będą chodziły same.

Najwyższą ocenę podczas studiów uniwersyteckich postawił mi Stanisław Pigoń: plus bardzo dobrze. Początkowo jednak nie należał do moich ulubionych wykładowców, chociaż ceniłem Jego rzeczowe podejście do przedmiotu. Przez całe zawodowe życie starałem się go pod tym

względem naśladować. Pod koniec jednego wykładu zaskoczył mnie, ponieważ odbiegł od tematu, co Mu się nigdy nie zdarzało, i powiedział, że to może jeden z ostatnich. Dowiedziałem się, co miał na myśli dopiero rok temu, kiedy przeczytałem w „Arcanach” „Projekt reformy personalnej polonistyki uniwersyteckiej”, opracowany przez Stefana Żółkiewskiego w 1950. Tam przy nazwisku Profesora jest krótki werdykt: „nie przestawi się, należy go odsunąć od pracy uniwersyteckiej, przy filologicznej pracy edytorskiej będzie cenny”.

Profesora Pigonia poznałem bliżej kilka lat później, gdy jako sekretarz redakcji „Ruchu Literackiego” przynosiłem Mu do akceptacji materiały do każdego numeru. Profesor mieszkał na Alejach Słowackiego, był już ciężko chory, w niektóre dni musiał leżeć i pracował w łóżku. Ogłuchł prawie całkowicie. Kiedy spotkałem Go na korytarzu Biblioteki Jagiellońskiej i chciałem zamienić parę słów na temat bieżącego numeru „Ruchu Literackiego”, powiedział stentorowym głosem: – Dobrze, ale musimy mówić cicho, żeby nie przeszkadzać pracującym. – Tak głośno chyba wydawał komendy, gdy dowodził pociągami pancernymi podczas obrony Warszawy przed bolszewikami.

Materiały do „Ruchu Literackiego” zawsze wracały skrupulatnie poprawione i z komentarzami na małych karteczkach. Profesor pisał wyraźnymi, ale drobnymi literami. To był mój drugi uniwersytet, może nawet ważniejszy od pierwszego.

Czasami udawało mi się rozmawiać z Profesorem na inne tematy. Pamiętam, jak po moim powrocie z Wilna wypytywał o wrażenia, kazał szczegółowo opowiadać o stanie Biblioteki Wróblewskich, o znajomych badaczach i pisarzach litewskich, zwłaszcza tłumaczach polskich romantyków. Doszło wtedy do wymiany poglądów. W Wilnie zapoznałem się z materiałami o działalności spiskowej Kraszewskiego w okresie powstania listopadowego, a następnie swoistej palinodii powieściopisarza, kiedy w liście do Dołgorukowa nazwał swoją konspirację błędem młodości. Profesor Pigoń nie chciał zrazu zgodzić się na publikację mojej pracy z powodów społeczno-narodowych. Przypomniałem mu, że w latach profesury w Wilnie ogłosił rewelacyjne materiały z procesu filaretów. Zgodził się na druk mojego drobiazgu! Innym razem zapytałem Go, czy wzorem innych krakowskich profesorów wycofa swój podpis spod listu 34. Odpowiedział, że nie, a w ogóle nie zamierza protestować przeciw-

ko wykorzystaniu tej korespondencji w Wolnej Europie, bo On pisał do Pana Premiera, nie do radia. Szczególnie jedno zdanie zapadło mi w pamięć: nie pamiętam, w jakich okolicznościach powiedział, że powołaniem polonisty jest uczyć polskiego w każdych warunkach. Święte słowa! Przyjąłem je za dewizę całego mego zawodowego życia.

Uczęszczałem na proseminaria doktora Józefa Spytkowskiego. Nie rozumiałem, dlaczego tak mądry człowiek, niemal powalał nas wiedzą z historii literatury i poetyki historycznej, jest na stosunkowo niskim stanowisku. Wpadła mi do ręki jego książka „Stanisław Brzozowski, estetyk – krytyk”, wręcz znakomita, nikt później nie podważył ani jednego zdania. Do przyczyn docierałem powoli. Później profesor Tadeusz Ulewicz opowiedział mi o gehennie, jaką przechodził ten uczony, przed wojną typowany na następcę Stefana Kołaczkowskiego, z powodu przekonań politycznych (ludowiec). W „Słowniku współczesnych pisarzy” (1964) znajduje się Jego biogram, ukazujący drogę życiową i zawodową, budzącą wyłącznie szacunek. Pochodził z wiejskiego proletariatu, teoretycznie powinien mieć w Polsce powojennej wszystkie drogi otwarte.

Sądzę, że do załamania się kariery Józefa Spytkowskiego przyczynili się różni konkurenci do katedry. Jeden Pan Bóg wie, jak było, w każdym razie środowisko nie obroniło wartościowego krytyka literackiego i nauczyciela. Wykonano dyrektywę Stefana Żółkiewskiego, który w cytowanym już dokumencie napisał: „koło czterdzieści lat, wrogi, odsunąć od pracy uniwersyteckiej, może przestawi się po latach”. Profesor Spytkowski doczekał co prawda przełomu 1956 roku, ale złamany psychicznie. Widywałem Go koło Mostu Dębnickiego, gdzie w przygodnym towarzystwie namiętnie grywał w szachy.

Za moich studenckich czasów wschodzącą gwiazdą był Kazimierz Wyka („zbliżony do PZPR, bliski marksizmowi”, jak pisał Stefan Żółkiewski). Wykładał literaturę współczesną i poetykę. Nie zawsze Go rozumiałem. Któregoś dnia dzielił się z nami opiniami na temat odzwierciedlenia w polskiej prozie wydarzeń wojennych 1939 roku. Przerwał wywód czysto literacki i co najmniej kilkanaście minut z aprobatą przedstawiał motywy władz radzieckich, przeprowadzających interwencję zbrojną 17 września 1939. Mówił, jak zwykle, znakomicie, barwnie i przekonująco, nawet wywarło to pewien wpływ na moje poglądy polityczne. Nigdy nie ukrywałem, że byłem wychowany w tradycji socjali-

stycznej, lecz jednocześnie bardzo patriotycznej. „Niepodległość i socjalizm” – taka była dewiza PPS. Jako dziecko byłem świadkiem wkroczenia Czerwonej Armii do Tarnopola i nie powiem, że bym widział jakiś entuzjazm moich rodziców. Toteż odnosiłem się nieufnie do propagandy wychwalającej Stalina i Związek Radziecki. Pod wpływem profesora zacząłem zmieniać zdanie. Wyczuwałem jednak pewną przesadę, kiedy oklaskiwał Stalina jako teoretyka kultury i językoznawcę w specjalnym numerze „Pamiętnika Literackiego”.

Profesor odmówił podpisania mojej prośby do Biblioteki Jagiellońskiej, żeby mi wypożyczono „Tędy” Tadeusza Peipera, które było w prohibicach. – Po co ma pan to czytać? – powiedział.

Ale i on mnie wiele nauczył, przede wszystkim, że bym nigdy swoim uczniom nie zabraniał czytać książek, a po drugie – abym na lekcjach polskiego nie wypowiadał się w kwestiach nieliterackich.

Zdumiało mnie oświadczenie SPP podpisane na początku 1991 r. przez profesora Włodzimierza Maciąga, który w tamtych latach dał się poznać jako aspirant i kandydat nauk. Byłem na obronie Jego pracy kandydackiej o nowelistyce Marii Dąbrowskiej. Otóż SPP protestowało przeciwko udziałowi ZLP w jury Nagrody im. Kazimierza Wyki. Bardzo ich denerwowała obecność mojej osoby wśród jurorów i Ryszarda Kłysia. Boże! Ryszarda Kłysia!, który w latach czterdziestych został skazany na 8 lat więzienia za służbę w AK!

Przepisuję ostatnie zdanie ogłoszonego w prasie oświadczenia: „Mamy nadzieję, że nagroda ta stanie się na powrót taką, jaką była w zamierzeniu jej inicjatorów: honorującą pozycję i osiągnięcia intelektualne niezależne od jakichkolwiek koniunktur”.

Tyle pozostało mi w pamięci.

O profesorze Kubackim, który umożliwił mi start zawodowy i opiekował się mną, dopóki mogł, pisałem przy innych okazjach. Zawsze jest w moim sercu.

Profesor Tadeusz Ulewicz, którego życzliwość dla mnie i mojej rodziny traktuję jako wyróżnienie, pojawił się w moim życiu później, w czasie piętnastoletniej pracy w „Ruchu Literackim”. Jego odejście na emeryturę zamknęło historię starej polonistyki.

Z ówczesnych asystentów jeden w moim życiu odegrał dużą rolę, to Mieczysław Karaś. Był rektorem UJ w 1977 roku, kiedy ośmieliłem

się wziąć udział w manifestacji studenckiej po śmierci Stanisława Pyjasa. Chciano mnie wtedy wyrzucić z posady adiunkta w Instytucie Filologii Polskiej UJ. Hanka Gorazd, namiętnie odwiedzająca komitety partyjne różnych szczebli, przywiozła z Warszawy, z KC, hiobową wieść, że tam się nawet dziwią zwłoce w wykonaniu polecenia. Sekretarz KW, Jan Grzelak, także solennie obiecywał mi eksmisję z Gołębiej. A ja leżałem w domu ze złamaną nogą. Wówczas zadzwonił telefon i sekretarka powiedziała, że będzie ze mną mówił pan Rektor. – Dokonało się! – pomyślałem. A Mieczysław Karaś powiedział tylko jedno zdanie: – Ja ciebie z pracy nie wyrzucę. – Za niedługo o lasce poszedłem na Jego pogrzeb. Mieczysławowi Karasiowi odebrano uliczkę, nie ma nawet sali Jego imienia w Instytucie Filologii Polskiej, chociaż to On go rozbudował.

Tak kończy się kolejny wiek w dziejach naszej starej i z pewnością czcigodnej uczelni.

Kwiecień 1998 r.

PS. Niestety, wszystko się zmieniło w ostatnich latach.

Z MOICH SZPARGAŁÓW

O d pewnego czasu męczy mnie myśl, że powinienem zacząć porządkować papiery, wyciągać wnioski z doświadczeń życiowych. Przyczyną nie jest wiek, chociaż trudno go ukryć, ale przeświadczenie, że wszyscy uczestnicy życia literackiego w Polsce Ludowej – zatem także ja w stopniu określonym możliwościami – przeszli do historii, bez względu na metrykę i stan zdrowia, a także opcję polityczną. Zwolennicy i przeciwnicy układu politycznego zawsze tworzą wspólnotę, powiązaną interesami, towarzysko, mentalnie i razem łądzą na cmentarzu po mniej lub bardziej świadomie spowodowanym wybuchu.

Ponadto dręczy mnie syndrom kapitana Nuta. Myślę, że „Żeglarz” Szaniawskiego jest coraz bardziej aktualny, nawet bardziej niż przed drugą wojną światową. Środowisko literackie jest tak załgane, że tracimy tożsamość, nie jesteśmy pewni własnych życiorysów ani autorstwa swoich książek. Tym powinien zająć się jakiś nowy profesor Kępiński.

W 1993 roku, kiedy jeszcze kupowałem „Gazetę Wyborczą”, dowiedziałem się z artykułu Agnieszki Dajbor, że powieść Krzysztofa Niemczyka „Kurtyzana i pisklęta” ukaże się w Paryżu. Bardzo się ucieszyłem, nie byłem co prawda kolegą Krzysztofa Niemczyka, nie przyjaźniłem się z nim, ale sympatyzowałem z jego talentem i żałowałem, że różne dolegliwości nie pozwalają mu się rozwinąć. Napisałem list do redakcji z uzupełniającą wiadomością, że Krzysztof Niemczyk był jednak w swoim czasie drukowany w ojczyźnie. Mianowicie opowiadania: „Chłopczyk rozbijający rodzinę” i „Tragiczna łąka” ukazały się w tym samym roku, 1964, w „Krakowskim almanachu młodych” i „Forum B”,

jednodniówce Komitetu Wojewódzkiego Związku Młodzieży Socjalistycznej. Nie wydrukowano mojego listu, nie wiem dlaczego.

W styczniu 1994 roku spotkało mnie kolejne rozczarowanie. Przeczytałem artykuł p. Marka Mikosa „Od Szymborskiej do Szymborskiej” na temat prehistorii „Pisma”, które ukazywało się w 1981 roku. Autor według mnie był źle poinformowany, twierdził bowiem, że redaktorzy czasopisma realizowali koncepcję profesora Kazimierza Wyki. Albo był źle poinformowany, albo miał na myśli jakieś inne fakty, których ja nie znałem, ponieważ wydarzenia i dyskusje, w których brałem udział, przebiegały inaczej. I znowu mojego listu do redakcji nie wydrukowano. Odmówiła mi gościny również „Polityka”.

Starania o utworzenie w Krakowie pisma literackiego, które byłoby alternatywą „Życia Literackiego”, zdominowanego przez jedną opcję polityczną i artystyczną, wymagają wyjaśnienia. Jest to według mnie ciekawy przyczynek do życia literackiego w Krakowie w latach siedemdziesiątych. Brałem w tym udział, pisać, co zachowałem w pamięci, może inni uzupełnią lub sprostują.

Z inicjatywą powołania nowego miesięcznika wystąpił Jerzy Kwiatkowski w zimie 1971/1972. Był już wtedy niekwestionowanym autorytetem, zwłaszcza jako historyk i krytyk poezji, to trzeba tym bardziej odnotować, że jeszcze żył Kazimierz Wyka, ale profesor w tym czasie, z powodów raczej pozazawodowych, był jakby na drugim planie. To też zebrania komitetu redakcyjnego odbywały się w mieszkaniu Jerzego Kwiatkowskiego na Krupniczej 22. Najczęściej oprócz gospodarza brali w nich udział: Marta Wyka, Leszek Elektorowicz, Jan Prokop, Jacek Kajtoch.

Długo dyskutowaliśmy o tym, kto mógłby nowy miesięcznik prowadzić. Padało nazwisko profesora Kazimierza Wyki, wszyscy z obecnych akceptowali jego pozycję w środowisku, ale w ostateczności chcieliśmy prosić Tadeusza Nowaka. Nowak był bardzo lubiany. Powszechnie ceniono jego twórczość poetycką i prozatorską, był człowiekiem o wielkich walorach towarzyskich, integrował, a nie dzielił środowiska. Nie bez znaczenia była też jego przynależność do PZPR. W ten sposób stawiał się trudniejszym do pokonania rywalem. Siła Władysława Machejka, ówczesnego redaktora „Życia Literackiego” i długoletniego I sekretarza POP przy Oddziale ZLP, brała się przecież nie z wartości jego utworów

literackich, ale z dyspozycyjności publicystycznej i zasiadzenia w establishmentie partyjnym.

Pismo miało się nazywać „Ateneum”, jak proponował Jan Prokop i co sygnalizowało nasze zamiary. Pragnęliśmy przecież łączyć na naszych łamach poetów i uczonych. W ostateczności redakcja miała się składać z następujących osób: Tadeusz Nowak – redaktor naczelny, Jerzy Kwiatkowski – zastępca redaktora naczelnego, Leszek Elektorowicz – sekretarz redakcji, Kornel Filipowicz, Jacek Kajtoch, Ewa Lipska, Jan Prokop, Marta Wyka, Jan Zych. Redaktor techniczny: Władysław Dulęba. Autorzy stale współpracujący: m.in. Jan Błoński, Tadeusz Hołuj, Stanisław Lem, Wisława Szymborska. Wymienieni zgodzili się na współpracę.

Wniosek o powołanie pisma został złożony w Komitecie Wojewódzkim PZPR w Krakowie w maju 1972 r., ale inicjatywa nie została przez ówczesne władze podjęta. Jakie były zastrzeżenia, nie wiem. Po kilkunastu tygodniach spotkałem Andrzeja Czyża, ówczesnego sekretarza propagandy KW PZPR, mojego kolegę jeszcze z czasów, kiedy obaj pracowaliśmy w organizacjach młodzieżowych. On był przewodniczącym Zarządu Wojewódzkiego Związku Młodzieży Wiejskiej, zresztą znakomitym, zrobił bardzo dużo dla polepszenia życia młodzieży na wsi, ja byłem społecznym sekretarzem propagandy Komitetu Wojewódzkiego ZMS, na pewno, jak zwykle, kontrowersyjnym. Otóż Andrzej Czyż podwiózł mnie do domu i w aucie pod słowem honoru, że się nie wygada (zmiana reżimu zwolniła mnie z tego słowa, prawda, Andrzeju?) pokazał list Władysława Machejka do Egzekutywy Komitetu Wojewódzkiego. Bardzo histeryczny, Machejek pozwolenie na utworzenie drugiego pisma literackiego w Krakowie traktował jako zamach na jego osobę, niełojalność wobec starego towarzysza, niedoceniając zasług itp., itd. Takie argumenty mogły być brane pod uwagę przez adresatów. Zrozumiałem, że z naszych planów wyszły nici. Kilka lat później powiedziałem podczas jakiejś dyskusji Władysławowi Machejkowi, że nasza klęska polityczna w środowisku krakowskim jest spowodowana przez niego. Nie rozumiał moich argumentów i tylko się utwierdził w przekonaniu, że „kajtosz”, bo tak zawsze nazywał moje wątpliwości. Niestety, miałem rację. Niekompetencja i egoizm przyspieszyły dezintegrację środowiska i w końcu wspólną klęskę.

Po blisko dziesięciu latach Komitet Wojewódzki PZPR, a zwłaszcza Jan Grzelak, z którym bardzo dobrze dogadywał się Jan Pieszczachowicz, prezes Oddziału ZLP w okresie śmiertelnego kryzysu pisarskiej organizacji (przypominam, że rozbito nas w 1983 r.), przypomniał sobie potrzebę drugiego czasopisma i wtedy powstało „Pismo” z innym zespołem i innym programem.

W przeszłości przykro odczuwałem skutki niechęci Władysława Machejki do mnie. Czasami były dotkliwe, jak wtedy, kiedy mnie rozpoznał na filmach wśród uczestników czarnej procesji po śmierci Stanisława Pyjasa i kosztowało mnie to rok pozbawienia dodatku za kierowanie Podypłomowym Studium Dziennikarskim przy Instytucie Filologii Polskiej UJ. Innym razem dotyczyły tylko ambicji. Naraziłem mu się zaraz na początku mojej działalności w ZLP.

Jeszcze kilka słów o czarnej procesji. Środowisko „Kuźnicy”, do którego należałem, potępiło mój udział w tym proteście. Np. Dorota Terakowska, dziennikarka „Gazety Krakowskiej” i członkini Wojewódzkiej Komisji Kontroli Partyjnej odmówiła interwencji w tej sprawie. Jedynie Jan Pieszczachowicz zachowywał się przyjaźnie.

Do ZLP wstąpiłem bez jego błogosławieństwa. Długo nie miałem zamiaru tego uczynić. Pamiętam, jak mnie namawiała Hanka Gorazd, ówczesnie bardzo aktywna na polu literacko-dziennikarskim i partyjnym, odmawiałem lekceważąco i nawet niegrzecznie. W latach sześćdziesiątych pochłaniała mnie praca w ZMS i organizowanie przy boku Wincentego Danki redakcji „Ruchu Literackiego”, zajęcia z literatury współczesnej na WSP, wreszcie praca doktorska, której temat był całkiem przypadkowy i niezgodny z dotychczasowymi zainteresowaniami literackimi.

Spotkałem kiedyś w hotelu w Opolu Zdzisława Hierowskiego, po przedstawieniu zapytał mnie, czy wiem, że mam nazwisko śląskiego pochodzenia i czy to o moich przodkach wspominał w jednym ze swoich utworów Norbert Bonczyk, pisarz i proboszcz w Bytomiu. Nic nie wiedziałem, ale mnie zainteresował Bonczyk, potem Damrot, i tak powstała moja praca doktorska.

Ale pod koniec 1969 zdecydowałem się posłać papiery do Zarządu Głównego ZLP z prośbą o przyjęcie. Przewodniczącym Komisji Kwa-

lifikacyjnej był, o ile czegoś nie pokręciłem, Andrzej Kijowski. Musiano mnie w Krakowie popierać, przyznawał się do tego Adam Włodek i Włodzimierz Maciąg. W końcu bardzo szybko, na początku 1970, otrzymałem legitymację z podpisem Jarosława Iwaszkiewicza, którą przechowuję jako największe wyróżnienie.

I oto pewnego dnia zjawiłem się na zebraniu Oddziału ZLP na Krupniczej, gdzie miano wybierać delegatów na XIX Zjazd ZLP w Poznaniu. Przycupnąłem w tyle, bo w pierwszych rzędach zawsze zasiadał establiszment, i obserwuję. Byłem osobiście zainteresowany wyborami. Obowiązywała wówczas zasada, że główną listę przedkładał Zarząd, można było dorzucić nazwiska inne, jeżeli spotkały się z poparciem co najmniej dziesięciu czy więcej kolegów, można było też zgłosić kogoś z sali, ale on już nie miał żadnych szans. Wiedziałem, że koledzy starali się o umieszczenie mnie na liście wyborczej, za podpisami w tej sprawie biegał Jan Prokop, z którym się wówczas przyjaźniłem, uzyskał podpis samego Tadeusza Nowaka.

Prezes Stefan Otwinowski przeczytał listę kandydatów i z całą szczerością oświadczył, że można dorzucać nazwiska, ale to jest bez sensu, ponieważ nie ma szansy, aby zmienić kartkę wyborczą. Wtedy wstałem i wygłosiłem moje pierwsze na Krupniczej przemówienie. Powołałem się na swoje doświadczenia jeszcze z ZMP, że zawsze ostateczną listę kandydatów układano w porządku alfabetycznym, łącząc propozycje Zarządu i uczestników zebrania. Po chwili konsternacji wstał Jan Józef Szczepański i poparł mnie. W rezultacie na Zjazd w Poznaniu (22-23 lutego 1975) pojechali: Leszek Elektorowicz (54 na 80 ważnych głosów), Kornel Filipowicz (59), Tadeusz Hołuj (60), Jerzy Kwiatkowski (52), Jacek Kajtoch (45), Ewa Lipska (52), Włodzimierz Maciąg (43), Tadeusz Nowak (62), Stefan Otwinowski (54), Marek Skwarnicki (47), Jan Józef Szczepański (56), Wisława Szymborska (64), Henryk Vogler (44). Odpadli w wyborach: Tadeusz Kwiatkowski (40), Władysław Machejek (41), Tadeusz Śliwiak (38), Maria Traczewska (32), Leszek A. Moczulski (29), Stanisław Stanuch (25), Anna Świrszczyńska (12).

Nazajutrz w Klubie Dziennikarzy serdecznie gratulował mi Stanisław Gawor, mój student i zarazem zwierzchnik w redakcji „Głosu Młodzieży”, że tak utarliśmy nosa Machejkowi. Ale na nic się to zdało. Nie miałem najmniejszego wpływu na przygotowania i przebieg Zjaz-

du. Dwa razy odbywały się na ten temat narady w KC. Ale tam jeździli Machejek i Śliwiak. Machejek i tak był delegatem na Zjazd, któryś z kolegów zrzekł się mandatu na jego korzyść. A ja zdobyłem na resztę życia w ZLP dwóch potężnych wrogów: Machejka i Tadeusza Śliwiaka, który niemal łzami opłacił tę wyborczą porażkę.

Zastanawiam się dzisiaj, kiedy należą do nie akceptowanych postaci na ulicy Gołębiej czy ulicy Kanoniczej, dlaczego znalazłem się w ogóle w tym gronie, debatującym w mieszkaniu Jurka Kwiatkowskiego na temat profilu potrzebnego w Krakowie miesięcznika.

Otóż były to inne czasy, środowisko pisarskie było pluralistyczne, jednak nie było takich, jak dziś, waśni i podziałów, ludzie bardziej szanowali swoje i innych poglądy, mogliśmy jeszcze ze sobą współpracować. Skład redakcji i lista stałych współpracowników dowodnie to poświadczają.

Jerzego Kwiatkowskiego poznałem w redakcji „Ruchu Literackiego”. Od razu poczułem do niego sympatię i szacunek, bo był naprawdę świetnym fachowcem. On też zaczął odnosić się do mnie z życzliwością, prawdopodobnie dlatego, że jako sekretarz redakcji „Ruchu Literackiego” nigdy nie kierowałem się przesadami politycznymi. Dlatego tak różnie potoczyły się losy współpracowników naszego dwumiesięcznika. Pisywał w nim Władysław Bartoszewski, Jan Prokop, Wiesław Paweł Szymański, debiutowali Stanisław Burkot, Bolesław Faron, Franciszek Ziejka. Wymieniam nazwiska, które w tej chwili mam w pamięci. Nie piszę monografii „Ruchu Literackiego”.

Wracając do znajomości, czy nawet przyjaźni z Jerzym Kwiatkowskim: przez wiele lat mieliśmy wspólny język w sprawach merytorycznych, stosunki zaczęły się psuć dopiero pod koniec lat siedemdziesiątych, kiedy wyszły na jaw różnice polityczne. Biorę z półki bibliotecznej książki Jerzego i odczytuję dedykacje, ponieważ one mogą być historią w pigułce naszej znajomości:

Na „Szkicach do portretów” mam dedykację: *Panu Jackowi Kajtochowi z wyrazami przyjaźni, Jerzy Kwiatkowski, 20.IV.61*; na „Remoncie pegazów”: *Drogim Hani i Jackowi Kajtochom – tego kiepskiego konia w zamian za znakomity koniak – bardzo serdecznie ofiarowuje Jerzy, XI.69*; na „Poezji bez granic”: *Drogim Hani i Jackowi Kajtochom – ze strachem: czy*

Im za bardzo pótek nie obciążam – bardzo serdecznie Jerzy Kwiatkowski, 7.7.67; na „Kluczach do wyobraźni”: *Dzielnemu Jackowi i Milej Hani – Jerzy, VII 75*; na „Poezji Jarosława Iwaszkiewicza na tle dwudziestolecia międzywojennego”: *Hani i Jackowi Kajtochom – Kochanym i Cierpliwym Abonentom BJK bardzo serdecznie, Jerzy Kwiatkowski II 76*.

Za chwilę wytłumaczę, dlaczego Jerzy z pewną życzliwą przesadą nazwał mnie „dzielnym”.

Zacznę od kilku słów komentarza. Wiem, że moje przekonania i opcje polityczne budziły i budzą w środowisku literackim różne opinie. Negatywne, zwłaszcza w miarę zbliżania się do owego roku 1989. Mój starszy kolega, profesor Tomasz Weiss, w zimowych miesiącach 1980 na 81 pytał, co mnie łączy – cytuję z pamięci – „z tą hołotą”. Dwadzieścia lat temu, na Plantach, w pobliżu Wydawnictwa Literackiego, Kornel Filipowicz namawiał mnie do wystąpienia z PZPR. Taką propozycję sformułował Jan Józef Szczepański mniej więcej w tym samym czasie na Wiślniej w pobliżu „Tygodnika Powszechnego”. Pytania zbywałem grzecznym uśmiechem, propozycji nie podejmowałem, jako jeden z niewielu pracowników Uniwersytetu Jagiellońskiego nie wystąpiłem z PZPR i to nie ze strachu, bo przecież w latach osiemdziesiątych nie trzeba było mieć odwagi, żeby wystąpić, ale odwagę, aby w niej pozostać. Nie podzielam uczuć tych, którzy gratulowali rzymskiej virtus pewnemu poloniście, kiedy nazajutrz po otrzymaniu nominacji profesorskiej złożył partyjną legitymację. Mógł to przecież zrobić wcześniej i tak by nominację otrzymał.

Na moje postępowanie złożyło się wiele przyczyn: w latach chłopięcych widziałem wojnę, przegraną w bardzo złym stylu przez II Rzeczpospolitą. Tych kilkanaście dni, które spędziłem na furce podczas ewakuacji z Wadowic pod wschodnią granicę, nauczyły mnie sceptycznej oceny mocarstwowych aspiracji Polaków. Z kolei Niemcy, wysiedlając mnie w 1942 roku z rodzinnego miasta do Mielca w gromadzie idących boso z biedy okolicznych górali (podczas zimy), dali mi lekcję sojuszy politycznych. Jednym słowem, w latach świadomego życia zawodowego i społecznego, które rozpocząłem po przełomie 1956 roku, kierowałem się zawsze dyrektywą, że należy, o ile się tylko da, pomnażać i umacniać gospodarcze i kulturalne fundamenty polskiej tożsamości, budować, ni-

gdy nie burzyć, łączyć, broń Boże, nie dzielić. Ta opcja przegrała, rzeczywistość, ale nie owocuje to dobrymi skutkami.

W dodatku mocne podstawy myślenia w kategoriach sprawiedliwości społecznej (równych praw i obowiązków bez względu na pochodzenie i majątek) zaszczerpił mi mój ojciec i jego bliscy, jak Bolesław Drobnier, Zygmunt Bocian, Stanisław Bomba. Ojciec nauczył mnie też tego, że trzeba płacić za swoje przekonania. Był kierownikiem Wydziału Propagandy w Wojewódzkim Komitecie Wykonawczym PPS w Krakowie i nie chciał się zjednoczyć z PPR, za co go wyrzucono z PPS (jego miejsce zajął Mieczysław Kieta), a następnie po kolei z kilku posad. On nauczył mnie jeszcze jednego, że ta nasza socjalistyczna sprawa (w znaczeniu PPS, zgodnie z hasłem partyjnym: niepodległość i socjalizm) jest ważniejsza od osobistych krzywd. Gdy zmieniły się czasy i mógł po 1956 r. wrócić do ulubionej działalności społecznej, to do śmierci w styczniu 1972 roku był radnym Miejskiej Rady Narodowej w Krakowie z robotniczego Podgórza i skrzętnie budował drogi, pomagał remontować kościoły, bronił krzywdzonych, o czym mówiono na Jego pogrzebie.

Tutaj wrócę do materii mojego pierwszego listu do „Gazety Wyborczej” w sprawie pierwodruku opowiadań Krzysia Niemczyka.

Moje pokolenie borykało się z trudnościami i w zasadzie nie miało warunków do realizacji planów twórczych.

Po raz pierwszy zetknąłem się z tym problemem w redakcji „Zebry”. Z początku szło wszystko dobrze. Redakcja była związana z nowymi i wybijającymi się osobowościami poetyckimi: Bursą, Poświatowską, Czyczem, Harasymowiczem i in. Nawiązaliśmy kontakt z Gombrowiczem, londyńską grupą „Kontynenty”. W naszej ankiecie krytycznej wzięli udział: Wyka, Sandauer, Błoński, Przyboś, Jerzy Zagórski, Jerzy Kwiatkowski. Mieliśmy dobre pomysły, jak przypomnienie po latach publicystyki teoretycznoliterackiej Tadeusza Peipera. I nagle katastrofa. W połowie 1958 roku przyszedł zakaz dalszego druku. Mieliśmy wtedy w ołoiu numer monograficzny, poświęcony poezji naszych rówieśników z Londynu. Pamiętam, z jakim wstydem i żalem zawiadamiałem ich o zamknięciu naszej działalności. Podobno mogliśmy się uratować, gdybyśmy wzorem warszawskiej „Współczesności” żwawiej szukali proktora.

Byliśmy przyzwyczajeni do pracy jawnej i wykorzystywania wszystkich legalnych możliwości. Tym różniliśmy się od następnego pokolenia, tzw. Nowej Fali, które właściwie stworzyło II obieg.

Wracając do rzeczy: wykorzystaliśmy okoliczność, że ZMS przeżywał właśnie najlepszy okres swojej działalności. Wiele wtedy robił dla upodmiotowienia młodzieży, rozbudowy infrastruktury kulturalnej i upowszechnienia zachodnich wartości. W początkach lutego 1962 roku z inicjatywy Leszka Maruty i Stanisława Stanucha utworzyliśmy zespół literacki przy KW ZMS, do którego weszli także m.in. Tadeusz Śliwiak, Jan Zych, Tadeusz Nowak, Krystyna Kleczkowska, Mieczysław Czuma, Wincenty Faber, Elżbieta Zechenterówna i wspominający te czasy.

Chcieliśmy stworzyć pismo artystyczno-literackie, takie integrujące młodzież twórczą spod różnych znaków politycznych i spod opieki różnych Muz, gdyby można było, także z uczelni humanistycznych i technicznych. Według nas ZMS nadawał się na sponsora.

Oczywiście, nic z tych planów nie wyszło. Władze partyjne także dostrzegły niezwykłą aktywność ZMS i pod koniec 1964 roku zmieniono kierownictwo. Bardzo dobrze wspominam czas, kiedy współpracowałem w sekretariacie KW ZMS w Krakowie z Józkiem Najdkiem, Jankiem Majem, Kazkiem Groniem i in. Kierowali nami z Warszawy Marian Renke i Wiesław Adamski, wspierając nasze pomysły i ambicje. Po tych latach pozostały trzy numery „Forum”, znaczone dla zmylenia cenzury literkami A, B i ostatni – „Cebulką” pomysłu Funia Berdaka. W „Forum A” drukowali: Marian Stępień (publicystyka), Tadeusz Nowak (poezja i proza), Tadeusz Śliwiak, Jan Zych, Teresa Socha-Lisowska, Jerzy Harasymowicz, Mieczysław Czuma, Wincenty Faber, Anna Kajtochowa, Wojciech Kawiński, Krystyna Szłaga, Beata Szymańska, Elżbieta Zechenter-Spławińska (wszyscy poezja; wynotowałem tylko nazwiska, które w następnych latach utrwaliły się w literaturze), Stanisław Stanuch, Krystyna Kleczkowska, Janusz Roszko, Andrzej Twerdochlib (wszyscy proza). W „Forum B”, oprócz wymienionych, pojawiły się jeszcze nazwiska Jerzego Michała Czarneckiego, Ewy Lipskiej, Adama Augustyna, Barbary Czałczyńskiej, Anny Gorazd, Krzysztofa Niemczyka (znowu wymieniam późniejsze „gwiazdy”).

„Forum C” zostało przygotowane przez Stefana Berdaka, Jacka Kajtocha, Stanisława Stanucha i Adama Włodka specjalnie z okazji

III Zjazdu ZMS, jak się miało okazać, na pożegnanie i zakończenie współpracy. Złożyły się na publikację utwory pisarzy z Kielc, Krakowa, Olsztyna i Rzeszowa. Wymienię niektóre nazwiska krakowskie: Adam Augustyn, Barbara Czałczyńska, Anna Gorazd, Ewa Lipska, Jan Lohmann, Anna Skoczylas, Beata Szymańska, Elżbieta Zechenter. Ładne pożegnanie, prawda?

Dodam jeszcze, że ilustracje drukowaliśmy z oryginalnych linorytów Stefana Berdaka, Jerzego Napieracza, Janiny Rebrov, Jerzego Skąpskiego, Józefa Szwanca, Zbigniewa Jeżo. Zamieszczali też rysunki Daniel Mróz i Aleksander Macedoński. Również piękna kolekcja nazwisk.

Po nieudanym romansie z ZMS przez kilka lat szukałem możliwości dla realizowania swoich pomysłów w redakcji „Głosu Młodzieży Wiejskiej” (później „Głosu Młodzieży”), gdzie należałem do grona konsultantów literackich obok Jerzego Laua, Józefa A. Frasika, Stanisława Skonecznego i Tadeusza Nowaka. I tu dosięgła mnie ręka historii. W 1972 roku miesięcznik zlikwidowano w następstwie połączenia organizacji młodzieżowych. PZPR dokonała kolejnej próby samobójczej, pozbawiając się samorządnych i samodzielnych organizacji młodzieżowych, reprezentujących różne grupy zawodowe.

W ten sposób wyjaśniam powody mojego pojawienia się na towarzyskich spotkaniach u Jurka Kwiatkowskiego, kiedy to redagowaliśmy program nowego pisma i układaliśmy listę współpracowników. Jeszcze raz szukałem możliwości realizacji marzenia – czasopisma literackiego, poświęconego poezji, prozie, krytyce, łączącego pokolenia i środowiska, umożliwiającego prezentację różnych orientacji artystycznych.

Całe życie pomagałem młodym pisarzom przy starcie. Nie miałem jakichś specjalnych wymagań artystycznych, wyznawałem zasadę, że kultura ma różne poziomy i wszystko się w niej jakoś kumuluje. Najważniejsze jest odtwarzanie i powiększanie stanu posiadania. Było to ważne w sytuacji kultury polskiej, zagrożonej przez mocne kultury sąsiedzkie. Wpadałem w przeróżne konflikty i jako lektor Wydawnictwa Literackiego, i jako recenzent prasowy. Miałem jednak kilka dobrych pomysłów.

Szczególnie lubiłem i lansowałem poetów z grupy „Tylicz”: Andrzeja Warzechę, Andrzeja Krzysztofa Torbusa i Adama Ziemianina (pomogłem mu w otrzymaniu mieszkania na Krupniczej, kiedy się żenił).

Prozaików z „Ponidzia” (Henryk Jachimowski, Ryszard Miernik i in.). Wprowadziłem do środowiska Ryszarda Sadaję i Stanisława Franczaka. W Wydawnictwie Literackim przyspieszyłem debiut: Jerzego Piątkowskiego, Bogusława Dopartę, Anny Skoczylas, Andrzeja Titkowskiego, broniłem debiutu Bronisława Maja przed takimi osobistościami, jak Marta Wyka i Stanisław Balbus. Popełniłem także kilka rażących błędów, przede wszystkim skrzywdziłem Stanisława Bryndzę (przepraszam!).

Wy tłumaczę teraz, dlaczego Jerzy Kwiatkowski w dedykacji nazwał mnie „dzielnym” (Jan Błoński mówił wtedy o mnie „mądry”): w 1976 r. połączyła nas troska o imponderabilia.

Wczesną wiosną Ministerstwo Oświaty ogłosiło projekt utworzenia średniej szkoły dziesięcioletniej i listę obowiązkowych lektur.

Wszystkich ogarnęło przerażenie, kiedy się okazało, że nie było wśród nich dzieł fundamentalnych, jak: „Dziady”, „Kordian”, „Wesele”, „Lalka”, „Potop”, „Przedwiośnie”. Większość uważała, że jest to zamach na polską tożsamość. Łączono go z osławionymi poprawkami do Konstytucji. W pełni solidaryzowałem się ze środowiskiem. Do dzisiaj uważam, że był to ostatni gwóźdź do trumny ekipy Edwarda Gierka. Po kilku latach nasze opinie dowcipnie ujął Tadeusz Konwicki, że Polska wtenczas została ogłoszona „pierwszym kandydatem do ZSRR”.

Chyba pierwszy przyniosłem tę wiadomość i podzieliłem się niepokojem na walnym zebraniu Oddziału 7 kwietnia 1976 r. Zawsze w połowie byłem nauczycielem, pracowałem w szkolnictwie zasadniczym zawodowym, średnim, na koniec wyższym i los języka polskiego w szkołach traktowałem jako własny. Na mój wniosek uchwalono rezolucję, zwracającą uwagę, że wprowadzenie nowego programu nauczania odbije się niekorzystnie na integracji kulturalnej, więzi z tradycją i identyfikacji narodowej. Takie sformułowania były w rezolucji, lecz nie wiem, w jakiej ostatecznie formie wysłano ją do Warszawy. Jan Broniek, kierownik Wydziału Propagandy KW PZPR, telefonował do mnie z propozycją przeredagowania. Nie zgodziłem się, ale jak postąpili inni, szczególnie Zarząd Oddziału, trudno zgadnąć.

Był to okres mojej największej aktywności: 5 maja wygłosiłem referat na specjalnej Środzie Literackiej z udziałem profesury UJ, PAN i WSP, wicekuratora Mieczysława Noworyty, wizytatorów i polonistów. Przemawiałem na kilku nauczycielskich zebraniach środowiskowych

i na połączonym posiedzeniu rad wydziału filologicznego i filozoficzno-historycznego UJ. Referowałem poglądy środowiska i domagałem się uszanowania kanonu literatury narodowej w przyszłej szkole. Zawsze wspomagał mnie swoją obecnością i radą Jerzy Kwiatkowski, wspierał mnie też Wiesław Paweł Szymański.

Kulminacja mojej działalności nastąpiła 9 czerwca 1976 na krakowskim sejmiku kulturalno-oświatowym.

Zapodział mi się tekst mojego wystąpienia, posłużę się więc notatkami Ryszarda Doroszkiewicza, ogłoszonymi w październiku 1976 r. w „Nowej Szkole”:

„W centrum naszej uwagi stoi – stwierdził dr J. Kajtoch – przede wszystkim kanon literatury narodowej. Niestety, nie sposób dopatrzeć się generalnej zasady w doborze lektur. W utworach obowiązkowych nie ma fundamentalnych, na podstawie których do chwili obecnej młodzież kształtowała swój stosunek do tradycji narodowej i formowała swoją postawę obywatelską”.

Według referenta „Konsekwencje kulturalne i społeczne naruszenia dotychczasowego kanonu literatury narodowej przekazywanego w szkole mogą być niebezpieczne”. Wśród niebezpieczeństw dr J. Kajtoch wskazuje na „dezintegrację kulturalną społeczeństwa, osłabienie pamięci historycznej, utrudnienie identyfikacji narodowej, osłabienie więzi z kulturą europejską” i stwierdza, że „generalnie można zarzucić dyskutowanym propozycjom programowym, że ich realizacja nie gwarantuje w pełni osiągnięcia wyznaczonych obecnie celów społecznych”.

Zaproponowany przez referenta kanon lektury powinien zawierać: „Bogurodzicę”, twórczość Kochanowskiego i Krasickiego, „Dziady – część III”, „Kordiana” (całość), „Fortepian Szopena” i „Bema pamięci rapsod żałobny” Norwida, „Nie-boską komedię”, „Lalkę”, „Potop”, „Wesele”, „Przedwiośnie”, „Chłopów” (I tom), „Noce i dnie” Dąbrowskiej (I tom), twórczość Leśmiana i Skamandrytów (Iwaszkiewicz, Tuwim, Słonimski) oraz Baczyńskiego. Nazwisk współczesnych pisarzy dr J. Kajtoch nie podał, ograniczając się jedynie do postulatu, aby w pracach zespołu przygotowującego zestaw współczesnych lektur obowiązkowych nie zabrakło kompetentnych przedstawicieli środowiska pisarskiego. Referent zwrócił uwagę, że w obecnym zestawie lektur nie ma nazwisk Dantego, Szekspira, Balzaca, Lwa Tolstoja, Dostojewskiego, Camusa. „Szkoła powinna przygotować również do odbioru twórczości nie-

realistycznej i należałoby pamiętać, w odpowiednim czasie, o informacji na temat Schulza, Gombrowicza czy Witkacego”.

Pomijam kilka postulatów bardziej szczegółowych, dydaktycznych. Chociaż jeden może warto przypomnieć: proponowałem mianowicie wprowadzenie do wszystkich typów szkół ponadśrednich języka polskiego i literatury na zasadzie lektoratów, konwersatoriów o bardzo zróżnicowanych programach w zależności od potrzeb. Podczas dyskusji doszło do awantury z wiceministrem Romualdem Jezierskim. Powiedziałem wtedy bez ogródek, że cała ta dziesięciolatka i nowy program nauczania języka polskiego to rusyfikacja.

W czerwcu 1976 prasa poinformowała, że Ministerstwo Oświaty i Wychowania zrezygnowało z dziesięciolatki. To nasz, literatów i polonistów, wspólny wielki sukces. To również największe natężenie mojej działalności w ZLP.

Potem współpracowaliśmy jeszcze ze szkołami średnimi. Regularne lekcje w krakowskich liceach podjęli m.in. Marta Wyka, Jan Józef Szczepański, Kazimierz Traciewicz.

Kilka lat miałem pół etatu w V Liceum Ogólnokształcącym, pracę tam wspominam bardzo dobrze, byłem w gronie przyjaznym, m.in. historii uczył mój kolega Marek Eminowicz, polskiego Jadwiga Krengiel, radą pedagogiczną sprawnie kierował dyrektor Mieczysław Stefanów.

Były to ostatnie lata, kiedy środowisko literackie w Krakowie występowało solidarnie. Nie odczuwało się jeszcze podziału na „białych” i „czarnych”, „naszych” i „waszych”.

Tyle komentarza do przedrukowywanego projektu miesięcznika „Ateneum”. Warto ten projekt przeczytać. Ani wcześniej, ani wówczas, ani dzisiaj czasopisma o takich horyzontach w Krakowie nie było i nie ma.

Dedykowane mi wiersze Jerzego Piątkowskiego i Stanisława Stabry przedrukowuję z próżności, dla uczczenia sześćdziesiątej trzeciej rocznicy urodzin.

Kraków, 7 lipca 1996 r.

Wniosek złożony w KW PZPR w maju 1972 r.

W Krakowie, mieście o ogromnych tradycjach kulturalnych, silnym i bogatym w talenty środowisku pisarskim i humanistycznym, szerokiej i chłonnej bazie czytelniczej – istnieje od lat zapotrzebowanie na poważny, obszerny miesięcznik literacki. Istniejąca prasa literacko-kulturalna zarówno ze względu na szczupłość miejsca, jakim rozporządza, jak ze względu na swój profil tematyczno-problemowy – nie jest w stanie potrzeb tych zaspokoić.

Sądzymy, że zaistniał moment, w którym środowisko nasze mogłoby wystąpić z inicjatywą wychodzącą naprzeciw postulatowi polityki kulturalnej po VI Zjeździe, mówiącym o zaspokajaniu aktualnych i rozwijaniu nowych, coraz wyższych potrzeb kulturalnych narodu. Moment jest tym sposobniejszy, że – jak stwierdzono wielokrotnie podczas tzw. „narady wawelskiej” – w Krakowie ostatnimi laty dał znać o sobie pewien regres w życiu kulturalnym, stan powodujący niewykorzystanie istniejących bogatych możliwości, czego wyrazem był m.in. exodus twórców i artystów z naszego miasta.

W tej sytuacji, świadomi pełnego poparcia środowiska pisarskiego Krakowa, wystąpiliśmy z inicjatywą założenia miesięcznika literackiego nawiązującego do najlepszych tradycji kulturotwórczych Krakowa. Jesteśmy przeświadczeni, że powstanie nowego poważnego miesięcznika przyczyniłoby się do ożywienia życia literackiego i kulturalnego, a także naukowego, naszego miasta i rejonu a jednocześnie przydałoby mu rangi w skali ogólnopolskiej.

Pragnęlibyśmy, aby adresatem naszego pisma była – oprócz środowisk intelektualnych i artystycznych – cała nowa inteligencja, zarówno humanistyczna jak techniczna, i kregi szeroko pojętej publiczności literackiej.

Wyobrażamy sobie, że zakres miesięcznika, w sensie czytelniczym jak i autorskim, byłby ogólnopolski, przy czym środowisko pisarskie Krakowa odgrywałoby w nim rolę dominującą. W ten sposób środowisko to, różnorodne i liczne (ponad 120 członków ZLP), pozyskałoby pełną szansę prezentacji swoich osiągnięć.

2.

Miesięcznik nasz miałby charakter literacki (poezja, proza, esej, dramat, krytyka), poszerzony o wielostronnie potraktowaną problematykę humanistyczną, uwzględniający także całokształt nowoczesnej nauki i kultury i ich aktualne przemiany.

3.

Pismo otworzy swe łamy przed pisarzami reprezentującymi różne kierunki i szkoły artystyczne. W dążeniu do utrzymania wysokiego poziomu, tak co do jakości jak i zawartości intelektualnej, kierować się będziemy, jako zasadą selekcji, oceną wartości artystycznej i problemowej.

Dopuszczając do głosu wszystkie orientacje estetyczne i literackie, nie stroniąc od cennego, przemyślanego eksperymentu twórczego, chcielibyśmy, aby zamieszczane przez nas utwory nacechowane były poczuciem odpowiedzialności za słowo, dojrzałością kształtu artystycznego, dużym intelektualnym ciężarem gatunkowym, tym wreszcie rodzajem oryginalności, który świadczy i o silnej indywidualności autora, i o przemyślanych przezeń poglądach estetycznych, a który w efekcie przynosi nową jakość artystyczną, literacką, humanistyczną.

4.

Główny nacisk w piśmie naszym położony byłby na twórczość oryginalną. Szczególne znaczenie – jak sądzymy – pismo to miałoby dla przedstawicieli tych gatunków literackich, które z racji swej objętości nie mogły znaleźć dla siebie wystarczającego miejsca w dotychczasowej prasie literackiej Krakowa i całej Polski południowej. Chodzi tu zwłaszcza o prozaików (krótka powieść, dłuższe opowiadanie), dramaturgów, eseistów. Także i poeci zyskaliby w naszym piśmie szansę pełniejszej prezentacji, a to dzięki przewidywanej przez nas praktyce zamieszczania większych bloków wierszy, poprzedzonych niekiedy wstępem krytycznym.

5.

Reprezentując w zasadzie dojrzałe pokolenia pisarskie, uważamy za swój obowiązek pozostawać w ścisłej współpracy z pokoleniem najmłodszym. Wobec istnienia czasopism i publikacji typu „Studenta” czy – zapowiedzianego – „Nowego Wyrazu”, poświęconych specjalnie literaturze młodych – rolę naszą widzimy tu jako międzypokoleniowego łącznika. Istnieją wypowiedzi młodych autorów, których głównym celem jest zmanifestowanie zbiorowych dążeń wstępującego pokolenia i dla których miejscem najwłaściwszym jest prasa wymienionego powyżej typu. Ale istnieją także i takie utwory, które – umiając połączyć partykularyzm pokoleniowy z walorami o charakterze uni-

wersalnym – zwracają na siebie uwagę dojrzałością artystyczną i myślową. Jest ich obecnie niemało. Tym właśnie indywidualnościom spośród najmłodszych, czy to poetów, czy prozaików, czy eseistów i krytyków – pragnęlibyśmy również szeroko otworzyć łamy naszego pisma, ułatwić im start, przyspieszyć ich włączenie się do ogólnopolskiego ruchu literackiego i umysłowego.

6.

Duży nacisk pragniemy w piśmie naszym położyć na krytykę literacką: także i pod tym względem środowisko krakowskie jest wyjątkowo silne. Chodzić tu będzie zwłaszcza o trzy sprawy:

- a) o maksymalną, w rozsądnych granicach dążącą do panowania nad całością produkcji literackiej – działalność recenzencką,
- b) o krytykę typu eseistycznego,
- c) o problematykę autorefleksji krytycznoliterackiej.

Ad a) Recenzjom – a brak ich odczuwa się w całej niemal prasie literackiej – będziemy się starali poświęcić wiele miejsca, mając na uwadze zarówno czytelnika, dla którego niejednokrotnie będzie to jedyna informacja o książce, jak autora, któremu – mimo wszystkich, znanych dobrze zastrzeżeń – rzetelna, umotywowana, kompetentna recenzja może wiele pomóc w dalszej twórczości. Dążąc do możliwie pełnego serwisu recenzyjnego, mamy zamiar wprowadzić rubryki recenzji zbiorowych, w których jeden krytyk omawiałby w skróconym trybie nowości mniej wybitne. Pragnąc zaś dział ten ożywić i uczynić bardziej polemicznym – przyjmujemy ewentualność umieszczania dwugłosów bądź dyskusji o szczególnie interesujących książkach.

Ad b) Wchodzi tu w grę zarówno krytyka problemowa, m.in. postulatyczna i syntetyzująca (próby syntez poszczególnych okresów współczesnej literatury, gatunków itp.), jak – eseistyczne ujęcia problematyki historycznoliterackiej czy eseistyka dotycząca literatur obcych i zagadnień z dziedziny komparatystyki. Istnieje tu możliwość pisarskiego zaktywizowania naukowego środowiska filologicznego (Uniwersytet Jagielloński, Krakowska Pracownia Historycznoliteracka XIX i XX w. Instytutu Badań Literackich

PAN). Ważnym działem byłyby także syntetyczne szkice-portrety poszczególnych pisarzy.

Ad c) Mamy tu na myśli niezwykle bogatą problematykę teoretyczno-krytyczną, która w ostatnich czasach zrewolucjonizowała krytykę literacką, wzbogacając ją o nowe metody, w różnorodny sposób analizujące dzieło literackie i ukazujące jego powiązania z innymi dziedzinami kultury. Problematyka ta, znacznie przyczyniająca się do integracji humanistyki i nauki w ogóle (por. 7,8), niemal zupełnie nie dociera do czytelnika czasopism literackich, znana zaś jest wyłącznie specjalistom. Najwyższy czas, by z zagadnieniami tymi zapoznać szersze kręgi czytającej publiczności. Sądzymy, że znajomość tej problematyki przyczyni się do zrozumienia w pełni nie tylko współczesnej krytyki, lecz także – literatury.

7.

Pragnąc przyczynić się do integracji nauki, projektujemy wprowadzenie do nowego pisma – na prawach ważnego partnera – całej współczesnej humanistyki. Jeśli chodzi o stronę personalną, mamy tu na myśli poszerzenie kręgu współpracujących autorów o przedstawicieli dyscyplin humanistycznych, zwłaszcza o autorów związanych z uniwersytetem i instytutami naukowymi. Jeśli chodzi o stronę merytoryczną – poszerzenie działu eseistycznego o artykuły wprowadzające w problematykę owych dyscyplin, a zwłaszcza – ukazujące pogranicza: między literaturą a filozofią, estetyką, psychologią, historią sztuki, językoznawstwem, socjologią, historią... Przede wszystkim zaś – o artykuły, które ukazując tę problematykę w rozległym aspekcie kulturowym, a jednocześnie w nowy sposób, przy użyciu nowych metod – zbliżają poszczególne dyscypliny do siebie, wskazują na ich zbieżności, przenikają je jednorodną myślą badawczą i – tym samym – przyczyniają się do ich integracji.

8.

Na związkach tych – jak sądzymy – nie należy poprzestawać. Nadchodząca rewolucja naukowo-techniczna stawia przed intelektualistami nowe zadania. Pragnęlibyśmy przyczynić się do ich podejmowania i rozwiązywania, wprowadzając do naszego pisma problematykę związków między myślą

humanistyczną a naukowo-techniczną i otwierając nasze łamy tym wszystkim autorom, którzy do problematyki tej wnoszą nowe wartości, ukazując ją zarówno w aspekcie współczesnym jak futurologicznym.

Jednym z celów tego kierunku publicystyki byłoby zmniejszanie wciąż nazbyt wielkiego jeszcze dystansu między kulturą humanistyczną a naukowo-techniczną, polemikę z teorią „dwu kultur” – poprzez praktyczną realizację na naszych łamach postulatów integracji nauk ścisłych i technicznych z wiedzą humanistyczną. Droga ta prowadzi do postępu zarówno w sensie społeczno-moralnym jak i techniczno-cywilizacyjnym. Narastające od początków stulecia zjawisko polaryzacji kultury i techniki, prowadzące obydwie te dziedziny w szkodliwą dla myśli ludzkiej, a nawet dla poczucia bezpieczeństwa ludzkiego – ciasnotą nadmiernej specjalizacji, domaga się czynnego współdziałania w procesie jednoczenia, integrowania osiągnięć wiedzy ludzkiej poprzez stosowanie nowych metod, teorii, sposobów myślenia, stanowiących pomost między tymi dwiema dziedzinami. Pragnęlibyśmy, aby problematyka ta stała się bliska naszemu czytelnikowi. Ważność jej zaznacza się ze szczególną siłą dzisiaj, powtórzmy: w dobie energicznego wkraczania naszej gospodarki – a także kultury – na drogę pełnej rewolucji naukowo-technicznej.

Naukowe i literackie środowisko Krakowa rozporządza pod tym względem znacznymi możliwościami, stanowi rezerwuár wiedzy i autorytetów naukowych, który stwarza rękojmię realizacji naszego programu. Pragniemy też podkreślić, że zapewniliśmy już sobie stałą współpracę Stanisława Lema, pisarza o rozległej kulturze naukowej i humanistycznej, którego artykuły stanowiłyby jeden z fundamentów tego działu.

9.

Jednym z ważnych zadań, jakie chcielibyśmy podjąć, jest zapoznanie naszego czytelnika z najciekawszymi i najwartościowszymi zjawiskami literatury światowej. Zaniżony w porównaniu z innymi krajami demokracji ludowych wskaźnik tłumaczeń z literatur obcych w Polsce to sygnał skłaniający nas do uzupełniania tych niedoborów także i w naszym piśmie. Właściwa prezentacja literatury obcej winna łączyć się z dobrym w niej rozeznaniem i odpowiednią selektywnością, a także nieraz – z krytycznym do niej wprowadzeniem. Stąd też udział w naszym zespole pisarzy i krytyków będących jednocześnie neofilologami.

Wychodząc w ten sposób naprzeciw potrzebom czytelniczym, stwarzamy dodatkową szansę licznemu w Krakowie i silnemu środowisku tłumaczy, otwieramy także możliwości dla młodych adeptów sztuki translatorskiej.

10.

Dużą wagę przywiązujemy do działu sprawozdawczego. Obejmować on będzie m.in. informacje o życiu literackim polskim (imprezy kulturalne, zjazdy, festiwale, sesje naukowe itp.), ze szczególnym uwzględnieniem Polski południowej. Tę część działu mamy zamiar powierzyć jednemu z kolegów, który zainteresowania literacko-naukowe łączy z publicystycznymi. Pragniemy, aby owa kronika życia literackiego redagowana była żywo i w sposób jak najdalszy od stereotypów.

Znaczna część działu sprawozdawczego poświęcona będzie literaturom zagranicznym. Uwagę noszą kierować będziemy przy tym nie tyle ku kronikarskiemu odnotowywaniu zdarzeń bieżących (nagrody itp. sensacje), lecz ku zjawiskom trwalszym, takim jak nowe pozycje książkowe, nowe nurty literackie, nowi autorzy. Projektujemy stały serwis informacyjny dotyczący literatur: angielskiej, amerykańskiej, czeskiej i słowackiej, francuskiej, hiszpańskiej i południowo-amerykańskiej, jugosłowiańskiej, niemieckiej, rosyjskiej i narodów Związku Radzieckiego. Nowości z każdej z tych literatur będzie omawiał w zasadzie inny autor, specjalizujący się w danej dziedzinie. Tylko niektóre literatury – zwłaszcza: należące do jednego obszaru językowego – byłyby traktowane łącznie, w sprawozdaniu jednego autora.

11.

Spośród innych projektowanych przez nas rubryk pragnęlibyśmy zwrócić uwagę na dział „Konfrontacje”, określający nasz udział w aktualnej problematyce społeczno-kulturalnej, na felieton literacki, który zamierzamy powierzyć jednemu z wybitnych pisarzy, oraz na „Archiwum”: dział zawierający szczególnie ciekawe inedita i materiały dotyczące znanych pisarzy przeszłości.

12.

Tytuł pisma: ATENEUM.

13.

Orientacyjne dane techniczne:

Format: B5 (ok. 170 mm x ok. 240 mm). Objętość: ok. 10 ark. druk., ok. 13 ark. wyd. Papier: III kl. Nakład początkowy: 5000.

Redakcja: Tadeusz Nowak (redaktor naczelny), Jerzy Kwiatkowski (zastępca red. naczelnego), Leszek Elektorowicz (sekretarz redakcji), Kornel Filipowicz, Jacek Kajtoch, Ewa Lipska, Jan Prokop, Marta Wyka, Jan Zych.

Redaktor techniczny: Władysław Dulęba.

Autorzy stale współpracujący: m.in. Jan Błoński, Tadeusz Holuj, Stanisław Lem, Wisława Szymborska.

14.

Inne dane osobowe i rzeczowe (orientacyjne):

Korekta i adiustacja: jedna osoba.

Sekretariat: dwie do trzech osób (sekretarka, maszynistka, goniec).

Lokal redakcyjny: stan optymalny – cztery pokoje (dwa dla redaktorów, jeden dla sekretariatu, jeden dla korekty).

Stanisław Stabro

DLACZEGO NA OBRAZACH TEJ SZKOŁY PRZEWAŻA KOLOR CZERNI

Panu Doktorowi Jackowi Kajtochowi

*To pióro pragnie zapisać ślad Madonny z Dzieciątkiem
to pióro nie pragnie stawiać
chaosu ani otchłani.*

*Lecz czym wytłumaczyć cień
co pełznie z jasnych ogrodów
i czym wytłumaczyć miecz
wzniesiony aby zranić.*

*Nie w przyszytych ogrodach
głębokiego klasyka
ani w rażonym trwaniu
klerka i awangardzisty
ukrywa się płocha zdobycz
w krew przemienionej poezji.*

*To pióro pragnie zapisać ślad Madonny z Dzieciątkiem
to pióro pragnie sławić
dościganie zdobyczy.*

*I wejść w niejasny obszar
między ogrodem a łąką
między wrzawą bitewną
a śmiercią towarzyszy.*

*Nie w przyszytych ogrodach
na znak podniesionej pobudki
ani w zwyczajnych surmach
ukryte odwaga i męstwo.*

*Aby dościsnąć zdobycz
w krew przemienionej poezji
raz jeden trzeba uwierzyć
że śmierć i nadzieja
to jedno.*

Panu Doktorowi Jackowi Kajtochowi
z wyrazami serdecznej sympatii
Stanisław Stabro
Kraków, 27 X 1973

Jerzy Piątkowski

JACKOWI KAJTOCHOWI

*Żyjemy w ciekawych czasach
Literowanych już nie znakiem królewskim
Chociaż jeszcze w pucharach
Zamyka się pamięć
Po Augustach
A działy wód bogatsze o krew
Zatrzymują naszą uwagę
I tylko morze do nich wybiega
Z czerwonym księżycem
Do którego poeci wznoszą toasty
Za ostatni przemarsz wojsk napoleońskich*

*Nie wzdrygać się
Jakbyś nagle zobaczył wystającą
Nogę spod śniegu
Bo zbyt wiele to lat
Możesz zgodzić się nawet
Że to ty jesteś tym małym wodzem
W czterech ścianach
Gdzie szpileczkami na mapie znaczysz bitwy
Aż zmuszony przez los
Zaczynasz odwrót w kierunku kuchni
Gdzie odbywa się już przeprawa
Talerzy do kolacji*

*Dr Jackowi Kajtochowi
Który z pewnością zesłany zostanie
na wyspę Św. Heleny
jako ten (krytyk literacki), który
usiłował wylansować jeszcze jedno chore
na poezję serce
– najserdeczniej –*

Jerzy Piątkowski
Kraków 25.III.1976 r.

TEGO SIĘ NIE ZAPOMINA

Przyjaciele węgierscy zwrócili się do pisarzy świata z ważnym apelem. Pragną mianowicie w pięćdziesiątą rocznicę rewolucji węgierskiej 1956 roku przygotować publikację zawierającą „pamięć o Węgrzech, które w imię niepodległości powstały przeciw totalitarnej dyktaturze”. Apelują: „Utrwalcie swoje wspomnienia na papierze, napiszcie, jak z dzisiejszej perspektywy widzicie tamto historyczne wydarzenie XX stulecia!”.

Apel dotarł także do mnie, co uważam za szczególny honor.

Nie należy oczekiwać ode mnie żadnej pracy historycznej czy historycznoliterackiej. Sięgam tylko do głębszych pokładów pamięci. Konfrontuję je jednak z moją dzisiejszą świadomością i wiedzą. Otóż myślę, że tamtej jesieni byłem świadkiem początków destrukcji jałtańskiej Europy. Wszystko zaczęło się w ciągu kilku miesięcy. W czerwcu 1956 strajki i w zasadzie powstanie robotników w Poznaniu, w październiku rewolucja na Węgrzech, a w Polsce – na szczęście nie krwawy – przełom październikowy. Wówczas runął stalinowski Związek Radziecki, konał co prawda długo, ale wreszcie na przełomie 1989/1990 zaczęły się wyłaniać kształty nowej Europy.

Należę do pokolenia literackiego „Współczesności”. Nie wszyscy pamiętają charakterystykę socjologiczną tej generacji, która też należy już do historii. Zaliczają się do niej autorzy urodzeni między 1930 a 1935 rokiem. Co z tego wynika? Przeżyliśmy dwie traumy: II wojnę światową, dla Polaków bardzo bolesną, zakończoną przecież zburzeniem stolicy i hekatombą prawie wszystkich wykształconych i myślących obywateli, a wchodziliśmy w życie dorosłe, po ukończeniu studiów, założeniu rodzin, na pierwszych posadach itp. właśnie w okresie tzw. przełomu

październikowego. Te trzy-cztery miesiące zadecydowały o naszej przyszłości, określiły naszą postawę narodową i społeczną. Nieprzypadkowo jednym tchem wymieniałem Poznań, Budapeszt i polski Październik. Rewolucja węgierska jest w naszej pamięci na równych prawach z wypadkami polskimi. Ja przynajmniej wydarzeń polskich i węgierskich nigdy nie rozdzielałem. To było największe doświadczenie mojej młodości. Także nauka na przyszłość.

Wiadomości, jak zazwyczaj w tamtych czasach, mieliśmy z kilku źródeł. Radia na ogół nie słuchałem. Nawet Wolnej Europy. Czytałem z pasją „Dziennik węgierski” Wiktora Woroszylskiego, drukowany w „Nowej Kulturze”. Był to reportaż wojenny, zapadł mi w pamięć jak rzadko który tekst z tamtych lat, wg mnie jest najlepszym utworem tego pisarza. Po latach dowiedziałem się, że wykreślono z niego fragmenty szczegółowo opisujące inwazję Armii Czerwonej. Mnie to nie przeszkodziło w odbiorze, wiedziałem przecież, jak wygląda klęska wojenna, wkroczenie obcych wojsk, represje i pogrom ludności cywilnej. Przeżyłem wrzesień 1939.

Najważniejsze były informacje dostarczane przez kolegów. Na Uniwersytecie Jagiellońskim po rozpadzie Związku Młodzieży Polskiej powstał Rewolucyjny Związek Młodzieży, lewicowy, lecz antystalinowski. Tu zbierano przede wszystkim krew, żywność i odzież dla rannych. Między kolegami mówiono, że najczynniejszy był polonista, Adam Ogorzałek, chociaż nie zawsze udawało mu się doprowadzić transport kolejowy na Węgry. Władze czechosłowackie pociągi rekwirowały. My oddawaliśmy krew.

Z tego okresu pozostał mało znany wiersz Juliana Przybosia, kilkadziesiąt lat schowany w zakurzonych rocznikach „Przeglądu Kulturalnego”. Przypominam go, ponieważ to bardzo znamienity utwór i dowód wypełniania przez literaturę polską obowiązku solidarności międzynarodowej:

Październik 1956

Przetaczamy krew dla rannych Węgier,
przelewamy z narodu w naród,
czerwień płynie ze sztandaru do sztandaru,

przetaczamy krwawiącą potęgę.
Sztandar ten sam, kolor ten sam,

który pałał
w siedemnastym i gwiazdę spłomienił
w nocnym szturmie na Zimowy Pałac,
aby drzewce tej samej czerwieni
rozrosło się chorągwiami ludów
w wielkie drzewo Października wieku.

...W Październiku października nie nam
dłonie z bronią w obronie jednocy
z serc bijąca, przelewana lekko,
bez bólu, bez trudu:
wróg bagnetem ich, lekarz igłą nas ukłuł.

... Na budapesztańskim bruku
ze sztandaru został tylko strzęp,
jak jesienny czerwony liść
padający na otwarte oczy
ostatniego poległego w walce
o powroty Październik – – –

Przelaliśmy krew
z żył – do otwartej rany

Późniejsze o dobrych kilka lat wypowiedzi poetyckie m. in. Wiśławy Szymborskiej i Zbigniewa Herberta nie wywoływały już takiego skurczu serca. Julian Przyboś powiedział najlepiej to, o czym natenczas myśleliśmy: zbrukano socjalistyczny sztandar i socjalistyczne ideały. Nie dziwię się, że Julian Przyboś w 1958 roku wystąpił z PZPR.

To było wielkie wydarzenie polityczne, oczywiście nie nadawano mu rozgłosu. Mówiono tylko niemalże na ucho, że to był protest przeciwko radzieckiej agresji i późniejszym represjom. A Przyboś dla naszego pokolenia znaczył wiele i jako działacz lewicowy, i awangardowy

poeta. Pamiętam, z jakim szacunkiem kłanialiśmy się mu na korytarzach Biblioteki Jagiellońskiej. Dyrektorował tam w latach moich studiów, od 1951 do 1955.

Dzisiaj nagłaśnia się wystąpienia z partii z końca lat sześćdziesiątych, one miały inne przyczyny. To nie należy do tematu.

Młodzież humanistyczna sympatyzowała z rewolucją węgierską, uważała ją za swoją. Przejawy tej sympatii były różne: bardzo poważne, jak wspomniane organizowanie wsparcia materialnego, i mniej, chociaż właśnie one były może najważniejsze, a w każdym razie charakterystyczne dla Polski i Polaków.

Pamiętam, jak zaraz po wojnie, w różnych lokalach przerywano biesiadowanie, wstawano i ze wzruszeniem śpiewano „Czerwone maki”, oddając w ten sposób hołd zdobywcom Monte Cassino i jednocześnie manifestując dezaprobatę dla władzy ludowej.

Tamtej jesieni działo się podobnie. Przy różnych okazjach uczestnicy zabaw domagali się od orkiestr wykonywania Marsza Kossutha. Wesele późniejszego prodziekana Wydziału Filologicznego UJ, świetnego znawcy I i II Awangardy, Stanisława Jaworskiego przebiegało w Klubie „Pod Gruszką” zrazu spokojnie; nie wiem kto zażądał odegrania Marsza Kossutha, przekształciło się wówczas w manifestację polityczną. Ireneusz Iredyński – także w następnych latach znany prozaik i dramaturg – wraz ze swoją dziewczyną Maszą pilnował, aby wszyscy natychmiast i bardzo gorliwie manifestowali swoje sympatie.

W mojej pamięci zachowały się momenty patetyczne, ważne dla kultury, ale także mniej lub bardziej zabawne *qui pro quo*.

W lecie 1957 roku wyjechałem po raz pierwszy za granicę, na seminarium redaktorów prasy studenckiej, do Rumunii. Miałem się prześiąść w Budapeszcie na pociąg do Bukaresztu. Byłem w kłopotcie, rzecz jasna, nie rozumiałem ani słowa po węgiersku, po niemiecku trochę – urodziłem się w Wadowicach, to jest w tzw. Reichu – ale nie potrafiłem sklecić poprawnie zdania. – Nic się nie martw, tam wszyscy rozumieją po rosyjsku, jakoś się dogadasz – pocieszał mnie i doradzał któryś z warszawskich kolegów. Tak postąpiłem. Ale nagle znalazłem się w wirze spowodowanym przez współpasażerów, w mgnieniu oka wyrzucono mnie z pociągu, nie udzielając żadnych informacji. W rozpaczę zacząłem wykrzykiwać jeden węgierski wyraz: – Lendźer, Lendźer – wskazując

na siebie. Znowu wszystko zawirowało, wciągnięto mnie do wagonu i zaczęto okazywać tyle przyjaznych uczuć, że z trudem przekroczyłem rumuńska granicę.

Ale na serio: kilka godzin byłem w Budapeszcie i widziałem niemal dymiące pobojołwisko!

Jeszcze jeden epizod biograficzny, który trudno zrozumieć, zwłaszcza w doinformowanej przez media części Europy.

Pod koniec 1959 r. znalazłem się w Wilnie. Na przyjęciu chyba noworocznym siedziałem w międzynarodowym towarzystwie, polskolitewsko-rosyjskim. Zainteresowała mnie młoda, ładna Rosjanka, ubrana na czarno. Wyraziłem współczucie. Dziewczyna się rozgadała, wyznała, że była kilka dni na Węgrzech, gdzie służy jej narzeczony. – Tam wiele kobiet chodzi na czarno, taka europejska moda!

Wtedy się uśmiechnąłem, ale niczego nie komentowałem. (Proszę wybaczyć oportunizm!) Dzisiaj mogę tylko westchnąć: – Boże, nie pozwól, aby kiedykolwiek taka moda powróciła do Europy!

Ale nie chcę kończyć w ten sposób mojej wypowiedzi. Wracam do wątków poprzednich, mianowicie do wyrażonej na wstępie myśli, że powstanie węgierskie należało do wydarzeń konstytutywnych dla świadomości mojego pokolenia.

Nie jest chyba przypadkiem, że jedno z pierwszych po przełomie październikowym wydawnictw młodzieży artystycznej, „Krakowski Magazyn Plastyczny” w końcu 1956 r., w Kronice poinformował o 50 rocznicy urodzin jednego z największych dwudziestowiecznych poetów węgierskich, Attyli Józsefa. Zapoznano z zawartością francuskiej książki pamiątkowej, przytoczono odpowiednie utwory.

Otóż według mnie, zaczął się wtedy nowy rozdział stosunków literackich węgiersko-polskich. To jedna z zasług pokolenia „Współczesności”.

Pokolenie dużo zrobiło, aby podnieść z ruin kulturę polską, a zapaść była niewątpliwym wynikiem działalności polskich zwolenników realizmu socjalistycznego. Chwała Bogu, bez przeszkód mogli działać tylko 5 lat! W jesieni 1956 znowu otwarto zamurowane przez tamtych pseudorewolucjonistów drzwi do zachodniej Europy i USA, zaczęto nawiązywać do tradycji starej i dwudziestowiecznej literatury polskiej, przestało się wstydzić chrześcijańskich korzeni.

W Krakowie udział w tym dziele miała „Zebra”, magazyn graficzno-literacki. W latach 1957 – 1958 ukazało się tylko 20 numerów. Nie szkodzi, że tak mało, pisma awangardowe żyją krótko, ich zasługi wykraczają poza czas fizyczny. „Zebra” odegrała dużą rolę w otwarciu środowiska graficzno-malarskiego i architektów, także teatralnego, na nowocześniejszą kulturę zachodnioeuropejską. Przez „Zebry” przeszli wszyscy najważniejsi i ważni pisarze młodego pokolenia – poeci: Andrzej Bursa, Halina Poświatowska, Jerzy Harasymowicz, Jan Zych, Stanisław Czycz, Tadeusz Szaja; prozaicy: Stanisław Stanuch, Janusz Roszko, Jan Stoberiski, Krystyna Kleczkowska; krytycy literatury i sztuki: Tadeusz Bujnicki, Stanisław Jaworski, Jerzy Madeyski, ja też wśród nich byłem (proszę wybaczyć nieskromność).

„Zebra” odegrała tę dużą rolę z kilku powodów: po pierwsze była otwarta na literaturę zachodnioeuropejską i polską emigracyjną; tu spotykało się utwory Czesława Miłosza, Witolda Gombrowicza, Mariana Pankowskiego i londyńskiej grupy „Kontynenty”; po drugie: po kilku latach socrealistycznego marazmu ukazała istnienie nowych, w każdym razie: innych, alternatywnych refleksji teoretycznych. Redaktorzy „Zebry” wahali się, co wybrać – czy tradycje awangardy krakowskiej (pierwszy po kilkunastu latach przedruk „Metafory terażniejszości” Tadeusza Peipera), czy nadrealizmu (tu druk programowego poematu Jerzego Harasymowicza: „Przyczynek do nowego odkrywania”).

Odwoływaliśmy się do dwudziestolecia międzywojennego. I właśnie w „Zebrze” także byli obecni pisarze węgierscy, co prawdopodobnie zawdzięczaliśmy redaktorowi naczelnemu czasopisma, Tadeuszowi Śliwiakowi i jego przyjaźni z poetą Jerzym Gömöri.

György Gömöri pozostał w mojej pamięci jako poeta, krytyk literacki, sławista, wykładowca Oxfordu. Jestem mu wdzięczny za wprowadzenie do bibliografii antologii „Debiuty poetyckie 1944-1960”. Ale słyszałem o nim o wiele więcej. Mówiono w naszej redakcji o jego bohaterstwie, które przyjął jako działacz studencki, a także z bronią w ręku podczas rewolucji. Szczegółów nie pamiętam, pozostał szacunek.

Otóż kolega Jerzy w czerwcu 1957 roku napisał list do Śliwiaka, który skwapliwie wydrukowaliśmy w numerze 10 „Zebry” z 8 VIII 1957. Dodam, że w tym numerze był druk pamiętników żołnierzy „Zośki” i „Parasola”, w ogóle dużo miejsca poświęciliśmy powstaniu warszaw-

skiemu. To nie było przypadkowe, chodziło nam o wywołanie i utrwalenie w czytelniku paraleli historycznej.

List jest prawdopodobnie nieznany, „Zebra” także nie była pismem szczególnie popularnym, zawiera informacje o początkach emigracji węgierskiej w Oxfordzie. Z tych powodów przedrukuję go w całości.

„Drogi Tadeuszu!”

Gdybym w tym roku znalazł się w Polsce, to koniecznie chciałbym odwiedzić Kraków, mój piękny, najbardziej ukochany w Polsce, Kraków. W Oxfordzie mieszkam w St. Antony's College. Mam tu dobre towarzystwo: Francuza, który mówi po polsku, Amerykanów mówiących po francusku, Japończyka i kolegę z Konga Belgijskiego (ci dwaj mówią po angielsku). Jedynym miejscem w Oxfordzie, gdzie ludzie interesują się Europą Wschodnią jest właśnie mój „college”. Po zdaniu specjalnego egzaminu w Londynie będę mógł pisać pracę o polskiej i węgierskiej literaturze współczesnej. Ale jestem bardzo zmartwiony tym, że słynna biblioteka oxfordzka „Bodleian library” jest mizernie zaopatrzona w polskie i węgierskie materiały literackie. Dlatego stworzyliśmy tu stale powiększającą się bibliotekę polsko-węgierską, którą nazwaliśmy „Biblioteka Bema”. Jedną z ozdób tej biblioteki obok „Nowej Kultury” i „Kultury” (paryskiej) jest wasza „Zebra”. Punktem naszego honoru jest zgromadzenie jak największej ilości książek polskich i węgierskich, zarówno starych jak i współczesnych. Teraz napiszę Ci parę słów o naszej działalności literackiej. Otóż w Oxfordzie istnieje niewielka grupa młodych pisarzy węgierskich, w skład której wchodzi: poeta Andrzej Sandor, prozaik Władysław Marton, dziennikarz Mikołaj Krasso, młody filozof – były uczeń profesora Lukacsza oraz autor tego listu. Piszemy regularnie w „Irodalmi Ujsag” („Gazeta Literacka”) wychodzącej w Londynie pod redakcją wybitnego poety Jerzego Faludy. Drukuję tam swoje wiersze i tłumaczenia z polskiego. Ostatnio tłumaczyłem „Qui tacet clamant” Ważyka i fragment „Antygony” Miłosza. Posyłam Ci mój wiersz, może przełożysz go i wydrukujesz w „Zebrze”. Mam również pytanie. Co to znaczy naprawdę „taszyzm”. Mam o tym jakieś blade pojęcie, ale jednak wytłumacz. Poślij mi barwne reprodukcje „anarchotaszystów”. I jeśli masz forszę to poślij mi tomik Hłaski. Dużo tu o nim mówią, a ja nie mam sposobności poznać jego opowiadań. Przyslij też

nowe wiersze Jastruna i Ważyka. Przygotowuję wam niespodziankę, w kolejnym numerze „Irodalmi Ujsag” piszę o „Zebrze”. Przysłę ten numer do redakcji. Co jeszcze? Pozdrów w moim imieniu krakowskich znajomych; Zagórskiego i Błońskiego i in.

A teraz pozdrawiam „Zebrę” i jej wszystkich redaktorów.

Ściskam Twe ręce

Jerzy

Oxford, 21 VI 1957

Notabene Tadeusz Śliwiak wiersz przetłumaczył („Bądź mi wszystkim”) i wydrukował obok listu.

W kolejnych latach Kraków stał się poważnym ośrodkiem służącym zbliżeniu literatury polskiej i węgierskiej. W Wydawnictwie Literackim wydrukowano wiele tłumaczeń, co było zasługą uroczej pani dr Etelki Kamockiej. Ta tradycja nie umiera, ale nawet się rozwija, m. in. dzięki Konfraterni Poetyckiej, której prezesuje Jacek Lubart-Krzysica. Wydała dwie antologie poezji polsko-węgierskiej.

I tak chciałbym zakończyć optymistycznie: wydarzenia, które mogły obrócić w perzynę nasze miasta i zniszczyć kulturę naszych narodów, otwarły nowy rozdział współpracy i współżycia.

Marzec, 2006

CZY COŚ PO NAS ZOSTANIE?

Dwóch utalentowanych poetów i redaktorów, których cenę i chętnie czytam, zadało mi ostatnio pytanie, co sędzę o położeniu polskiej literatury współczesnej, czyli po prostu – co po nas pozostanie? Długo zwlekałem z odpowiedzią, ponieważ nie chciałem jej formułować jednoznacznie, tym bardziej – pesymistycznie. Ale trudno, wreszcie trzeba się odważyć i odpowiedzieć: niestety, bardzo źle sędzę i obawiam się, że nie będzie nam łatwo wyjść z obecnych tarapatów, a na pewno – szybko.

Na przełomie 1989-1990 kilku wziętych krytyków literackich – w tym ze stopniami naukowymi i tytułami uniwersyteckimi – głosiło dwie tezy, po pierwsze – że poza nami jest tak zwana „czarna dziura”, co należało rozumieć jako skrajną opinię kwestionującą wysiłek Polaków w ciągu kilku dziesięcioleci XX wieku, nigdy zresztą tego publicystycznego hasła nie rozwinięto i nie udowodniono, po drugie – iż należy oczekiwać nowej, wspaniałej karty w historii kultury, osiągnąć na miarę co najmniej dwudziestolecia międzywojennego. Spodziewano się „zrzucić płaszcz Konrada” i maksymalnie wykorzystać lata wolności.

Dzisiaj już nawet nie wspomina się tej krytycznoliterackiej tromtadracji, a nawet nie wypada. Spodziewam się, że zostanę za to nawiązanie skarcony.

Oto mija siedemnaście lat III Rzeczypospolitej. Gdyby porównać do II Rzeczypospolitej – mamy rok 1936, 1937.

Odwołajmy się do wiedzy maturzystów: Skamandryci, np. Tuwim, Iwaszkiewicz, Wierzyński są w najlepszej fazie swojej twórczości, właśnie napisali dzieła i weszli już za życia do historii polskiej literatury; Awangardiści (Peiper, Przyboś) ogłosili najważniejsze manifesty i arty-

kuły programowe, będziemy z nich czerpali przez następne dziesięciolecia. Właśnie zadebiutował przyszły laureat Nagrody Nobla. Pojawili się autorzy, którzy odrodzą polską poezję religijną. Prozaicy (Dąbrowska, Nałkowska, Kaden-Bandrowski, Żeromski) ukończyli znamienite epeje, utrwalili w nich i przekazali następnym pokoleniom obraz Polski od powstania styczniowego po dni ostatnie. Bataliści (Rembek) skończyli opisywać pierwszą po kilku wiekach zwycięską wojnę, oczywiście mam na myśli polsko-bolszewicką. Dramaturdzy wnieśli na wyżyny teatru obyczajowo-psychologiczny (Szaniawski) i otwarli drogę dla teatru awangardowego (Witkacy), nie tylko zresztą w Polsce.

Nie przytaczam tytułów. Każdy to może zrobić.

Pora przejść do drugiego członu porównania, do aktualiów. Tutaj są dodatkowe trudności. Z przyczyn, których nie rozumiem, zlikwidowano sieć czasopism literacko-społecznych. Od dawna tak źle nie było. Nawet podczas zaborów mieliśmy ambitne czasopisma, dbające o rozwój i poziom literatury narodowej. Nie rozumiem także powodów likwidacji hurtowni, licznych księgarni, ograniczenia ilości bibliotek publicznych. W rezultacie nie wszystkie – jak się domyślam – nowości są promowane, niektóre tytuły – od razu skazane na niepamięć. Polacy pozostają w bardzo złej sytuacji: na kupowanie nowości często nie mają pieniędzy, a w bibliotekach tworzą się długie kolejki do wartościowych tytułów. Krytyka literacka w zasadzie obumarła, zwłaszcza niektóre jej gatunki, jak np. recenzje prasowe, bardzo ważne dla upowszechniania wiedzy o literaturze współczesnej.

Może do mnie również nie dochodzą wszystkie nowe tytuły i w konsekwencji pomijam je w tych swoich rachunkach, a w każdym razie nie potrafię sporządzić choćby prowizorycznego bilansu.

O niektórych książkach godnych przeczytania w ogóle bym nie wiedział, gdyby mi ich nie przysłali autorzy. W ostatnich latach ukazały się dwie ważne książki: dylogia Zbigniewa Dominy: „Syberiada polska” oraz „Czas kukułczych gniazd”. Bardzo dobrą powieść, po części dokumentalną, po części epicką, we fragmentach groteskową ogłosił Włodzimierz Kłaczynski: „Miejsce”, 5 tomów! Charakterystyczne, że autorzy mieszkają na tzw. prowincji. Może tam jest jeszcze czas na pisanie o dziejach Polaków w XX wieku? Ale obydwu cykli powieściowych nie znalazłem na żadnej liście prestiżowych nagród literackich, np. Nagrody

Literackiej „Nike”. Promuje się raczej literaturę popularną: sensacyjną, środowiskową, romanse, fantasy. Prozaicy średniego i młodszego pokolenia, nawet ci najzdolniejsi – znowu świadomie nie wymieniam nazwisk – w sytuacji obniżenia wymagań zaczynają pisać coraz gorzej.

Dla sprawiedliwości odnotujmy: na tzw. prowincji grupy pisarzy podejmują konstruktywne wysiłki, np. w Gdańsku wychodzi „Autograf”, w Starachowicach – „Radostowa”, w Żelowie: „Gazeta Kulturalna”, w Swarzędziu – „Okolica Poetów” i in. Ogólnopolskie ambicje ma „Akant”, „Poezja Dzisiaj”. Wegetują jeszcze: „Twórczość”, „Odra”, „Dialog”. Te wysiłki jednak są rozproszone i nieskoordynowane. Tym samym mało wpływowe.

W poezji prawdopodobnie jest jeszcze najlepiej. Ciemność rozświetlają indywidualności-latarnie: np. Różewicz, Szymborska, Hartwig itd., a niedawno – jeszcze Twardowski. Bądźmy jednak szczerzy, nie okłamujmy się: największe osiągnięcia ci autorzy mają już poza sobą. Natomiast średnie i młode pokolenie zagubiło się całkowicie. Biorę do ręki głośne kiedyś książki: „przyszli barbarzyńcy” oraz „Macie swoich poetów, liryka polska urodzona po 1960 r.”. Co się stało z tymi głośnymi wtedy poetami jak: Jacek Podsiadło, Marcin Świetlicki i inni. Tak jakby zgubili dane im przez Boga talenty.

Kryzys literatury współczesnej jest permanentny, głęboki i nie widać jego końca. Zmienił się etos polskiego pisarza. Od XVI wieku mieliśmy w tym względzie ugruntowane poglądy. Już Jan Kochanowski pisał:

„Komu dowcipu równo z wymową dostaje, / Niech szczepi między ludźmi dobre obyczaje: / Niechaj czyni porządek, rozterkom zabiega, / Praw ojczystych i pięknej swobody przestrzega”.

Rzecz w tym, że pośpieszna i nieprzemyślana przebudowa współczesnego życia literackiego doprowadziła do zaniku nie tylko niektórych zawodów literackich – jak wspomniana krytyka i recenzja prasowa – ale także zniknęli wybitni intelektualiści, eksperci wypowiadający się na tematy ogólnowsiatowe i uniwersalne, a także bardzo znamienni dla polskiej tradycji literackiej pisarze-działacze, troszczący się o sprawy ojczyste. Dziś literatura polska już nie zajmuje się problemami Polaków, nie staje po stronie pokrzywdzonych, nie oświecla doświadczeń historycznych. Najczynniejsi są sprawni rzemieślnicy, obsługujący różne środki masowego przekazu. Tylko oni mogą się wyżywić z literatury.

Trzeba otwarcie powiedzieć o przyczynach, które tkwią bardzo głęboko w strukturze życia literackiego.

Na pierwszym miejscu wymieniałbym kryzys polszczyzny. Straciła ona tę chwalebną dzielność, która pozwoliła nam odeprzeć ataki germanizatorów i rusyfikatorów. Na odparcie złej angielszczyzny i amerykanizacji nie mamy już siły. Polszczyzna jest nawet poniżana. Kiedyś dowiedziałem się, że językiem obrad poważnej spółki wydawniczej jest angielski. Tego nigdy nie było. Ani za pamięci moich rodziców, ani mojej.

Kolejną przyczyną jest upadek współczesnego szkolnictwa, zwłaszcza niski poziom nauczania języka i literatury ojczystej.

W sposób karygodny ograniczono kanon literatury. Już kilkakrotnie wypowiadałem się na ten temat. Powtórzę jeszcze raz, że za mało czyta się Kochanowskiego, drzwi pokazano Rejowi, Sępowi Szarzyńskiemu, Kochowskiemu, Sarbiewskiemu (choć świącił triumfy w Europie i był nazywany chrześcijańskim Horacym), ograniczono lekturę Krasickiego, Mickiewicza, Słowackiego, wyrzucono za burtę Krasińskiego (jakby ostatnie zdanie „Nie-Boskiej komedii”: „Galilae vicisti” – było niepoprawne politycznie), itd. itp. Im bliżej współczesności, tym lustracja była ostrzejsza.

Powiem ogólnie: szkoła musi stać na straży tradycji kulturalnej. To jest jedyna droga utrwalenia tożsamości narodowej, utrzymania dialogu i współpracy pokoleń.

Obniżyły się standardy moralne: część pisarzy wstydy się swoich życiorysów, część na gwałt przerabia fragmenty biografii, wszystko staje się dwuznaczne moralnie. Dyskusje merytoryczne należą do rzadkości. W życiu umysłowym zaczynają dominować pomówienia, paszkwil, poniżanie i szydzenie z oponentów. Na takim gruncie nie wyrośnie wartościowa literatura. Dobro i Piękno są ze sobą nierozzerwalnie związane.

Byłoby ważne i wskazane, gdybyśmy rozpoczęli dyskusję na temat wartości kultury, programów literackich itp. Tu przeszkodą staje się tzw. postmodernizm, który praktycznie likwiduje hierarchię wartości filozoficznych, religijnych, moralnych, artystycznych. Wszystko jest dozwolone, równowartościowe, wyczerpały się możliwości jakiegokolwiek narracji o świecie, historia się skończyła itp. itd. Pisarze powinni tylko opuścić ręce w geście beznadziei. Ratunkiem może być bunt warstw oświeconych, które nie powinny dawać się ogłupić. Oczywiście bunt konstruktywny!

*Polemiki
Rzeczpospolita zapłaci...*

NA MARGINESIE PUBLICYSTYKI P. ALEKSANDRA SZUMAŃSKIEGO

I

Pan Aleksander Szumański jest postacią nieznaną w polskim i – wężiej – krakowskim środowisku pisarskim. Nie ma też informacji o nim w encyklopediach literackich czy słownikach współczesnych pisarzy. Niemniej kwerenda dała pewne rezultaty. Oto co czytam w II tomie ostatniego „Who is who” w Polsce. Ten publicysta o talentach śledczych urodził się w 1931 r. we Lwowie. Zadebiutował wierszem w rozgłośni lwowskiej w 1941 roku. I pierwsza zagadka: czy rozgłosnia była jeszcze radziecka, czy już hitlerowska. W każdym razie współpraca z tym medium była naganna. Ukończył Politechnikę Krakowską w roku 1957. Pracował w organach władzy ludowej: można się domyślać – na stanowiskach kierowniczych. Talent literacki pojawił się u niego stosunkowo późno. Nieliczne zbiorki poezji wydał dopiero po 1997 r. Ważny w jego biografii twórczej jest także epizod współpracy z prasą w Polsce amerykańskiej.

Z biografii można jednak wiele wyczytać: po pierwsze – niepokój czy nie naruszył etosu pisarza polskiego w młodości, po drugie – brak kwalifikacji literackich, co łatwo (nazbyt łatwo!) można pokryć wielką pewnością w obrzucaniu epitetami znanych i o znacznym dorobku twórczym pisarek i pisarzy. Niezdrowe zainteresowania p. Aleksandra Szumańskiego budzi krakowskie środowisko pisarzy i działaczy kultury. Niestety, nie miał czasu na dokładniejsze jego poznanie. Szczególnie niepokoiła go kondycja narodowa i moralna Noblistów: Wisławy Szymborskiej i Czesława Miłosza. Te napaści nie odniosły skutku, Polacy nadal

czytają Miłosza i Szymborską, a dzieci uczą się o nich w szkołach. Nieustraszony moralista zajął się tedy krakowskim ZLP. W tej dziedzinie, która powinna mu być trochę znana, ponieważ kilka lat był członkiem ZLP, wykazuje się zadziwiająco niekompetencją.

Spór p. Aleksandra Szumańskiego ze środowiskiem zaczyna się od kłamliwego przedstawienia sytuacji ZLP w początkach naszego stulecia.

W tym czasie w środowisku dominował Konrad Strzelewicz, dziennikarz i autor humoresek. Praca dziennikarska wyrobiła w nim umiejętność zmiany orientacji politycznej w zależności od kontekstu historycznego, przesłakiwanie z obozu do obozu i zapominanie o ważnych faktach z własnego życiorysu. Ale o tym – potem. Wtedy głównie chodziło o to, że w wyniku niefortunnnych decyzji redakcyjnych i wypowiedzi, które kwalifikowano jako antysemickie, zamieszczanych w almanachu „Proza, proza, proza...” krakowski Oddział ZLP znalazł się w izolacji i praktycznie zaprzestał działalności. Wystąpiło z niego kilkunastu prominentnych działaczy, np. Bolesław Faron, Stanisław Franczak z synami, Jan Paweł Gawlik, Waldemar Kania, Aleksander Krawczuk, Wojciech Kawiński, Krystyna Szlaga, Janusz Trzebiatowski, Andrzej Warzecha, Adam Zieliński. Straty nie do odrobienia. Prezes Strzelewicz w zasadzie zlikwidował oddział ZLP w Krakowie. W tej sytuacji małżeństwo literackie Anna i Jacek Kajtochowie zdecydowali się ustąpić ze wszystkich społecznych funkcji w Oddziale. Napisali do pana Prezesa: „5 II 2005: Szanowny Konradzie, ze smutkiem Cię zawiadamiamy, że rezygnujemy z udziału we władzach Krakowskiego Oddziału. To jest Hanka z funkcji sekretarza Oddziału, Jacek zaś z przewodniczącego Sądu Koleżeńskiego. Motywujemy to tym, że nie mamy żadnego wpływu na kierunek prac Oddziału, nawet wglądu do bieżącej korespondencji. Zebrania Zarządu od dawna się nie odbywają. Nie znamy także wydawnictw. Oddział znalazł się w głębokim kryzysie i jest szczelnie izolowany w środowisku krakowskim. To przynosi niepowetowane szkody członkom, a zwłaszcza młodym, których jest większość, a za ich los jesteśmy szczególnie odpowiedzialni. Uważamy, że tylko wymiana pokoleniowa we władzach Oddziału umożliwi wyjście z marazmu. Zapewni także apolityczność naszej organizacji pisarskiej. Serdecznie pozdrawiamy – Anna Kajtochowa, Jacek Kajtoch. Do wiadomości: Pan Marek Wawrzekiewicz, Prezes

Zarządu Głównego ZLP, Pan Prof. Marian Stępień, Przewodniczący Komisji Rewizyjnej Krakowskiego Oddziału ZLP.”

Na to odpowiedział Konrad Strzelewicz listem, który skierował do niektórych członków Oddziału:

Szanowne Koleżanki, Szanowni Koledzy, ze względu na stan zdrowia oraz nieprzyjazną postawę warszawskich i krakowskich lewicowych, postpeerelowskich (postpeerelowskich – pisownia oryginalna) gnid literackich zdecydowałem się odejść z prezesury KO ZLP. Nie jestem Karolem Wojtyłą, potrafię abdykować.

W ciągu 10 lat udało mi się m.in. zorganizować kilka literackich sesji literackich, jubileuszy, imprez towarzyskich, wywalczyć 10 stypendiów Miasta Krakowa, wydać około 130 pozycji naszych członków, nawiązać przyjazne kontakty z pisarzami polonijnymi. To wielu cieszyło, ale ludzi marnych kłuło w oczy. Zwłaszcza że w przeciwieństwie do co poniektórych za żadną imprezę, za setkę zredagowanych książek, uciążliwych opracowań, korekt etc. nigdy od nikogo nie wziąłem ani grosza. I to też porażonych niemocą naszych pseudoliterackich tfurców razi. W III RP to nie tylko polityczne, lewicowe mleko się rozlało, ale i lewicowe szambo literackie.

Finansowe rozliczenia kwartalne i coroczne KO w ciągu 10 lat dokonywał biegle, zaprzysiężony księgowy. Nie do podważenia.

Otrzymałem Oddział w długach (niepłacone wielomiesięczne rachunki za światło, gaz, wodę, śmiecie, telefony, czynsz, odsetki, etc.), o złej reputacji („zły”), pozostawiam podniesiony z upadku, zorganizowany, z kilkusetzłotowym zapasem gotówki, którą ciułałem na w pełni przygotowany do druku X jubileuszowy rocznik „Prozy”. Uniemożliwiono mi jego wydanie blokując perfidnie miejską dotację. Co nam z tego, gdybym podał nazwiska delatorów, sykofantów, ludzi z listy Wildsteina?

Sila by mówić. Blendy są wszędy – jak mawia zaprzyjaźniony ze mną powstaniec warszawski, który w wieku 13 lat z koktajlami Molotowa uganiał się po ulicach płonącej Warszawy. To ten, w ogromnym, poniemieckim hełmie, który swój pomniczek w stolicy ma.

*Dziękuję wszystkim przyjaciółom. Miło mi z Wami było.
Prezes Krakowskiego Oddziału ZLP
Konrad Strzelewicz
2 lutego 2005 r.”*

Ten kuriozalny tekst wywołał oburzenie w krakowskim środowisku literackim. Takiego pożegnania się Prezesa z nami nikt się nie spodziewał. Kilka szczegółów wymagałoby sprostowania. Konrad Strzelewicz przypisał sobie zasługi innych. Jedno zdanie było wprost obrzydliwe – właśnie wtedy nasiliły się objawy choroby Ojca Świętego Jana Pawła II i wszyscy Polacy modlili się o jego zdrowie. Konrad Strzelewicz pozwolił sobie na nawiązanie do tej Czcigodnej Osoby w sposób niespotykany wśród kulturalnych ludzi. Tutaj musiał się ujawnić jakiś ukryty kompleks. W każdym razie podstawowe kłamstwo, którego dopuszcza się p. Aleksander Szumański, jest takie: Konrad Strzelewicz złożył rezygnację ze stanowiska prezesa Oddziału, a nie został z niego usunięty.

Izolowany, pogrążony w chaosie Krakowski Oddział ZLP nie mógł długo pozostać bez prezesa. Mieszkający w Krakowie Jacek Kajtoch, wiceprezes ZG ZLP, w porozumieniu z prezesem Markiem Wawrzkiem próbował zorganizować zebranie wyborcze, zwracał się kolejno do wiceprezesów Oddziału w Krakowie Wiesława Kota i Dariusza Fijałowskiego z prośbą o zwołanie zebrania wyborczego – początkowo się zgadzali, po kilkunastu godzinach i po prawdopodobnej konsultacji z Konradem Strzelewiczem – odmawiali. Przewodniczący Komisji Rewizyjnej Marian Stępień odmówił od razu i to w formie rzadko spotykanej wśród profesury UJ. W tych okolicznościach jedynym sposobem było zwołanie zebrania za zgodą kilkunastu członków Oddziału, jak przewidywał statut ZLP. Trud organizacyjny wzięła na siebie Anna Kajtochowa. Oto członkowie Oddziału, którzy poparli starania i wręcz nalegali, aby jak najszybciej zwołać zebranie wyborcze: B. Dziekańska, K. Sztąпка, L. Żukowska, A. Szumański, Z. Gorbaczowska-Pawlikowska, A. Kajtochowa, J. Kajtoch, W. Kajtoch, Z. Bela, A. Zemanek, J. Fronczek, A. Pochylczuk, S. Stanuch, B. Krężolek-Paluchowa, W. Łomnicka-Dulak, E. Biela, J. Bratko, W. Tatara-Czopek, J. Kawalec, M. Kania, H. Wietrzny, A. Hrabiec, I. Fiut, A. Rotter, A. Kaliszewski, J. Orlikowski, A. Frania, J. Krupińska-Trzebiatowska, K. Kleczkowska, T. Socha-Lisowska, P. Oprzędek, A. Jasicki, A. Wierchowski, R. Sidorkiewicz, K. Jezierska, W. Duszka. Z tych, co zawiesili członkostwo: J. Trzebiatowski, W. Kawiński, S. Franczak, J. Franczak, A. Torbus, A. Warzecha.

Ostatecznie zebranie odbyło się 14 marca 2005 roku. Na tym zebraniu został wybrany w tajnym głosowaniu Szczęsny Wroński na pre-

zesa Oddziału, m.in. Andrzej Hrabiec na wiceprezesa, Marcin Kania na sekretarza, Lidia Żukowska na skarbnika. 4 kwietnia Zarząd Główny przesłał list do Konrada Strzelewicza, w którym czytamy: „Prezydium Zarządu Głównego na posiedzeniu w dn. 31 marca zobowiązało mnie do napisania niniejszego listu i do poinformowania Cię o naszym stanowisku

1. Zebranie nadzwyczajne Krakowskiego Oddziału Związku Literatów Polskich odbyło się zgodnie z rozdziałem 10 § 55 Statutu ZLP. Wobec pisemnej rezygnacji prezesa, dwóch wiceprezesów – z których jeden pełnił też funkcję skarbnika – i sekretarza zarząd KO przestał istnieć. Statut nie przewiduje składania rezygnacji na ręce Zarządu Głównego, choć w trzech przypadkach został o nich powiadomiony. Zebranie, które jest najwyższą władzą Oddziału, jednogłośnie uchwałą przyjęło rezygnację i dokonało wyboru nowych władz Oddziału. Jest to wybór prawomocny, o którym dziś zawiadamiam władze Krakowa i Województwa Małopolskiego. W tym świetle Twoje zamierzenia – o których słyszę – są bezprawne.
2. Jeśli prawdą jest wiadomość o wydaniu przez Ciebie kolejnego numeru „Prozy”, przestrzegamy Cię przed używaniem nazwy Związku jako wydawcy tej publikacji. Ani ZG ani Oddział nie może ponosić odpowiedzialności za treści tam zawarte, ponieważ nikt z nas tych treści nie zna. Nie zastosowanie się do tego ostrzeżenia pociągnie za sobą skutki publiczne i prawne.
3. Wobec wielokrotnego, publikowanego w pismach, używania przez Ciebie opinii i zwrotów uwłaczających Związkowi musimy Ci zadać pytanie o sens Twojego pozostawiania w szeregach organizacji, którą gardzisz.” Oto najistotniejsze fragmenty listu Marka Wawrzekiewicza do Konrada Strzelewicza.

Krakowska prasa z ulgą przyjęła odejście Konrada Strzelewicza, nazywając „paszkwilem” przedrukowaną powyżej rezygnację („Gazeta Krakowska”). Następnego dnia po zebraniu jeszcze raz powrócono do sprawy odnotowując charakterystyczne wydarzenie, mianowicie okrzyki „trzeba tu wywietrzyć” jako reakcję na formę rezygnacji („Gazeta Wyborcza”).

Zwróćmy uwagę, że pan Aleksander Szumański był wśród tych, którzy prosili o zwołanie zebrania wyborczego. Zaakceptował też jego

wyniki. Kilku kolegów zauważyło, że pierwszy złożył gratulacje nowo wybranemu prezesowi.

Bez precedensu jest zatem fakt, że w ciągu krótkiego okresu czasu zmienił zdanie i jak gdyby nigdy nic rozpoczął obrzucanie przezwiskami i kłamstwami przede wszystkim Annę Kajtochową i Jacka Kajtocha.

Żeby sprawę Oddziału w Krakowie zakończyć, musimy dodać, że w myśl nowego Statutu zatwierdzonego przez Sąd Rejonowy dla m. st. Warszawy i Sąd Gospodarczy Krajowy Rejestr Sądowy § 51 „W miejscowościach, w których Oddział Związku już istnieje, nie tworzy się następnych Oddziałów”. W Krakowie pracuje wyłącznie Krakowski Oddział ZLP. Istnienie drugiego Oddziału jest kolejnym kłamstwem p. Aleksandra Szumańskiego.

II

W prasowych sprawozdaniach wyrażano nadzieję, że sprawa dalszego bytu i działalności Krakowskiego Oddziału ZLP została już pozytywnie rozstrzygnięta, Oddział ma przed sobą co prawda lata odrabiania strat, lecz przy pomocy życzliwych ludzi, zwłaszcza krakowskiego samorządu – zajmie przypadające mu miejsce w życiu kulturalnym Polski. Niestety, jakżeśmy się mylili. Początkowo do boju wystąpił sam były prezes, a następnie jego akolici: Marek Głogoczowski i Aleksander Szumański.

Marek Głogoczowski spełnił swoje zadanie, skutecznie blokując wnioski do Sądu Koleżeńskiego o rozpatrzenie sprawy niespotykanych ataków Strzelewicza i Szumańskiego na koleżanki i kolegów, którzy okazali się wierni demokratycznemu spadkowi po Stefanie Żeromskim. Obecnie jakoś o nim nie słychać. Na ostatnim zjeździe ZLP nie udzielono mu absolutorium jako przewodniczącemu Głównego Sądu Koleżeńskiego. Strzelewicz uznał, że wygodniej będzie mu dowodzić prasową batalią z tyłu. Wszak już Maria Konopnicka zauważyła, że na wojnie giną tylko chłopcy. Taką rolę wyznaczono Szumańskiemu.

Tutaj pora na refleksje: otóż wbrew pozorom wcale nie idzie o imponderabilia i politykę, tylko o urażone ambicje, wybujały egotyzm i przecenianie własnych możliwości.

Przyjrzyjmy się strategii personalnych ataków: K. Strzelewicz koncentrował się na Annie i Jacku Kajtochach. Dlaczego? Półtora roku wcześniej został wybrany przez ogólnopolski Zjazd ZLP do Zarządu Głównego, a przez Zarząd Główny na wiceprezesa – Jacek Kajtoch. Przeszedł przez podwójne wybory. Zaznaczmy, że K. Strzelewicz był poprzednio tylko dokooptowany do Prezydium Zarządu Głównego, a następnie został z niego karnie usunięty za sianie nienawiści przez drukowanie oszczerczych tekstów na temat najwybitniejszych pisarzy XX wieku.

ŚP Piotr Kuncewicz zapytał Kajtocha na tym wyborczym Zjeździe, czy nie obawia się Konrada Strzelewicza. Powiedział – masz w nim śmiertelnego wroga, nie podaruję ci wyboru przez ogół kolegów. Kajtoch zlekceważył to ostrzeżenie, a zresztą, czy miał odtrącić przyjaźń i zaufanie kolegów, z którymi jest od kilkudziesięciu lat?

Anna Kajtochowa naraziła się K. Strzelewiczowi, ponieważ bezinteresownie pospieszyła na ratunek zagrożonemu Oddziałowi, bezinteresownie – podkreślam. Dała przecież przykład jak rozumie zmianę pokoleniową. Doceniła to opinia publiczna, publikując zdjęcie Anny i Jacka z komentarzem, że Kajtochowie przekazują swoje funkcje młodszemu kolegom.

Strzelewicz i Szumański przyjęli taktykę obrzucania wyzwiskami początkowo – grafomanii, a kiedy to nie odnosiło skutku – dodając komuniści, w wypadku męża – dywersant SB.

Lista ściganych w Krakowie osób poszerzała się w miarę porażek przede wszystkim A. Szumańskiego. Aktualnie komunistami i grafomanami są także: Szczęsny Wroński, Lidia Żukowa, komunistyczny minister Aleksander Krawczuk, komunistyczny malwersant Maciej Naglicki, komunistyczni agenci – Stanisław Franczak i Jerzy Franczak.

Co trzeba uczynić, aby znaleźć się na takiej liście, obecnie wzbogaconej efektownymi fotografiami? (Czy sąd udzielił zgody na publikację wizerunku oskarżonych?). Szczęsny Wroński – stanął w obronie pamięci Czesława Miłosza, Lidka Żukowska – nie chciała przyjąć składek A. Szumańskiego, skoro nie wpisał się on do Krakowskiego Oddziału, Franczakowie – ponieważ przestali publikować wierszydła Szumańskiego w drukach STALU, Naglicki, ponieważ negatywnie ocenił wiersz nadesłany do almanachu „Bronowicki Karnawał Literacki”. A Aleksander Krawczuk?

Prawdopodobnie bez konkretnego powodu. Po prostu za talent i zasługi literackie. Pisarzom prawicowym niekiedy Pan Bóg postąpił talentu.

Słowem – jakie to wszystko małe! Z pozoru antykomunista i patriota, a naprawdę – zazdrośnik, mały człowieczek, kłamca i oszczerca.

Pewny swego, przecież w Internecie można publikować co się chce. Nie będę zajmował się epitetem grafomanii. Takiego epitetu można używać w następstwie bezstronnej i poważnej analizy wartości. W wypadku piętnowanych pozytywne opinie ich twórczości wystawiło co najmniej kilkunastu fachowców. Mam też nadzieję, że przyszłość je potwierdzi. A o tych pseudokrytykach jak Szumański za kilka lat nikt nie będzie wiedział.

Zwrócę uwagę na tylko jeden szczegół: na liście inkryminowanych komunistów jest kilku bezpartyjnych i co najmniej jedna osoba represjonowana przez Komitet Wojewódzki, wyrzucona z pracy w „Gazecie Krakowskiej”, o czym Konrad Strzelewicz – należący do nomenklatury partyjnej, choć formalnie bezpartyjny – powinien dobrze wiedzieć.

A Szumański zarzuca dwom zasłużonym i ogólnie szanowanym działaczom kultury w Krakowie, że nie chcą się poddać honorowej lustracji. Zachęcam go, żeby z taką propozycją zwrócił się i do swojego pryncypała. O jego zasługach nie tak dawno pisano w „Gazecie Wyborczej”. Służę przedrukiem z „Gazety Wyborczej” w Krakowie z dnia 22 marca 2005:

Przypadki Konrada S.

Odpowiedź Konradowi Strzelewiczowi

Szanowny Panie,

To ja osobiście popełniłem błąd i redagując tekst, napisałem o Panu „wieloletni członek PZPR”. Usiłowaliśmy to sprawdzić i kilku Pana znajomych uważało to za fakt oczywisty. Pomyliłem się i nie mogę nawet o Panu napisać – jak to teraz modne – tajny współpracownik PZPR. Kiedy przysłał Pan swoje sprostowanie, zaczęliśmy szukać jakichś materiałów na Pana temat. Nie musieliśmy sięgać do teczek SB. Okazało się, że był Pan jawnym współpracownikiem PZPR i SB.

Seweryn Blumsztajn

Źródło: <http://miasta.gazeta.pl/krakow/1,35797,2614191.html>

Są ludzie, o których chciałoby się zapomnieć, postacie, o których nie chce się nawet rozmawiać. O Konradzie Strzelewiczu nie chcą pamiętać dziennikarze „Gazety Krakowskiej” z czasu „Solidarności”, a pytani, opowiadają o nim z nieskrywanym obrzydzeniem.

Krzysztof Finałek

Rozmawialiśmy z kilkoma osobami, które wraz z Maciejem Szumowskim zapewniły „Gazecie Krakowskiej” miejsce w historii dziennikarstwa. Nie kryły stosunku do Strzelewicza. Zgodność, z jaką po tylu latach określały tę postać, wskazuje na jednoznaczność ocen. Strzelewicz ludziom, którzy przywracaniu wiarygodności dziennikarstwa oddali więcej niż młodość, jawi się jako synonim zaprzaństwa i usługowości wobec systemu i jego służb (przez duże S i B). Bywa, że czas łagodzi oceny. Ale nie w stosunku do Strzelewicza – jedyne, na co może liczyć, to to, że ludzi zapomną, jak potraktowano go w cytowanej niżej publikacji z 1985 r. Na razie na niej poprzestaniemy.

Po co wracać do tego nazwiska? Bo Strzelewicz sam zapomniał, kim był. Zapomnieli też inni, a tym, którzy go nie znali, nazwisko to nic nie mówi. Mówiła jednak funkcja: prezes Związku Literatów Polskich w Krakowie. Tylko generacja po czterdziestce może pamiętać, że ZLP – zwany dosadnie „zlepem” – powstał na miejsce rozwiązanego w stanie wojennym autentycznego związku pisarzy, który opowiedział się za „Solidarnością”. ZLP – a wśród jego inicjatorów stanowojennych znalazł się, a jakże, Strzelewicz – przetrwał do dziś. Strzelewicz, prezes krakowskiego ZLP, pisał o Czesławie Miłoszu: „Jako matuzalem powrócił do Polski, niestety do Krakowa, po drodze załapawszy się na Nobla. W Krakowie dali mu chałupę i honorowe obywatelstwo, lecz on ma to chyba w czterech literach, bo bredzi publicznie, że czuje się Litwinem...”. Jako prezes Strzelewicz podpisał się pod paszkwilem przeciwko pochówkowi Miłosza na Skałce. Jak wynika z zamieszczonego przez nas wyboru, podpisywanie się pod paszkwilami miał we krwi.

Ostatnio Strzelewicz zasłynął rezygnacją z funkcji prezesa ZLP i odezwą, którą to ustąpienie namaścił. Wyzywał w nim swoich kolegów literatów od pezetpeerowców. Wiedział, co pisze. Sam, jak twierdzi, w PZPR nie był – widocznie nie musiał.

Strzelewicz sprawia wrażenie, jakby wyparł swój życiorys z pamięci. Co więcej, święcie już chyba wierzy, że walczył z komuną. Jak do tego doszedł? Najprawdopodobniej tym samym sposobem jak inni wyznawcy ideologii Zjednoczenia Patriotycznego „Grunwald”. Jak kiedyś uważali, że Żydzi zrobili „Solidarność”, tak teraz skrzykują się, żeby pogonić ze Skałki Litwina-polakożercę. Dekomunizują dziś Miłosza, Szymborską, Mrożka i nie bez sukcesu udaje się im żonglować wyświechtanym esbeckim językiem i takimiż fałszywkami.

Źródło: <http://miasta.gazeta.pl/krakow/1,35797,2614204.html>

Z największą niechęcią napisałem te notatki. Spokojnie znosiłem kłamstwa, oszczerstwa i inwektywy. Ale wreszcie trzeba powiedzieć wyraźnie: dosyć tego opluskwania, nurzania w kloace polskiej literatury i aktywnych jej twórców. Należy się to naszej młodzieży.

Kraków, 8 lutego 2009

Jacek Tomiak

Źródło: <http://www.jacekkajtoch.blog.pl/>

OSTRZEGAM PANÓW K.S. I A.S.

Na łamach peryferyjnej prasy polonijnej oraz w Internecie toczy się od pewnego czasu kampania przeciwko mojej skromnej osobie. Panowie K.S. i A.S. strzelają do mnie salwami ohydnych kłamstw i oszczerstw. Swojego czasu ostrzegał mnie Piotr Kuncewicz przed p. K.S., który nie wytrzymał nerwowo faktu, że krakowskie środowisko ZLP przyjęło jednogłośnie złożoną przez niego rezygnację z funkcji prezesa Oddziału, a Zarząd Główny ZLP nie tylko usunął go z wiceprezesa, na którą to godność nigdy nie był wybrany, ale nieopatrznie wybrał mnie kilka lat temu na Zjeździe Wyborczym w podwójnym głosowaniu na wiceprezesa. Ale stało się, Piotr Kuncewicz miał rację, chociaż chyba nie przewidywał, że człowiek może być tak podły, tak wymyślać i razić oszczerstwami.

Służę przykładem z ostatnich dni. W Internecie ukazał się cały akapit na mój temat; zawierający same bzdury, kłamstwa, pomówienia. Nie reagowałbym, lecz p. S. obraża moją rodzinę. Podaje, że nazwisko Kańtoch to zniemczona rodzina Ślązaków, moje imię to Jacenty, a w towarzystwie rzekomo przechwalałem się, że nikt z mojej rodziny nie służył w Wojsku Polskim.

Jakże było łatwo sprawdzić w Urzędzie Parafialnym, że kilkadziesiąt lat temu ochrzczono Jacka. O nazwisku natomiast pisali językoznawcy w tym wybitny znawca polszczyzny śląskiej profesor Stanisław Rospond i autor „Nazwisk Polaków” Kazimierz Rymut. Kto umie czytać po polsku, dowiedziałyby się z wywodów prof. Rosponda, że forma Kajtoch jest wynikiem ewolucji właśnie polonizacyjnej. Na Śląsku do dzisiaj istnieją formy oboczne, np. Kańtoch, ale noszą je nie moi krewniacy. Prof. Rymut z kolei uważa, że nazwisko Kajtoch pochodzi od Kajetan, pojawiło się dopiero w XVII wieku i nie ma nawet niemieckiego rdzenia.

Inne kłamstwa są jeszcze bardziej gorszące i stanowią obrazę boską. Moja rodzina nie służyła w Wojsku Polskim??? Najstarszy stryj był kawalerzystą, w 1920 roku służył w oddziale, który wkroczył pierwszy do Kijowa. Kolejny stryj prowadził finanse AK w Krakowskim. Najstarsza ciocia, nauczycielka, twórczyni Koła Młodych Polek w jednym z miast śląskich, żołnierz ZWZ i AK pseudonim Skała organizowała pomoc żywnościową i ucieczki więźniów KL Auschwitz-Birkenau. To mnie najbardziej oburzyło: tchórze, którzy nawet nie służyli w wojsku podczas pokoju, obrażają pamięć bohaterki, nagrodzonej, za swoją waleczną działalność najwyższymi odznaczeniami państwowymi. Dane znajdują się w książce „Ludzie dobrej woli” („Księga pamięci mieszkańców Ziemi Oświęcimskiej pomoc więźniom KL Auschwitz pod redakcją Henryka Świebickiego”, Oświęcim 2008). Po stronie mojej Matki: prapradziadek – powstaniec styczniowy, wujek – prowincjał ojców Augustianów zamęczony w Auschwitz, mąż jednej z siostr – legionista, mąż drugiej – porucznik WP obrońca Śląska i Lwowa w 1939, odbył też kampanię francuską w 1940, brat – kapitan WP. Nie podaję nawet ich imion – nie zasługują na to, by ich nurzać w internetowej kloace, autorstwa K.S.A.S.

A na marginesie: przywołani autorzy nie są odnotowani w słownikach nazwisk Polaków. Inne informacje mają podobnie marną wartość.

Pracowałem w latach 1955-1998 na Uniwersytecie Jagiellońskim. Z wyjątkiem kilku lat, kiedy byłem przeniesiony do IBL PAN, PAN Oddział w Krakowie dla prowadzenia sekretariatu redakcji „Ruchu Literackiego”. Drugim sekretarzem POP tamże byłem niecałą kadencję. Nigdy nie popełniłem plagiatu i nie zostałem zwolniony z tego powodu. Nie pracowałem w „Życiu Literackim”, o czym powinien wiedzieć K.S., który tam przez kilka lat był na etacie, czy na ryczałcie w nagrodę za bardzo ofiarną służbę w „Tygodniku Powszechnym”. Wymienia się w tym plugastwie nazwiska moich rzekomych przyjaciół. Cieszyłbym się z ich przyjaźni, ale chyba na nią nie zasługiwałem. Olgierd Terlecki nigdy nie pracował na Uniwersytecie Jagiellońskim, zawsze służył w „Życiu Literackim”. Wiadomości o mnie są nieprawdziwe, nawet źle odczytano rewelację w „Gazecie Polskiej”.

Żegnam, mam nadzieję, że nigdy przywołanych panów nawet na ulicy nie spotkam.

8 marca 2009, 15:36:23

KRAJOBRAZ PO ATAKU

1.

Mój „proces” rozgrywał się jakby według scenariusza, ułożonego przez Franca Kafkę. Na początku listopada 2008 roku otrzymałem telefon z Warszawy. Pewien sympatyczny, męski głos poinformował mnie, że właśnie „Gazeta Polska” otrzymała z Instytutu Pamięi Narodowej dokument, wskazujący na moją współpracę ze służbami bezpieczeństwa PRL na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Byłem zaskoczony, ponieważ jako działacz organizacji twórczej nie zostałem objęty ustawą o lustracji. Zapytałem, kto zwrócił się z pytaniem do IPN. Nie otrzymałem odpowiedzi. Natomiast natarczywie i wielokrotnie zachęcano mnie do wyznania winy. Zwróciłem uwagę, że pod koniec 1978 r. w konsekwencji uczestnictwa w tzw. czarnej procesji po śmierci Stanisława Pyjasa byłem nawet represjonowany przez SB i w następstwie przez aparat partyjny krakowski i centralny, przez kierownictwo lokalnej prasy (straciłem możliwość pisania cotygodniowych recenzji do „Głosu Nowej Huty”) i nawet grożono mi zwolnieniem z posady na Uniwersytecie Jagiellońskim. Tę groźbę częściowo wykonano, nie wypłacając nędznych groszy, które przedtem otrzymywałem jako kierownik Podyplomowego Studium Dziennikarskiego przy Instytucie Filologii Polskiej UJ. Ale moje wyjaśnienia nie zainteresowały zbyt rozmówcy, „proces” toczył się dalej.

W połowie listopada „Gazeta Polska” ogłosiła artykuł na temat agenturalnego charakteru Zarządu Głównego ZLP, wymieniając moje nazwisko wśród kilku osób, bardzo szanownych i zasłużonych dla literatury współczesnej. Moje zasługi przy ich są doprawdy małe. A opub-

likowany dokument wyraźnie wskazywał, że byłem kandydatem na kandydata.

To jednak nie było istotne. Ważne natomiast – wymienienie mojego nazwiska, rozpoczęcie „procesu”, w którym nie poinformowano mnie, przed jakim sądem stoję, kto jest oskarżycielem, jakie są dowody przestępstwa, czy istnieje możliwość obrony i co mi grozi. Zrozumiałem, co to jest bezradność Józefa K., który stanął przed machiną totalitarnego państwa i przede wszystkim powinien był się przyznać, nawet nie starając się dotrzeć do sądu – i w końcu pogodzić się z wyrokiem.

Tak też by się stało, gdyby nie dalsze wypadki. Oczywiście zwolennicy swoistej denazyfikacji polskiego społeczeństwa uruchomili wszystkie swoje możliwości. Wiadomość powtórzyła rządowa „Rzeczpospolita”, znalazła się też ona w jakichś audycjach i programu TV. Ale ujawniło się jednocześnie kilku kolegów, którzy byli zainteresowani naszym podaniem się do dymisji.

Otwarcie ujawniła intencje przemiła koleżanka Teresa Kaczorowska z Ciechanowa. W opublikowanym liście do „Gazety Polskiej” nie wyraziła zainteresowania okolicznościami winy; stwierdziła, że współpraca – chociaż nie ma żadnych, potwierdzających ją dokumentów – na pewno miała miejsce – i należy fakt tej haniebnej działalności wykorzystać dla weryfikacji członków ZLP i SPP, żeby z tych, którzy przejdą ją pozytywnie utworzyć narodowy Związek Literatów Polskich. Teraz dopiero się przeraziłem... Należę do pokolenia, które przeżyło II wojnę światową i wiedziałem, jak wtedy narodowość (aryjskość?) udowodniano. Nie jestem też w wieku, w którym taki proceder mógłby przynosić pewne przyjemne doznania (zwłaszcza gdyby komisja była złożona z przystojnych Aryjek).

W następnych tygodniach tragifarsa nabierała rozgłosu. Na specjalnym zebraniu Zarządu Głównego, po którym się spodziewano, że jak w dobrych czasach stalinowskich oskarżeni złożą porządne samokrytyki – delatorzy nie potrafili przedłożyć dowodów zbrodni. Jeden z najgłośniejszych krzyczących, były Prezes ZLP z Rzeszowa zarzucał Prezydium ZG ZLP, że nie zapraszało go na Warszawską Jesień Poetycką i przeszkadzało w jakimś romansie. Podobno ma nawet zaświadczenie z IPN, że był prześladowany. Nie wiem, czy wyrażało się to w przytoczonych wyżej okolicznościach. Inny kolega, były prezes nawet sympatycznego

oddziału ZLP, wykonał zabawną scenkę, lecz jako człowiek dyskretny nie ujawnił autorów odczytywanych z przejściem dramatycznych listów pisarzy, zbulwersowanych ujawnionymi przez „Gazetę Polską” ohydnyymi procederami.

Nabrałem wówczas przekonania, że te pozy Katonów, ujawniane rzekome dokumenty wcale nie służą wykryciu prawdy historycznej, tylko załatwianiu prywatnych interesów. Boże, czy warto uruchamiać służby państwowe dla zaspokojenia ambicji, podniesienia ewentualnie prestiżu czy uratowania romansu z jakąś dziełatką?

Byłbym zapomniał... Inteligenci, zwłaszcza z wykształceniem historycznym, nigdy nie mogli porozumieć się z „lustratorami”. Podczas tamtej pamiętnej rozmowy na początku listopada zapytano mnie, czy jestem zwolennikiem lustracji. Odpowiedziałem, że rozumiem jej znaczenie tylko w ograniczonym zakresie. Ponieważ mojego rozmówcy nie zainteresowały szczegóły, powtórzę, co miałem na myśli. Otóż w „generale Barczu” Kadena Bandrowskiego po zakończonej kampanii antybolszewickiej także rozpoczęto lustrację jednego z bohaterów, oczywiście na wniosek endeków. Podobno nie rozprawdzał wśród żołnierzy odpowiedniej ilości gazet endeckich. Nagonka nic nie dała, ale krzywda pozostała. Mój rozmówca dlatego nie zainteresował się tą historią, bowiem nadmieniałem, że lustracja i tzw. teczki to stare hobby prawicy, która za ich pomocą nie tylko chciała dojść do władzy i umocnić się na fotelach, lecz ponadto skłócić ze sobą różne odłamy społeczeństwa. Prawica nigdy nie zrozumie, że demokratyczne społeczeństwo z definicji jest pluralistyczne, wieloświatopoglądowe i nie znosi wszelkiego rodzaju prześladowań.

Kaden Bandrowski na wieczorze w okupowanej Warszawie przeczytał opowiadanie, jak to z polecenia późniejszego generała Jura-Gorzechowskiego miał w momencie przekazywania władzy w Krakowie wziąć z budynku austriackiego wywiadu teczkę późniejszego Marszałka Piłsudskiego. Wziął w ostatniej chwili, kiedy właśnie nadbiegali po nią endecy. Chwała Bogu, że piłsudczycy mieli olej w głowie. Wyobraźcie sobie przebieg wojny polsko-radzieckiej, w której mogą wziąć udział tylko zlustrowani oficerowie. Nie ma ani naczelnego wodza Piłsudskiego, ani Sikorskiego, ani Andersa, ani późniejszych dowódców AK. A kto

dowodziłby powstaniem wielkopolskim, gdyby nie dopuszczono Dowbora-Muśnickiego, niestety, carskiego generała.

Wtedy Bóg nas ochronił przed prawicą....

Przyznaję, że zaniepokoiłem się po pewnym czasie, kiedy rzekomy problem zaczęły podchwytwać różnego rodzaju miernoty literackie i karły moralne. Istotnie, zacząłem otrzymywać mniej listów, telefon jakby ogłuchł, nawet część bliskich mi osób zaczęła okazywać rezerwę. Co prawda do prześladowań jestem przyzwyczajony jako syn pepesowca, bliskiego współpracownika Bolesława Drobniera, socjalisty nieakceptującego zjednoczenia PPS i PPR; w młodości doznałem prześladowań, swoistego wykluczenia, odchodziłem z kwitkiem z niejednej instytucji, kiedy szukałem atrakcyjniejszej pracy. Ale to się skończyło w 1956 roku (po śmierci Pyjasa prześladowania były już znacznie łagodniejsze). Przestraszyłem się nie tyle prześladowania mnie, mężczyzny w pewnym wieku i właściciela grobu na Cmentarzu Rakowickim, ile prześladowań moich bliskich. Może jednak nie będzie tak źle? Może groźby lustratorów i antykomunistów nie zostaną w pełni zrealizowane? To chyba już niemożliwe w obecnej Europie.

2.

Przy okazji pragnę wyjaśnić kilka spraw.

Moje dzieciństwo skończyło się w niedzielę 3 września 1939. Wyszedłem z kościoła parafialnego w Wadowicach z moją piękną ciocią, żoną legionisty i byłem bardzo dumny – po pierwsze z jej maski przeciwgazowej, i po drugie – z mojej dziecięcej maseczki, przypominającej maski noszone teraz w okresie większej zapadalności na grypę. Nie mogliśmy przejść na drugą stronę ulicy i dostać się do starostwa, ponieważ nagle od strony Choczni wjechała na rynek rozpędzona bateria małych działek. Tak zobaczyłem skutki przełamania polskiej obrony. Później śmiałem się z Jana Józefa Szczepańskiego, że widziałem jego baterię. Tylko że nie wycofywała się bez pośpiechu i w porządku, jak to opisał w „Polskiej jesieni”, ale w panicznym strachu. Podejrzewam, że dlatego Jan Józef Szczepański mnie nie lubił, nie spodziewał się, że będzie żył świadek heroicznego odwrotu jego baterii.

Tego samego dnia wieczorem moich rodziców, ciocię ewakuowano z Wadowic na Tarnów i dalej do wschodniej granicy. Dziadek jechał na wyraźne żądanie babci z nakazem, żeby się opiekował moją dwudziesto-pięcioletnią matką i mną.

Tego września już nigdy więcej nie zobaczyłem polskiej artylerii, nie widziałem polskiego samolotu ani polskiego czołgu. Uciekałem przez ponad dwa tygodnie wśród cywilów, pieszych lub najwyżej na furmankach, piechurów z karabinami lub bez, a także kawalerzystów; panicznie bałem się niemieckich samolotów. O mały włos, a przedostałbym się z rodzicami na zachód. Ale w ostatniej chwili, kiedy na karkach siedziały nam radzieckie czołgi, zatarasował przejście graniczne ewakuujący się dwór. Pamiętam kobiety, które parasolkami biły rządcę, chcąc go zmusić do przepuszczenia nas przed krowami. Pamiętam też rechot nadjeżdżających czerwonoarmistów.

Od tej chwili przez następnych siedemdziesiąt lat nie wierzyłem i nigdy nie uwierzę w polską mocarstwowość. Kiedy dorosłem, stanąłem po stronie ludzi, którzy jako program mieli hasło: nigdy więcej września 1939.

Przy okazji wyznam, że nie narastała we mnie nienawiść w stosunku do Rosjan. Doprawdy nie wiem dlaczego, może dlatego, że taki pyrkaty samolot z olbrzymią czerwoną gwiazdą nie strzelał do uciekającego chłopca, lecz pilot pomachał do mnie dłonią. Może dlatego, że kiedy napadały na cywilnych uciekinierów watahy ukraińskich chłopów, uzbrojonych i niekryjących wrogich zamiarów, to zdarzyło się tak, że wziął nas w obronę taki duży, sowiecki czołg.

Mieszkaliśmy przez kilka dni we Lwowie, gdzie dołączył do nas mąż drugiej ciotki, oficer wadowickiego pułku (byłem na ich ślubie), który walczył od pierwszych godzin wojny i w boju wycofywał się aż do Lwowa, gdzie nie poddał się ani Niemcom, ani Rosjanom. Razem z nami uciekł przez San do Generalnej Guberni, aby przez Tatry przedostać się na zachód i walczyć w armii francuskiej. Kawaler Croi de guerre! Od razu zorientowałem się, co czeka Polaków. Na strażnicy Wehrmachtu zobaczyłem bitych Żydów, złapanych, gdy uciekali w przeciwnym kierunku.

Tak jest, nie chciałem drugi raz przeżyć upadku mocarstwa europejskiego, jak dumnie nazywano przedwojenną Polskę.

Gdy dorosłem, pojawiły się nowe argumenty za Polską Ludową. Nie wspominam, że widziałem w robotniczym mieście, Mielcu – ludzi

płaczących na widok oddziałów radzieckich. Z radości i ze wzruszenia, że dożyli dnia, kiedy ktoś przegonił Niemców. A już emocje nie do opisanania opanowały tłum, kiedy pojawili się polscy żołnierze i rozdawali Manifest PKWN.

To widziałem i żaden strach przed dzisiejszym reżimem nie wyrzuci tego obrazu z mojej pamięci.

Ale wracam do zaczętego wątku. Tutaj posłużę się argumentami z artykułu Czesława Miłosza pt. „Nie”, ogłoszonego w „Kulturze” w 1951 roku. Otóż Miłosz pisał, że większość polskich pisarzy zaaprobowwała przemiany, zapoczątkowane przez ten nieszczęsny PKWN. To znaczy odbudowę i przebudowę kraju, dostępność oświaty, dostępność opieki zdrowotnej, powszechną elektryfikację. Pisarze i duża część społeczeństwa nie mogli tylko zaaprobować wiernopoddańczego stosunku do ZSRR. Ja też nie mogłem i dlatego do dzisiaj nie lubię stalinowców.

Czy pracownicy aktualnego aparatu propagandy wiedzą, jakie były „polskie drogi”? Wiedzą, że kilkadziesiąt milionów Polaków nie umiało czytać ani pisać? Że po wojnie zdychaliśmy z głodu? To Polska Ludowa zbudowała ekonomikę, infrastrukturę przemysłową, zbudowała nieznane wcześniej gałęzie przemysłu (np. stoczniowy), dzięki temu mogliśmy aspirować do Unii Europejskiej.

Jako student jeździłem w Tarnowskie i do Nowej Huty, żeby uczyć chłopów i robotników czytać i pisać. Jestem z tego dumny.

To były zupełnie inne czasy, których nie można opisać na podstawie meldunków kontrwywiadowczych. Trzeba napisać książki o życiu codziennym Polski Ludowej, ale w tym celu należy posługiwać się narzędziami socjologicznymi, historii gospodarczej itd.

To co się dzisiaj dzieje, to jest tylko powrót do czasów, kiedy społeczeństwo było podzielone na tych, którzy uciekali przed Niemcami pieszo i na furmankach, i na tych nielicznych, którzy uciekali w samochodach. Widziałem i takie samochody. Nie będę powtarzał, co na ich widok wykrzykiwali normalni Polacy.

Inny też stosunek miało moje pokolenie do służb państwowych, w tym służby bezpieczeństwa. Nie będę złośliwie powoływał się na wiersze Woroszyńskiego czy Mandaliana, wykłady np. Kazimierza Wyki. Oni też wtedy szczerze chcieli innej Polski. Dla mnie funkcjonariusze SB to byli moi koledzy szkolni, koledzy z ZMP i ZMS.

Wyznaję, że uważałem Polskę Ludową za moją jedyną Ojczyznę. Było to jedyne, legalne, uznane przez ośrodki międzynarodowe państwo polskie. Przypominam też, że w pierwszych latach po przywróceniu Polsce kapitalizmu profesor Skubiszewski, minister spraw zagranicznych w rządzie Tadeusza Mazowieckiego, na pytanie o relację między PRL a tak zwaną trzecią Rzeczpospolitą, odpowiadał, że ta nowa Polska jest w znaczeniu prawnym i międzynarodowym kontynuacją PRL. Nigdy nie zrozumieć, dlaczego niepodległa Polska jest tylko wtedy, kiedy rządzi nią prawica!

Współpraca z legalnym państwem należy do obowiązków obywateli – zwłaszcza tych, zorientowanych propaństwowo i realizujących program pomnażający polski stan posiadania.

3.

Podczas tej rozmowy na początku listopada 2008 r. odniosłem wrażenie, że mojego interlokutora wcale nie interesuję jako suwerenna jednostka, charakteryzująca się pewnymi pasjami społecznymi i intelektualnymi, które starałem się realizować w warunkach prawdopodobnie przez niego nawet mało znanych. Najważniejsze dla niego było nie moje życie i prace, ale ten odnaleziony w IPN dokumencik. Zadaję sobie pytanie, czy można sprowadzić ludzkie życie do kilku zdań napisanych w policyjnym żargonie, który rozumiem – mam taką nadzieję – tylko archiwisci, specjalizujący się w tajnych służbach. Ten dokumencik miał mnie po prostu przekreślić nie tylko jako obywatela, także jako człowieka.

Nie tracę jednak nadziei, że ktoś kiedyś zainteresuje się także mną i dlatego informuję, że najpełniejsze wiadomości o mnie można znaleźć w trzech publikacjach: 1) „Współcześni polscy pisarze i badacze literatury. Słownik biobibliograficzny”, t. IV, Warszawa 1996, 2) Władysław Tyrański: „Kto jest kim w Krakowie?”, Kraków 2000, 3) Roman Sady: „Kraków i jego dzielnice 1945-2002”, Kraków 2003.

Na mojej postawie życiowej bardzo zaważył przykład mojego Ojca, Eugeniusza Kajtocha, podczas wojny członek RPPS w fabryce samolotów w Mielcu, po wojnie działacz PPS w Mielcu, Wadowicach i Krakowie, usuniętego z PPS za sprzeciw wobec jej połączenia się z PPR. To były trudne lata dla mojej rodziny, ponieważ Ojca wyrzucano z każdej pracy. Sytuacja uległa zmianie w 1956 r., kiedy to Bolesław Drobner

został posłem na Sejm i I sekretarzem KW PZPR w Krakowie, a mój Ojciec – przywrócony do Partii – radnym do Miejskiej Rady Narodowej w Krakowie, z robotniczego Podgórze. Tak było do 1972 roku, kiedy Ojciec zmarł. W pamięci Krakowian pozostał, jako życzliwy ludziom społecznik; przed śmiercią np. zajmował się zebraniem materiałów budowlanych na jakieś prace remontowe w kościele pod wezwaniem św. Józefa w Pogórze.

Drugą osobą z rodu Kajtochów, która pozostała w pamięci ludzkiej była stryjenka Janina, nauczycielka przez kilkadziesiąt lat w Bieruniu Starym na Górnym Śląsku, przewodnicząca Koła Młodych Polek, folklorystka (pozostawiła po sobie „Wesele pszczyńskie”), podczas wojny żołnierz podziemia, organizatorka w strukturach AK pomocy żywnościowej dla więźniów Auschwitz Birkenau, także ucieczek więźniów z tego hitlerowskiego obozu.

Muszę z całą mocą zaznaczyć, że nie przywołuję tych postaci jako tarczy, broniącej mnie przez ludzką podłość. Chodzi o pokazanie genezy moich zainteresowań społecznikowskich.

Istotnie, jak to wtedy mówiono, praca społeczna pochłaniała mój czas od lat szkolnych. Zacząłem od teatru w Liceum Sobieskiego w Krakowie, następnie należałem do redakcji magazynu graficzno-literackiego „Zebra” (jedno z pierwszych pism pokolenia 1956). Potem współpracowałem z ZMW, ZMS, KKMP (ułatwialiśmy start pisarzom, mieszkającym na prowincji). W Krakowie organizowałem Krakowskie Dni Poezji, prowadziłem Krakowską Noc Poetów, przez pewien czas byłem opiekunem Koła Młodych ZLP. Po Adamie Włodku, za aprobatą Stefana Otwinowskiego. Z tego jestem szczególnie dumny.

Moje zainteresowania naukowe i literackie pozostawały jakby na drugim planie. To poważny błąd życiowy. Ale kiedy dzisiaj podsumowuję je, dostrzegam także pewien zamysł. Zacząłem od prac przy wznowieniu powieści współczesnych i historycznych Kraszewskiego. Przeszedłem z kolei do literatury regionalnej na Górnym Śląsku i w moich rodzinnych Wadowicach. Następnie skoncentrowałem się na recenzji prasowej oraz antologiach poezji i prozy współczesnej.

Jaki był ten zamysł? Otóż w miarę upływu lat coraz wyraźniej wyznawałem pewien światopogląd pozytywistyczny; mianowicie chodziło mi o pomnażanie dorobku kultury polskiej.

I tu nawiążę do deklaracji z części drugiej tych wspomnień. Niezmiennie byłem lojalnym obywatelem Polski Ludowej, ale uważałem, iż jako taki mogę sobie pozwolić na pewien krytycyzm oraz dystansowanie się od niektórych szczegółów życia w Ojczyźnie. I zaczęły się kłopoty. Pod koniec lat sześćdziesiątych cenzura zatrzymała przygotowaną przeze mnie powieść Kraszewskiego „Diabeł”, pod zarzutem klerykalizmu i nacjonalizmu. Wydałem ją dopiero na początku rządów Edwarda Gierka. Chciałem wydać powieść Michała Czajkowskiego „Stefan Czarniecki”. Wyszła, ale zmasakrowana przez cenzurę. Niezorientowanym przypomniałem, że była to prekursorka „Potopu”. W połowie lat siedemdziesiątych miałem kłopoty z folderem na Krakowskie Dni Poezji; usunięto z niego blok poświęcony grupie literackiej „Teraz”, wreszcie w Wydawnictwie Literackim zatrzymano dużą antologię pt. „Starty”. Jerzy Skórnicki i ja – nie chcieliśmy się zgodzić na usunięcie z niej grup „Teraz” i „Próby”. W „Iskrach” okaleczono moją ulubioną antologię „Debiuty poetyckie”. Przygotowana dla KAW w Warszawie antologia poezji patriotycznej „Bez tej miłości nie można żyć” została skrócona wprost o połowę. Głównie chodziło o Miłosza i ulubioną przeze mnie poezję legionową.

W działalności społeczno-literackiej zaczęło mi się powodzić coraz gorzej. Przypomnę jeszcze o zorganizowanej w połowie lat siedemdziesiątych wielkiej akcji w obronie lektur szkolnych. Chodziło o fundamentalne dla naszej świadomości narodowej dzieła romantyzmu, pozytywistyczne i dwudziestowieczne. Chcieli je usunąć. Broniliśmy dorobku naszych zmarłych kolegów. Głupcy! Dzisiaj je usunięto bez protestów środowiska. Pomagali mi w organizowaniu akcji tacy szanowni koledzy jak Jan Józef Szczepański, Jerzy Kwiatkowski i Wiesław Paweł Szymański. Do tego doszła nieudana próba powołania w Krakowie nowego pisma literackiego pt. „Ateneum”.

Moje kłopoty i jednocześnie dystans do czynników rządzących rosły. Ale lont zapaliły dwa incydenty bardziej osobiste: wspominałem, że w 1972 roku zmarł mój Ojciec. Myślałem, że o tym fakcie powinienem zawiadomić referat historii partii. Zadzwoiłem na ulicę Solińskiego. Tam mnie poinformowano, że nie prowadzą rejestru byłych PPS-owców. Zrobiło mi się bardzo przykro. Pomyślałem, że stalinizm wraca. Na naradzie poświęconej lekturom zarzuciłem obecnemu na niej wiceministrowi oświaty, że resort prowadzi politykę rasyfikacyjną (!). Niektórzy

kuratorzy, obecni na sali, mówili, że powinno się mnie usunąć z pracy w oświacie i nauce. Zaczęły mi się nie podobać czerwone sztandary wieszane obok biało-czerwonych na budynkach państwowych. Nie akceptowałem zmian w Konstytucji jako rezygnacji z suwerenności. I mówiłem o tym otwarcie na zebraniach w krakowskiej „Kuźnicy”. Byłem nadal członkiem PZPR i tak już pozostało do końca, ponieważ nie potrafiłem się wyrzec socjalizmu.

Wściekłem się, kiedy zamordowano Stanisława Pyjasa. Wtedy przekroczyłem granicę bezpieczeństwa: wziąłem udział w żałobnym pochodzie w Krakowie, chyba jako jedyny pracownik dydaktyczny UJ i członek PZPR. Nadal pozostawałem członkiem PZPR i socjalistą. Nikt tego nie mógł zrozumieć. Ja także. Lecz wtedy odmówiłem spotkań z oficerem SB. Moją decyzję przyjęto ze zrozumieniem. Sądzę, że kontakty stały się krępujące dla obydwu stron.

Oceniać ludzi, którzy pracowali i podejmowali różne decyzje w Polsce Ludowej należy dopiero po zapoznaniu się z ówczesnymi realiami socjologicznymi i kulturalno-społecznymi. Np. życie kulturalne w Polsce Ludowej miało porządek hierarchiczny, wtedy mówiło się – podobny do trójkąta z wierchołkiem w Warszawie, a podstawą na tzw. prowincji. Istniało kilka wiodących wydawnictw, jak np. PIW, Czytelnik, LSW, Iskry; świadectwem demokratyzacji było utworzenie wydawnictw prowincjonalnych: Wydawnictwa Literackiego, Poznańskiego, Łódzkiego, Śląskiego, Ossolineum we Wrocławiu.

Zawsze dbano o istnienie kilku redakcji czasopism kulturalno-społecznych w Warszawie, znowu w miarę demokratyzacji powołano „Życie Literackie” w Krakowie, w kolejnych latach czasopisma regionalne (w każdym województwie jedno). Niektóre z tych regionalnych czasopism, jak i redakcji radiowych i telewizyjnych dorabiały się ogólnopolskiego znaczenia.

Ten system na początku w miarę dobrze funkcjonował, bądź co bądź między 1956 a 1980 powstały ważne dzieła literatury i sztuki, których nie będzie można pomijać. Przyznaję, że później przeszkadzał rozwojowi.

W tym systemie szczególnego znaczenia nabierały różnego rodzaju ekspertyzy: recenzje prasowe, recenzje wydawnicze, opracowania dla różnych instytucji państwowych.

I ja takie pisałem. Byłem fachowcem i nie uchylałem się od dawania opinii, które przygotowywałem, korzystając ze swej wiedzy. Mogłem się

niejednokrotnie mylić, wtedy na pewno poprawił mnie inny recenzent. Protestuję przeciw kolportowanemu dziś utożsamianiu problemowych opinii z donosami. Byłem w wypowiedziach szczery, żałuję, że nie zawsze prawidłowo je rozumiano.

Wtedy zamknęły się przede mną wszelkie możliwości rozwoju zawodowego. Dla członków partii stałem się osobą podejrzaną, dla opozycji też niewiarygodną, bo w dalszym ciągu przyznawałem się do tradycji socjalistycznej. Moje kontakty z „opiekunami ze strony SB” także wygasły. Na początku lat siedemdziesiątych zrezygnowałem z sekretarzowania w „Ruchu Literackim”, a po śmierci Pyjasa praktycznie mnie odsunęto od Podyplomowego Studium Dziennikarskiego, bo dezaprobatą władz nie wyrażała się tylko zaprzestaniem wypłaty dodatku za kierowanie Studium. Za niedługo objął je zresztą oficjalnie Krzysztof Woźniakowski, przyzwoity człowiek.

4.

Do dziś nie mogę pojąć, dlaczego nikt nie chce pamiętać o represjach, jakie na mnie spadły. Początkowo sądziłem, że amnezja jest na rękę kwestorowi UJ. Powinni byli po 1990 r. wypłacić mi zaległe pobory, nawet z procentem. Ale sprawa musi mieć głębsze przyczyny. Wszystko robiłem zawsze sam, kierując się swoście rozumianymi motywami.

Wspomnę, że w tym mniej więcej czasie, w latach osiemdziesiątych odstąpiłem od światopoglądu scjentystycznego i wróciłem do społeczności rzymsko-katolickiej. Tu zresztą spotkało mnie zrozumienie, jakby się tego od dawna spodziewano. Bo przecież nigdy całkowicie z parafią nie zrywałem. Ale motywy mojego postępowania były czysto osobiste. Natknąłem się na takie życiowe problemy, które mogłem rozwiązać jedynie wracając do wiary ojców. Pomogli mi w tym zresztą dwaj księża: augustianin – O. Marek – i salezjanin – ks. Tadeusz. I ta moja decyzja nie została przez wszystkich w tzw. twórczym środowisku dobrze zrozumiana. Kiedyś doszły do mnie plotki, że niektóre osoby z tzw. środowiska dopytują się, czy nadal chodzę do mojej parafii pod wezwaniem św. Stanisława Kostki. Kiedy im odpowiedziano, że tak i to nawet bardzo regularnie, pytający załamali ręce i powiedzieli: – Trudno go zrozumieć. Przecież to takie niemodne!

Miał rację Andrzejewski, że w środowisku literackim dominują zachowania stadne. Ale wracam do głównego wątku.

O poranku następnego dnia po tym pochodzie solidarności z Pyjasem przyniesiono Machejkowi fotografie i kazano mu znaleźć członków ZLP. Od razu mnie znalazł, zawsze miał do mnie zastrzeżenia i wreszcie się sprawdziły.

W jakiej kolejności toczyły się dalsze wypadki – nie wiem, ale wspomnę charakterystyczne wydarzenia.

Przyznano mi odznakę Zasłużony dla Miasta Krakowa. Co prawda mi ją wręczono, ale nie podano ręki ze zwyczajowymi gratulacjami. Zatrzymano się na dłużej przy Marku Skwarnickim.

Spotyka mnie zdenerwowany prodziekan Wydziału Filologicznego, Stanisław Jaworski i mówi: do dziekanatu przyszli oficerowie SB i powiedzieli, że jesteś skończony. W dodatku stwierdzono, że masz żydowskich przodków. – Jak to jest z tymi przodkami? – Napisałem skrócone drzewo genealogiczne i złośliwie dodałem, że nie jestem pierwszy z rodziny pod takim pręgierzem. Kiedy wysiedlono moją rodzinę z Babc, bo teren był zajmowany dla esesmanów służących w Auschwitz, to jakiś sąsiad krzychał do gestapowca – mnie nie wysiedlajcie, ich wysiedlajcie, bo to są Żydzi. Stryjenka przytomnie zwróciła się do gestapowca, że ona się czuje obrażona i prosi o urzędowe potwierdzenie aryjskości rodziny. Dodałem, że może najdę to zaświadczenie i przedłożę teraz, bo gestapowcy w tych sprawach byli nielada specjalistami.

Notabene zawsze miałem kłopoty z udowadnianiem polskości, ponieważ ogół nie znał słownika prof. Stanisława Rosponda i nie mógł rozgryźć mojego śląskiego nazwiska.

Na dodatek nadwyrężyłem nogę. Pewnego dnia odwiedził mnie kol. Marian Oleksy, ówczesny redaktor „Głosu Nowej Huty” i oświadczył, że zabroniono mu drukować moje recenzje literackie, bardzo był speszony, przeproszał i zostawił bukiet kwiatów. Zachował się przyzwoicie. Innego dnia przybiegła Hanka Gorazd, podówczas partyjna pisarka z wiadomością, że w KC PZPR wypytywano ją o mnie i nie mogli zrozumieć, dlaczego jeszcze nie wyrzucono mnie z UJ.

Ale najbardziej przyzwoicie zachował się Mieczysław Karaś, rektor UJ i członek KC PZPR. Zadzwonił do mnie i powiedział, że z pracy

mnie nie wyrzuci. Niestety, po kilku dniach zmarł i nie mógł dalej się mną opiekować.

Żeby wymienić wszystkich, którzy w tamtych dniach okazali mi serce, to wspomnę Jerzego Broszkiewicza, który odważył się pułkownikowi Włachowi zadać pytanie, czego SB właściwie ode mnie chce; Henryka Voglera, który zbeształ Machejka za jego antysemityzm i Ewę Lipską, która podczas zwyczajowego przesłuchania wystawiła mi dobrą opinię.

Ale to i tak nie zmieniło mojego położenia. Byłem skończony – jako osoba dwuznaczna. Muszę jednak podkreślić, że mój udział w tym Pyjasowskim pochodzie traktuję jako jeden z najważniejszych czynów w moim życiu. Pokazałem wtedy, że jestem dobrym nauczycielem i prawym socjalistą.

Nawet dobrze, że nie wypłacono mi tych zaległych poborów. Nie miałbym takiej moralnej satysfakcji.

Suplement

„Doświadczyłem wielkiej klęski ideałów”

ROZMOWA Z LITERATEM DR JACKIEM KAJTOCHEM

Od początku pana pracy pisarskiej zajmował się pan krytyką literacką, debiutując w tym gatunku w 1956 roku. Od początku też szedł pan drogą ideologiczną wyznaczaną przez partię. Redagował pan dwutygodnik „Zebra”, potem znany do dziś tytuł „Głos Młodzieży”. Był przekonany do baśń marksistowskich? Jak to się wyrażało u pana w działaniu i w pisarstwie?

Proszę wybaczyć tony polemiczne, jakie podejmę w odpowiedzi na pierwsze pytanie, ale to konieczne. Istotnie, zadebiutowałem jako krytyk literacki w 1956 roku w „Życiu Literackim”, które właśnie w tamtych czasach odgrywało ważną rolę i było pismem otwartym. Należę do pokolenia „Współczesności”, przecież jednak moje doświadczenia historyczne nie ograniczają się do wydarzeń między czerwcem a październikiem 1956 roku. Przeżyłem przecież wrzesień 1939 i lata okupacji, częściowo na ziemiach włączonych do tzw. Reichu, a częściowo w Generalnej Guberni i znowu – co dla mnie było decydujące – w Mielcu, zaliczanym od 1944 roku do tzw. Polski Lubelskiej. Otóż moje doświadczenia wojenne wychodzą poza ramy utrwalane dzisiaj w mass mediach. W pamięci pozostały mi fragmenty przeżyć. Uciekająca przez Wadowice w pierwszą niedzielę września polska artyleria, okropne dni ewakuacji z Wadowic aż do Tarnopola i Lwowa w potoku bezładnie wycofującego się wojska, wśród złorzeczących sanacji, a nawet imieniu Marszałka Piłsudskiego, cywilów i żołnierzy, paniczny strach przed niemieckimi samolotami i zdumienie, że pierwszy raz w życiu ujrzały przeze mnie samolot

z czerwoną gwiazdą – nie ostrzelał dzieci, ucieczka przez San z powrotem do Heimatu, jak tłumaczyliśmy niemieckim żołnierzom, kiedy to znów na odwrót – strzelali do mnie czerwonoarmiści, a uratowali mnie Wehrmachtowcy; wtedy również zobaczyłem po raz pierwszy bitych ludzi – Żydów.

Ta pamięć wydarzeń wojennych, których do dzisiaj nie zdołałem uporządkować i wyciągnąć z nich odpowiednich wniosków, jest porażająca. Kilka lat temu napisałem w jednym z artykułów autobiograficznych, że studia polonistyczne ukończyłem jakby z przekory, przeciwstawiając się niemieckiemu żandarmowi, który zbił mnie nieopodal kościoła w Wadowicach za głośną rozmowę z kolegą po polsku. Oczywiście, karierę szkolną zacząłem w niemieckiej placówce, kontynuowałem w polskojęzycznej. Z tych powodów – podkreślam: do dzisiaj nie potrafię wyznaczyć miejsca wojny i okupacji w mojej świadomości, aczkolwiek wiem, iż były decydujące, konstytutywne – odwołując się raczej do tekstów pisarzy starszego pokolenia na wyrażenie tamtych czasów. Niemal za swoje uznaję wypowiedzi Kazimierza Wyki w dwóch książkach: „Życie na niby” i „Pamiętnik po klęsce” (nie moja wina, że są to książki najmniej znane z dorobku tego wychowawcy polskich krytyków powojennych) i na ogół niecytowany wiersz Tadeusza Różewicza „Rok 1939” z końcowym fragmentem: *„szukam cmentarza/ gdzie nie powstanę z martwych/ tu złożę niepotrzebne śmieszne rekwiizyty/ Boga tak malutkiego jak lipowy światek/ orla białego który jest ptaszkiem/ na gałązce/ człowieka którym nie będę”*. Precyzując: w pierwszych latach życia doświadczyłem wielkiej klęski ideałów, w których mnie gorliwie wychowywano: do pierwszej Komunii świętej w Wadowicach przygotowywali mnie ci sami katecheci, którzy przeszli do historii jako wychowawcy Białego Pasterza, matka uczyła mnie słów Hymnu Narodowego, a wujowie i starsi koledzy tej triady: Bóg, Honor i Ojczyzna. Ale ja, jak podkreślam, wychowywałem się na gruzach.

Przed nihilizmem ratowali mnie moi nauczyciele: Zofia Nowakowska z Liceum Sobieskiego w Krakowie, która pokazywała nam gazetki okupacyjne, Wincenty Spiechowicz, posyłający mnie do Muzeum Czartoryskich, abym tam przeczytał dokumenty ze śledztwa przeciwko spiskującej młodzieży Rzeczypospolitej Krakowskiej, Stanisław Pigoń, skutecznie wpajający nam przekonanie, że misją polonistów jest uczenie polskiego języka w każdych warunkach historycznych. Nie przeczę, że

były w moim życiu lata fascynacji marksizmem jako filozofią i metodologią badań naukowych. Ale miałem różne fascynacje, np. w okresie debiutu egzystencjalizm, później tylko scjentyzm i monizm przyrodniczy. Aż wreszcie – trudno uwierzyć! – doszedłem do przekonania gdzieś w połowie lat czterdziestych – że w chwilach kryzysów egzystencjalnych, w obliczu dramatów ostatecznych, mój eklektyczny światopogląd – chociaż wszystko zaczęło się od marksizmu – nie daje odpowiedzi na najważniejsze pytania. I wróciłem do katolicyzmu. Triumf odnieśli ksiądz Bajer ze szkoły św. Wojciecha i ksiądz Szymeczko z Liceum Sobieskiego (znane w Krakowie szkoły).

Proponuję wrócić do dosłownego brzmienia pytania. Jak to było na początku?

Tak, pytał pan o pierwsze moje prace i początki działalności w redakcjach „Zebry” i „Głosu Młodzieży Wiejskiej”. Byłem zawsze, jak to kiedyś powiedział mi rektor UJ, Mieczysław Karaś – kontrowersyjny, i dlatego – proszę zauważyć – w żadnym z tych czasopism nie byłem redaktorem naczelnym. W „Zebrze” odpowiadałem w ostatnich numerach za część literacką, w „Głosie Młodzieży” byłem konsultantem od spraw prozy i krytyki. To były ciekawe czasopisma, jakby na to nie patrzeć. W „Zebrze” drukowaliśmy m.in. Czesława Miłosza i Witolda Gombrowicza, a także poetów z londyńskiej grupy „Kontynenty”. W jednym z artykułów postulowałem wydanie w Polsce w edycjach książkowych Miłosza i Gombrowicza. A „Głos Młodzieży” działał na innym terenie i w innych latach. Tu realizowaliśmy pozytywistyczny postulat powiększania i utrwalania kultury i tożsamości polskiej. Odegraliśmy pewną rolę w ukształtowaniu w latach sześćdziesiątych w literaturze tzw. nurtu wiejskiego, który zawsze miał wyraźne, polskie cechy. Nie wiem, na ile realizowałem w swojej pracy redakcyjnej program PZPR, a na ile byliśmy „kontrowersyjni”, dość że – przypominam – „Zebra” zakończyła życie w 1958 roku (dramatycznie) na podstawie decyzji politycznej, a „Głos Młodzieży” w 1972 roku w podobnych okolicznościach. Wśród planów, których nie zdołałem nigdy zrealizować, na pierwszym miejscu stawiam pomysł stworzenia czasopisma dla młodzieży artystycznej, właśnie niezależnego od aktualności politycznych. Rzecz jasna, myślałem o literaturze w kategoriach marksistowskich, z którymi zaznajomił mnie prof. Markiewicz, ale to się w miarę postępu lat sprowadzało do histo-

ryzmu, traktowania literatury jako swoistej pamięci narodowej, akcentowania obowiązków społecznych i narodowych pisarzy. Piętno ideologiczne zacierało się coraz bardziej. Doprawdy nie wiem, kto wywarł na mnie większy wpływ: wspomniany Henryk Markiewicz, czy znany tylko, niestety, z lektury Ignacy Chrzanowski, a może – na szczęście znani z wykładów i seminariów – Juliusz Kleiner i Stanisław Pigoń?

Napisał Pan w 1967 roku rozprawę doktorską „Poezja Polska na Śląsku w XIX wieku”, potem wydał dwie książki o twórczości tej południowej naszej dzielnicy: o poecie Konstantym Damrocie i Norbercie Bonczyku, też poecie. Pierwszy napisał: „Osiem wieków, jak od matki/ Łona Śląsk nasz oderwano./ Jak obcym na zdobycz dziatki/ Polskiej ojczyzny wydano...”. Jak bogata jest kultura polska do dziś pielęgnowana od wieków na Śląsku, jak ujmowana przeszłość Śląska długo, długo niepolskiego?

Muszę tu ad hoc zaznaczyć, że Norbert Bonczyk był proboszczem w Bytomiu, a Konstanty Damrot profesorem i dyrektorem kilku seminariów duchownych. Pisałem o tych sprawach otwarcie w obydwu książeczkach. Opublikowałem też w Ossolineum mało znane liryki Bonczyka. Polskie i niemieckie, autor był dwujęzyczny. Tak jak zwykle, moje zainteresowania miały genzę osobistą. W rodzinie Kajtochów, ojciec urodził się w Babicach pod Oświęcimiem, pielęgnowano tradycje górnośląskie. Sława całej rodziny, stryjenka Janina Kajtoch, kilkadziesiąt lat była nauczycielką w Bieruniu, miasteczku śląskim. W stulecie jej urodzin tamtejsze stowarzyszenie kulturalne wydało napisane przez nią „Nowobieruńskie wesele pszczyńskie”. Notabene od niej należy liczyć tradycję literacką Kajtochów. Jestem w niej drugim pokoleniem, mój syn Wojciech, bratanica Ewa i wnuczka Anna, to trzecie i czwarte. Służymy językowi polskiemu tak, jak na to nasze zdolności pozwalają. Inne motywy mojego wyboru to świadomość pogranicza kultury polskiej i niemieckiej, początków odradzania się kultury polskiej po kilku wiekach i udział w tym procesie katolików śląskich. Co znamienne dla lat sześćdziesiątych: pomagali mi w mojej pracy raczej indyferentny Zdzisław Hierowski, znany działacz komunistyczny na Śląsku Wilhelm Szewczyk i profesor Wincenty Danek, rektor byłej WSP w Krakowie, również z nomenklatury. Historia Polaków jest skomplikowana w ogóle i nie daje się ująć tylko w białe i czarne kolory lub czerwone i żółte. A miejsce Śląska w naszych dziejach jest naprawdę znaczne. Pozycję w Europie i jasną

przyszłość mieliśmy za Piastów. Jeszcze w XIX wieku na Uniwersytecie Wrocławskim pełno było studentów Polaków, język polski słyszało się w domach i na ulicach. Ślązacy mogli być zawsze wzorem pracowitości i patriotyzmu. Powstańcy śląscy i harcerze do końca walczyli w 1939 roku w swojej dzielnicy. Po części pomagał im w tym także mój wujek, January Jaglarz, dowódca fortu w Chorzowie. Jeden z największych sukcesów Polski w XX wieku to odzyskanie, zagospodarowanie i stworzenie aktywnych środowisk kulturalnych polskich na Górnym Śląsku i Dolnym Śląsku oraz Opolszczyźnie. Swoją drogą, bardzo trudno przychodzi prawdę tę upowszechniać, a zwłaszcza przyswoić ją sobie. W dwudziestoleciu międzywojennym przynieśliśmy na Śląsk bezrobocie, podobnie w ostatnich latach. Nie chcę o tym dłużej pisać, bo nachodzą mnie bardzo smutne myśli...

Pana sentymenty i resentymenty są zróżnicowane, nie będę o nie pytał szczegółowo. Ale jedna kwestia ciśnie mi się na usta od początku. Urodził się pan w Wadowicach, w 1983 roku wydał antologię poetów ziemi wadowickiej, którą reprezentowali Emil Zegadłowicz, Janina Brzostowska, wielu, wielu innych poetów, i oczywiście – Karol Wojtyła. Jakie tradycje kulturalne, szczególnie literackie ziemi wadowickiej należałoby szczególnie podkreślić? Jaki klimat kulturowy, pana zdaniem, wpłynął na ukształtowanie się tak bogatej osobowości jak obecny papież, Jan Paweł II?

Wspominał pan antologię „Nadstawie”, którą szczególnie lubię. Powstawała na początku tzw. stanu wojennego. Napisałem do Ojca Świętego list z pytaniem, czy zechce w niej być reprezentowany. Chodziło mi o przedruk według mnie najbardziej wartościowych poematów: „Matka”, „Myśląc Ojczyzna”, „Stanisław” i „Kamieniołom”. Bałem się, że nie będzie chciał drukować obok Emila Zegadłowicza, na początku drogi życiowej gorliwego katolika, następnie heretyka, gorszyciela, nawet zbliżonego do komunizmu. W ówczesnym środowisku literackim umacniały się podziały polityczne, trwała bezpardonowa walka, zrywano więzy przyjaźni. Jakiż byłem małoduszny! Ojciec Święty po kilku dniach odpowiedział, zaaprobował wybór, zastrzegł tylko, żeby honorarium przeznaczyć dla biednych w wadowickiej parafii. W sumie „Nadskawie” to jedno z moich większych osiągnięć literackich w tamtych latach. Ojciec Święty przysłał mi po ukazaniu się książki list z błogosławieństwem apostołskim. „Tygodnik Powszechny” nie napisał o niej ani słowa. Nie

umiemy korzystać z przykładu, jak należy kierować się wartościami nad-
rzędnymi. Trudno mi wypowiadać się na temat wpływu tradycji naszego
rodzinnego zakątka na osobowość Jana Pawła II. Nigdy bym nie śmiał
bez specjalnych i rzetelnych studiów roztrząsać tak skomplikowanych
problemów. Mogę tylko wspomnieć, że Wadowice i okoliczne miejscowości,
Bielsko i jeszcze dalej, to jak każda ziemia kresowa jest kopalnią
polszczyzny. Moi przodkowie bronili tej ziemi przed zaborem czeskim.
W dokumentach jest dużo wzmianek o Tomiakach, Jabłońskich, Gacz-
kach, Wądołnych i Małuseckich. Dzielnie sobie poczynali, także podczas
II wojny światowej i nawet po niej. Po stronie Matki chlubą naszej ro-
dziny jest Ojciec Wilhelm Gaczek, Augustinianin, zamordowany w Aus-
chwitz-Birkenau. Trwają starania o Jego beatyfikację. Czasem zaglądam
do Augustianów na Kazimierzu, żeby przeczytać Jego nazwisko na tab-
licy honorowej. Kościół świętej Katarzyny odegrał dużą rolę w moim ży-
ciu, ale o tak osobistych sprawach nie będę opowiadał... Jednocześnie tak
w Czartaku, jak i w Wadowicach są wykształcone tradycje współżycia
różnych nacji, np. Żydów, Austriaków, nawet Ukraińców, istnieją żywe
formy ekumenizmu. Rodzina Emila Zegadłowicza stanowi tu dobry
przykład. Z Czartaka przejąłem bardzo dużo, np. nowocześnie pojęty re-
gionalizm, szacunek dla kultury ludowej, ideały ekologiczne. Cieszę się,
że mogłem wydać nie tylko utwory Karola Wojtyły, lecz także i Emila
Zegadłowicza i Edwarda Kozikowskiego, a nie wymieniam młodszych,
ponieważ oni dopiero otwierają sobie wejście do naszej literatury.

*Od początku towarzyszył pan bieżącemu życiu literackiemu w kra-
ju, czego niemal dokumentem, a może wariacją, jakby fugą krytycznolite-
racką, są trzy wydane przez pana prace: „Debiuty poetyckie 1944–1960,
Wiersze, autointerpretacje, opinie krytyczne” (1972), „Rodo-wody”, napisa-
ne wraz z Jerzym Skórnickim o najgłośniejszych nazwiskach powojennej
literatury, oraz „Antologia noweli polskiej 1918–1978”, ułożonej z Ewą
Sabelanką. Będę niepokorny i nie pójdę tropem pana opisów, zapytam, jak
uogólnić kształt pisarstwa powojennego, co wniosło ono do dzisiejszych
czasów, w czym i szczególnie dzięki komu jest aktualne?*

Dorzuć jeszcze tytuł czwartej antologii „Czy mały realizm?”, po
wydaniu której notabene Piotr Kuncewicz nazwał mnie kiedyś przywód-
cą „małych realistów”. Nie całkiem to prawda, ale nie protestuję przez
skromność. W ogóle lubiłem czytać recenzje z moich prac i wszystkie

opinie przyjmowałem z dużym spokojem, nawet kiedy Staszek Stanuch
pisał felieton „Jacek, bój się Boga!” Nie pamiętam, jaka praca tak go
wzburzyła. A Jurek Skórnicki i ja mieliśmy ambicję stworzenia nowe-
go rodzaju antologii, która by łączyła utwory oryginalne, wypowiedzi
autobiograficzne i autointerpretacyjne oraz opinie krytyków literackich.
Chcieliśmy w ten sposób uzyskać swoistą panoramę, wypowiedź polifo-
niczną, synkretyczną itp. Osobiście uważam, że literatura polska po 1918
roku jest jednością i w sumie te dziesięciolecia należą do najciekawszych
i najbarwniejszych. Nie udało się wszystkiego zrealizować, ogranicze-
nia były dotkliwe, nie mogliśmy przedrukowywać autorów żyjących
na emigracji, zawsze coś w tych antologiach budziło wątpliwości, np.
z „Czy mały realizm?” usunięto prozę Janiny Katz (nie wiem, czy ona
powróciła do tych spraw, a mogła napisać coś na poziomie „Wojny Ży-
dowskiej” Grynberga). Z „Debiutów poetyckich” wypadły wiersze Słu-
ckiego, Wirpszy, poemat Harasymowicza „Lichtarz ruski”... Ostatnią ze
wspólnych antologii, dedykowaną grupom poetyckim i programom lat
sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, musiałem oddać na przechowanie
do Biblioteki Jagiellońskiej (książka była po pierwszej korekcie). Sporo
autorów mogłem uwzględnić w serii „Polskie opowiadania współczes-
ne”. 50 nazwisk! Pierwsze masowe wydanie opowiadań Gombrowicza!
Myślę, że nie nadszedł jeszcze czas obiektywnego opisu literatury po-
wstającej między 1945 a 1990 rokiem. Proces scalania, jak to nazwał
jeden z wybitnych krytyków, nie zakończył się. Rewindykacje trwają.
W każdym razie nie była to „czarna dziura”... Z dzisiejszej perspektywy
myślę, że był to koniec ery polskiego pisarstwa zaangażowanego w bieżą-
ce życie społeczne i polityczne, koniec epoki wielkich nazwisk w poezji,
prozie i dramacie (ta kolejność nie jest przypadkowa). Kiedyś przyjdzie
żałować tej epoki a będziemy do niej coraz częściej wracać. Już dzisiaj
widać, że nie ma sukcesów literackich, są sukcesy promocji medialnej
i menadżerów. A sądzę, że historia trwa nadal i literatura powinna ją
stale opisywać...

*Teraz przesunę uwagę w czasie: po wydarzeniach lat 1980–81 pana
linia ideowa nie była już tak sztywna, jednolitofrontowa czy jak najpro-
ściej powiedzieć – parapartyjna, i sam pan to zaznacza. A napisał pan
w 1984 roku bardzo obszerną antologię piszących o patriotyzmie (wypisy
z pięciu wieków). Jak pan oddawał timbre patriotyzmu, układając tam-*

ta pracę, jak pan to pojęcie widzi dzisiaj? Czy nastąpiły w panu zmiany w widzeniu tej kwestii?

Wcale nie zmieniłem po 1980/81 swojej postawy historyka literatury współczesnej i antologisty. Domyślam się, że wspomina pan o antologii „Bez tej miłości nie można żyć”. Przygotowywałem ją na sześćdziesięciolecie odzyskania niepodległości przez Polskę w 1978 roku. Napotykałem na dwa rodzaje trudności: po pierwsze – zaciętrzewieni redaktorzy nie chcieli zgodzić się z moim poglądem, że po 1918 roku literatura polska stanowi pewną jedność pluralistyczną, rozwijającą się w warunkach raz – podczas pokoju, drugi raz – w czasie wojny, pisaną w Polsce i na emigracji, zawsze jednak spójną i w swej różnorodności zintegrowaną. Do dzisiaj tak widzę nasze tradycje literatury patriotycznej. Sam jestem coraz bardziej pluralistyczny. Raz odwołuję się do Dmowskiego, innym razem do Piłsudskiego, nie przekreślam Gomułki. Taka jest moja antologia. Ta główna myśl może się trochę pozacierać, ale to nie moja wina... Poza tym chciałem w tej antologii umieścić dużą liczbę autorów różnych opcji. Zamieściłem tam moich ukochanych Ślązaków, przecież bardzo chadeckich; po latach nieobecności dzięki mojej antologii, wrócili na forum publiczne poeci legionowi, bardzo jak na dzisiejsze czasy, lewicowi. Książka miała dwa wydania, do dzisiaj służy za lekturę w szkołach. Nie zastanawiałem się, co bym w niej zmienił, gdyby ktoś chciałłożyć na jej III wydanie. Z pewnością wróciłbym do pierwotnego tytułu: „Tym co służą ojczyźnie”. Pamięta pan ten wiersz Kochanowskiego „a jeśli komu droga otwarta do nieba, tym co służą Ojczyźnie”?

Tak, wielkie słowa!

Problematyka patriotyczna w wersji literackiej zawsze mnie interesowała. Brałem udział w reedycji powieści obyczajowych i historycznych Kraszewskiego, wznowiłem jeden z utworów Michała Czajkowskiego, udało mi się przełamać milczenie nad poezją Józefa Aleksandra Gałuszki, wartościowego poety, poległego w 1939 roku, a skazanego wcześniej na śmierć cywilną przez „Wiadomości Literackie”. W swojej działalności publicznej najbardziej cenię połowę lat siedemdziesiątych, kiedy w gronie kolegów z krakowskiego ZLP broniłem naszych ukochanych lektur szkolnych, które usiłowano usunąć ze spisu z powodu zbyt patriotyzmu. Nie będę rozwijał tematu, ponieważ wyglądałoby to na samochwalstwo, może ktoś o nas wspomni, pisząc o trudnościach polonistyki

szkolnej po II wojnie światowej. Swoją drogą: obecnie nikt w lekturach tych wartości nie podnosi...

Ma pan i inne zastugi... Już jako jeden z pierwszych w 1987 roku zwracał się pan z intencją penetrowania dawnych Kresów Polskich na Litwie. Wydał pan z Krzysztofem Woźniakowskim „Współczesną polską poezję Wileńszczyzny”, z nazwiskami, które do dziś wydają się ważne. Co pan odkrył nowego w poezji poetów polskich nad Wilią? Co pan sądzi w ogóle o tej poezji dzisiaj, bardzo hołubionej przez ZLP?

Dziękuję za wspomnienie antologii Pt. „Współczesna polska poezja Wileńszczyzny”. Mała książeczka, fatalnie wydana, ma ważne miejsce w moim sercu i wspomnieniach. W Wilnie byłem po raz pierwszy na przełomie 1959/60 roku. Posłał mnie tam profesor Wacław Kubacki dla zbadania rękopisów Józefa Ignacego Kraszewskiego. Poznałem dr Jerzego Ordę, historyka sztuki, który oprowadził mnie po Wilnie, a w jednej z licznych rozmów powiedział, że obecnie będziemy się zachwycać każdą ruiną odzyskanego Wrocławia, ale kiedyś przypomnimy sobie o Wilnie i początkach kultury romantycznej. Lepiej te sprawy zrozumiałem często chodząc z nim na Rossę, gdzie zatrzymywaliśmy się przy sercu Marszałka i na przykład przy grobie Jana Basanowicza, „ojca” litewskiego odrodzenia narodowego. Odwiedziłem też Kowno, w którym zwiedzałem miejsca Mickiewiczowskie, a także poświęcone litewskim pisarzom muzea literackie. Wówczas zrozumiałem, że nie można usunąć z pamięci narodowej wieków wspólnoty kulturalnej polsko-litewskiej. Myślę, że każdy polski maturzysta, a na pewno absolwent polonistyki powinien kończyć edukację poznaniem Wilna. Cenię tradycje etniczne ziem polskich, ale w pamięci mam także relikty Rzeczypospolitej Obojga czy nawet Trojga Narodów. Taki mam eklektyczny światopogląd: Dmowski sąsiaduje z Piłsudskim. A nasi koledzy z Wilna najżywiej zachowali kresową polszczyznę i tradycje romantyczne. Cenię ich za uporczywe trwanie przy polskość i wartościach kulturalnych pogranicza. Wspomnę, że w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych często zaglądałem na Zaolzie, a Henryka Jasniczka bardzo szanowałem. Zawsze uważałem, że jesteśmy niesprawiedliwi w rozkładzie zainteresowań: sympatyzowanie z emigracją londyńską, amerykańską czy paryską, a zapominaliśmy o ludziach, którzy przecież nie wyjechali z Polski, tylko Polska była zmuszona ich opuścić.

W 1985 roku wyszły pana zebrane recenzje w tomie „Nie tylko o autorach i książkach”, a czytając o tej książce omówienie Andrzeja Nowaka

w „Argumentach”, mogłem dowiedzieć się, że nie był pan ortodoksyjnym marksistą, bronił pan Jana Dobraczyńskiego, Szaję, ks. Twardowskiego. Jaki to był czas, że w końcu ważne nazwiska trzeba było ocalać taktyką „bezstronności”? Czy nie było tak, że szczególnie chciał pan wybraniać orientację narodową w polskim pisarstwie?

Żałuję, że nie miał pan tej książki w ręku, a nie mam drugiego egzemplarza, bo bym go panu przesłał z podziękowaniem za staranne i obiektywne przygotowanie się do rozmowy ze mną. Ta książeczka stanowi ciekawy przyczynek do historii literatury lat osiemdziesiątych. Zebrałem w niej artykuły publikowane w „Gazecie Krakowskiej” w latach 1982-1983. Pisałem wtedy – wymienię tylko nazwiska – o Jerzym Andrzejewskim, Stanisławie Balińskim, Janie Dobraczyńskim, Jerzym Harasymowiczu, Jarosławie Iwaszkiewicz, Jerzym Krzysztoniu („Wielbłąd na stepie”, pierwsza powieść o przesiedlonych z Kresów do Kazachstanu), o Czesławie Miłoszu, Sławomirze Mrożku, Marku Nowakowskim, Florianie Śmieci, Janie Twardowskim. Ciekawe, prawda? Mało kto dziś uwierzy, że mogłem tak dobierać tematy w czasie tzw. stanu wojennego. A ma pan rację, stawałem się coraz bardziej pluralistyczny, także w doborze lektur na lekcje – dorabiałem wtedy w V Liceum – i ćwiczeniach w grupie studenckiej, słowem – coraz głębiej wchodziłem w problematykę narodową. Dzisiaj ten nurt twórczości bardzo cenię, mam do niego stosunek emocjonalny, chciałbym resztę życia poświęcić na przypomnienie autorów niesłusznie pomijanych, czy wręcz zapomnianych, m.in. z tej orientacji. Żałuję tylko, że nie zdążyłem zebrać reszty recenzji, a pisałem je w „Gazecie Krakowskiej” do stycznia 1990 roku.

Było, nie było, wynotowałem i taki kwiatek z wielu pana wypowiedzi, mianowicie jedno zdanie z listu do redakcji „Życia Literackiego” (ze stycznia 1986): „Myślę, że jak najszybciej musimy powrócić do początku, do powtórnego odkrywania marksizmu-leninizmu, do tej zawsze żywej podstawy naszego myślenia i działania, abyśmy lepiej zanalizowali aktualną sytuację w kulturze i zaczęli odzyskiwać utracone dusze”. Wierzył pan jeszcze wtedy w marksizm-leninizm? Czy nie wstydzi się pan dziś tamtych słów?

Wstydziłbym się, gdybym napisał je dla uzyskania jakichś korzyści materialnych czy honorowych. Ale tak nie było, nie uwierzy pan: ten okres w życiu zamykałem srebrnym Krzyżem Zasługi, kiedy moi czcigodni i zasłużeni dla demokracji koledzy mają piersi udekorowane jak weterani wojenni na defiladach zwycięstwa. Powiem inaczej: dzisiaj już bym takich zdań

nie napisał. Karygodna pomyłka! Bo pod wpływem doświadczeń i uzyskania nowej wiedzy odszedłem od marksizmu, o czym już kilka razy w tym wywiadzie mówiłem. To wcale nie oznacza, że przekreślam lata swojego życia i pracy w Polsce Ludowej. Człowiek, który widział w dzieciństwie katastrofę państwa polskiego, ceni i szanuje każde państwo polskie. Dziś namawiałbym do innej listy lektur niż dawniej: św. Augustyn, św. Tomasz z Akwinu, Andrzej Frycz-Modrzewski, księża reformatorzy państwowości polskiej z końca XVIII wieku, Karol Wojtyła, Roman Dmowski, Józef Piłsudski... Niestety, mało kto czyta tych autorów, a w każdym razie nie rozwija się u nas myśli narodowej i państwowej. Za tę bezrefleksyjność ciężko zapłacić jeszcze nasze dzieci, a na pewno wnuki i prawnuki.

Pana „teczka” osobowa w bibliotece ZLP w Warszawie w odniesieniu do późniejszych lat jest pusta (wiadomo: oszczędności, niemożność skompletowania wszystkich pism-efemeryd, pomniejszanie rangi literatury). Może pan od siebie powie – bez podpierania się przez mnie przykładami – czym pan zajmował się w ostatnich latach (nie chodzi o zajęcia dydaktyczne)? Jakiego pana szczególnie obchodziły tematy i jakie nurtują z tych, które chce pan podjąć, a nie podjął?

W pierwszych latach zaprowadzania nowego ustroju społeczno-gospodarczo-politycznego nie potrafiłem znaleźć dla siebie pracy. Układałem antologie literackie – nikt ich nie potrzebował. Brałem udział w reedycjach klasyków literatury polskiej – zaniechano tych inicjatyw. Pisałem recenzje prasowe – z usług takich jak ja recenzentów zrezygnowano. Na chleb zarabiałem ucząc literatury polskiej, co należy robić, zgodnie z naukami prof. Stanisława Pigonia – w każdych warunkach historycznych. Od pewnego czasu jednak wracam do twórczości: opublikowałem kilka prac autobiograficznych, zająłem się „odbrązowieniem” niektórych pisarzy, aktualnie z innych powodów i dla innych celów stawianych na pomniki, interesują mnie nowe „białe” plamy w naszej literaturze.

Jakie ma pan plany twórcze?

O planach nie chcę mówić. W moim wieku i w mojej sytuacji wszystko może się zdarzyć.

Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: Stanisław Stanik
Myśl Polska, 1-8 maja 2005

Kraków, Wielkanoc 2005

PRZYGODA Z „WYBIÓRCZĄ...”

Pomyśl sobie czytelniku, że oto spotkał cię los jednego z bohaterów Kafki. Rano, zbudziwszy się, stwierdzasz, że zmieniłeś się w robaka. Prawda że byłby to horror niewyobrażalny? Coś na ten temat powiedzieć może ponad siedemdziesięcioletni, krakowski polonista i literat, Jacek Kajtoch*, który w piękny sobotni poranek 21 sierpnia 2004 obudził się jako Zoil, Ropelewski i drań.

Mianowicie wyczytał on z przerażeniem w „Gazecie Wyborczej”, że oto jest sygnatariuszem wystosowanego przez krakowską skrajną katolicką prawicę listu do przeora o.o. Paulinów, w którym z całą mocą sprzeciwia się ona pochowaniu na Skałce Czesława Miłosza (jako że był to poeta wielki, ale bynajmniej nie polski Wieszczy). Napisano o tym w tekstach informacyjnych, a przede wszystkim w felietonie Stanisława Mancewicza „Litwo, Ojczyzno moja. Mancewicz w sprawie Miłosza”. Wśród wielu błyskotliwych wywodów widniało tam między innymi: „Wczoraj miałem w ręku list-protest skierowany do przeora ojców paulinów, w którym ponad dwadzieścia osób apeluje gorąco, by Miłosza na Skałce nie chować. [...] znajduję na liście Jacka Kajtocha, krakowskiego polonistę i zagorzałego pezetpeerowca, sekretarza Podstawowej Organizacji Partyjnej PZPR w PAN-ie, też kiedyś nauczyciela nieuczącego o Miłoszu bynajmniej nie dlatego, że ten był Litwinem, ale dlatego, że władzunia nie pozwalała”.

W ten sposób został Jacek Kajtoch: Zoilem – bo będąc osobą mało znaną wystąpił przeciw uznanemu poecie, Ropelewskim – bo literatura polska zna już przykłady złośliwego rzucania się na wielkości, draniem – bo przecież o zmarłych w ogóle źle się nie mówi, a wtrącanie się do uroczystości pogrzebowych jest czynem wysoce nagannym. Do tego jeszcze

wiersze Miłosza lubił, uczył o nim od wielu lat (choćby nie chciał, to by musiał, bo wykładał na UJ, a tam Miłosz był w programie), a nawet go – za czasów PRL-u – popularyzował.

Sytuacja była więc wielce drażliwa. Po pierwszych telefonicznych próbach wyjaśnienia sprawy okazało się, że po pierwsze żadnego listu nie było, a po drugie nie było żadnych pod nim podpisów. Ot, pewien – równie co Jacek Kajtoch stary – polonista zebrał do kupy antypolskie (w swoim mniemaniu) cytaty z dzieł Miłosza, dołączył do nich informacje, że (jego zdaniem) tak jak i on myślą następujące osoby i postarał się, aby cały ten pasztet trafił do paulinów, którzy wahali się wówczas, czy Miłosz ma leżeć w ich kościele, czy też nie. A dlaczego umieścić na tej liście nazwisko Jacka Kajtocha – jakoś nie umiał wytłumaczyć. Dyskomfort naszego bohatera dodatkowo powiększało, że rodzina i znajomi zaczęli powiadamiać go o tym, że w Internecie wylewają na niego kubły pomyj.

Dalsze dni uświadomiły emerytowanemu wykładowcy, że trzeba jakoś się bronić. 24 VIII, Ryszard Holzer, znowu wymieniając go z nazwiska, wezwał krakowską profesurę do potępienia byłego kolegi, co w dniu następnym się dokonało.

Co prawda wydrukowano też głos prezesa ZLP, Marka Wawrzewicza, w którym wyjaśniał: „Jacek Kajtoch zapewnił mnie, że nie podpisywał żadnego protestu w sprawie miejsca pochówku Czesława Miłosza”..., ale po pierwsze notatkę zatytułowano „Nie przyznają się” (a człowiek nie przyznaje się zwykle do grzechów popełnionych), po drugie wyraźnie wspomniano o „proteście krakowskiego Towarzystwa Pamięci Narodowej przeciwko pochowaniu noblisty w Krypcie Zasłużonych, podpisanym przez członków Związku Literatów Polskich (powołanego w latach 80.) – dr. Jacka Kajtocha...” (w sytuacji, gdy nikt niczego nie podpisywał).

Po trzecie notkę zakończono uwagą: „My zapewniamy, że redakcja dysponuje fotokopią protestu wraz ze stroną, na której są nazwiska wszystkich podpisanych. Widnieją tam też nazwiska obu wymienionych członków ZLP.”. Mowa w tej uwadze była co prawda tylko o „liście nazwisk wszystkich podpisanych” a nie o „podpisach”, ale dla każdego normalnego człowieka, który nie jest specem od retoryki i nie wie, co to jest presupozycja – wyrażenia: „lista podpisanych” i „lista podpisów” niczym się nie różnią. „Wyborcza” zatem nie spuszczała z tonu i nadal zamierza-

ła odgrywać rolę najbardziej obiektywnej gazety w Polsce i dziennikarskiego „arbitra elegancji”.

Nasz siedemdziesięcioletek postanowił zatem się bronić, tym bardziej, że zaczepiony na ulicy przez jego córkę rektor UJ, prof. Franciszek Ziejka, na rewelację, że wszystko to nieprawda zdziwił się wielce... bo przecież wszystko było sprawdzone w internetowym wydaniu „Wyborczej...”. Zebrał się więc emeryt, poszedł do syna (sam ani nie ma komputera, ani nie umie się nim posługiwać) i w trudzie podyktował mu sprostowanie, które ów wysłał do redakcji mailem. Brzmiało ono:

„Kraków, 23 VIII 2004

*Do Redakcji „Gazety Wyborczej”
ulica Szewska 5
51-009 Kraków*

Pan Stanisław Mancewicz w numerze z dnia 21 VIII 2004 oraz pan Ryszard Holzer w numerze z dnia 23 VIII 2004, próbując przedstawić różne stanowiska w sprawie pochówku Czesława Miłosza na Skalce, dali wyraz żywiołowej nienawiści do mnie, której przyczyn nie znam. Nie mam o to do nich pretensji, ponieważ często nad uczuciami człowiek nie może zapanować, o czym ja – nauczyciel o półwiecznym stażu – dobrze wiem nie tylko z podręczników pedagogicznych. Posunęli się jednak do kilku kłamstw, naruszających moje dobra osobiste, muszę zatem je sprostować, prosząc zarazem Redakcję o poinformowanie o tym Czytelników.

Najważniejsze: nie znam listu kol. Jana Majdy do Przeora oo. Paulinów i nigdy go nie podpisałem. Żaden dziennikarz „Gazety Wyborczej” nie zwrócił się do mnie o potwierdzenie lub zaprzeczenie tej informacji.

Co do mojego osobistego stosunku do Czesława Miłosza;

l/ Pierwszy raz na Jego temat wypowiedziałem się w magazynie graficzno-literackim „Zebra” nr 12 z 25 września 1957. Postulowałem tam na str. 10 konieczność wydania w Polsce pisarzy emigracyjnych, w pierwszym rzędzie Miłosza, Gombrowicza i Parnickiego.

2/ Jako nauczyciel literatury współczesnej wprowadziłem do antologii „Bez tej miłości nie można żyć”, adresowanej do studentów i ucz-

niów, wydanej w 1984 r. i w 1989, następujące wiersze; „Kotysanka”, „W Warszawie”, „Który skrzywdziłeś”, „Ballada”.

3/ Jako recenzent literacki wypowiadałem się co prawda rzadko, ale pozytywnie i w czasach, kiedy wielu ludzi na temat tego pisarza milczało. Np. recenzowałem bardzo pozytywnie „Człowieka wśród skorpionów” w „Gazecie Krakowskiej” 4 I 1983, przedruk w książce „Nie tylko o autorach i książkach” Bielsko-Biała 1985, ss. 42–44. Notabene nie spodziewałem się, że ten tytuł nie będzie odnosił się tylko do Brzozowskiego, Miłosza po 1951, lecz także – Boże wybaczyć brak pokory! – do mnie w 2004 r. Pamiętam, że pisałem również w 1988 r. o „Nieobjętej ziemi”. Szczególnie zafrapowała mnie jedna refleksja Noblisty: „Komunizm dał literaturze polskiej niebywałą szansę. Zawsze historycznie zorientowana, ale własną tylko historią zajęta, a więc mało dostępna dla obcych, nagle znalazła się wobec uniwersalnego tematu. Tylko że niewielu piszących wyciągnęło z tego wnioski”.

4/ Jako popularyzator poezji wprowadziłem do antologii z okazji VIII Krakowskich Dni Poezji, 21–25 II 1981 fragment „Traktatu poetyckiego” pt. „Piękne czasy”.

5/ Bardzo często interpretowałem utwory Miłosza na swoich zajęciach, zwłaszcza „Balladę” i „Kotysankę”, „Traktat moralny” i „Świat. Poema naiwne”, które bardzo lubię. Nie udało mi się przekonać studentów do „Doliny Issy”, a przede wszystkim „Zdobycia władzy”, która to powieść, według nich, była zanadto antypolska i antyklerykalna. Od lat 70-tych „Ocalenie” było lekturą na UJ.

W tych dwóch artykułach jedna tylko informacja jest prawdziwa. Istotnie, w latach 1956–1990 byłem członkiem PZPR i bardzo krótko, pod koniec lat sześćdziesiątych, pełniłem funkcję II sekretarza Podstawowej Organizacji Partyjnej PAN w Krakowie. Nie wyrządziłem nikomu krzywdy.

Nawiasem mówiąc, nie jestem za Skalką dla Miłosza, ale z innych przyczyn. Nie będę ich tutaj wyliczał, ponieważ w całej tej gorszącej awanturze nie idzie o sprawy merytoryczne.

Jeszcze raz proszę o sprostowanie kłamstw i krzywdzących pomówień.

Jacek Kajtoch”

Dwa dni nie minęły i otrzymał odpowiedź:

„Warszawa, dnia 26 sierpnia 2004 r..

Pan Jacek Kajtoch

adres e-mail: wojciechkajtoch@o2.pl

Szanowny Panie,

Odpowiedzi na pismo zawierające wniosek o sprostowanie kłamstw i pomówień, zawartych rzekomo w publikacjach: „Profesorów proszę o głos” (*Gazeta Wyborcza” z dnia 23.08.2004 r.) i „Litwo, Ojczyzno moja” (*Gazeta Wyborcza” – wydanie krakowskie z dnia 21.08.2004 r.), uprzejmie wyjaśniam, co następuje:

Sprostowaniem prasowym jest rzeczowa, odnosząca się wyłącznie do faktów, wypowiedź zawierająca korektę wiadomości podanej przez prasę, która jest nieprawdziwa lub nieściśła. Sprostowanie polega zatem na przywróceniu wypowiedzi prasowej zgodności z prawdą materialną, nie zaś prawdą subiektywną, prezentującą nie rzeczywistość, ale subiektywny jedynie punkt widzenia zainteresowanego – autora sprostowania. Oznacza to tym samym obowiązek przedstawienia dowodów na potwierdzenie faktów lub wypowiedzi prezentowanych w sprostowaniu. Nadto, w sprostowaniu prasowym nie są dopuszczalne jakiejkolwiek komentarze, oceny lub uwagi dotyczące treści kwestionowanej publikacji lub osoby jej autora. Co oczywiste, wykraczają one poza jedynie dopuszczalną w sprostowaniu rzeczową korektę faktów. Sprostowanie prasowe ograniczać się musi co do zasady, do prostej i zwięzłej formuły typu „nie jest prawdą, że”. Nadstane przez Pana pismo wymogom powyższym nie odpowiada. Z jego treści nie sposób nawet dociec, jakie konkretnie informacje bądź wypowiedzi są przedmiotem Pana wniosku i jakiej wymagałyby korekty. Większość pisma sprowadza się do przypomnienia własnych Pana wypowiedzi lub działań związanych z osobą Czesława Miłosza i jego twórczością. Mają one charakter uzupełniającego jedynie wyjaśnienia (informacji), które to wyjaśnienie nie stanowi rzeczowej korekty faktów. Przypomnieć też należy, że w materiale z dnia 23.08.2004 r. autorstwa Ryszarda Holzera nie sposób doszukać się informacji, jakoby znał Pan list do przeora ojców

paulinów lub pod nim się podpisał. W tej więc mierze główny Pana zarzut uznać należy za bezprzedmiotowy. Informacja o tym, iż nazwisko Pana figuruje na liście załączonej do listu – protestu zawarta była jedynie w publikacji z 21.08.2004 r. i ograniczona wyłącznie do wydania krakowskiego „Gazety”. Dokument takowy uzyskany z oficjalnych źródeł, znajduje się w naszym posiadaniu. Jeżeli faktycznie pod listem tym nie był Pan podpisany, to zastrzeżenia swoje winien Pan skierować pod adresem autorów (organizatorów) listu, nie zaś pod adresem redakcji. Dodatkowo informuję, że kwestia Pana podpisu pod listem – protestem została dostatecznie wyjaśniona (sprostowana) już na naszych łamach w dniu 25.08.2004 r. Zamieściliśmy wówczas fragment listu Marka Wawrzkiwicza, prezesa ZLP, w którym znalazło się stwierdzenie, iż zapewnił go Pan, że nie podpisywał żadnego protestu. I wreszcie, zwracam uwagę, że użyta przez Pana forma złożenia wniosku z wykorzystaniem poczty elektronicznej, na gruncie przepisów prawa prasowego, nie jest odpowiednia. Stosownie bowiem do treści art. 33 ust. 2 pkt 5 ustawy – Prawo prasowe redakcja może odmówić opublikowania sprostowania, jeżeli nie zostało ono podpisane w sposób umożliwiający redakcji identyfikację autora sprostowania. W tym przypadku ma to tym większe znaczenie, że list Pana przestany został do redakcji z wykorzystaniem adresu poczty należącego do innej osoby. Z tych wszystkich przyczyn, w oparciu o treść art. 33 ust. 1 pkt 1 w związku z art. 33 ust. 2 pkt 1, 3 i 5 ustawy – Prawo prasowe, zmuszony jestem odmówić uwzględnienia wniosku o sprostowanie rzekomych kłamstw i pomówień.

Z poważaniem

Dariusz Fedor
z-ca sekretarza redakcji

Cóż, „Wyborcza”, jak widać, jest sobą w pełni ukontentowana, skoro protest przeciw własnym błędom ozdabia słowem „rzekomy”, a sama nie umie odróżnić wyssanej, być może, z palca listy nazwisk, od listy podpisów pod listem. Pozostaje tylko pogratulować.

A cóż pozostaje Jackowi Kajtochowi?

Może rozsyłać protest po innych gazetach, ale mają one zdecydowanie mniejszy nakład niż „Wyborcza...” i zdecydowanie nie mają żad-

nego interesu w tym, aby w obronie emerytowanego polonisty narażać się „poprawnemu politycznie” monopolistom.

Może udać się do sądów, by uzyskać po jakichś 10 latach wyrok obligujący „Wyborczą...” do przeprosin, które zapewne wydrukowane będą na ostatniej stronie drobnym maczkiem. Pewniejsze jednak, że sam przeprosi i zapłaci, bo „Wyborcza...” ma na adwokatów, a on nie ma.

Może ewentualnie sprać redaktora Mancewicza łaską, ale wtedy pójdzie siedzieć, z powodu podanego powyżej.

Tak naprawdę, to może jedynie powtarzać słowa Pierwszej Osoby Prologu z „Kordiana”:

„A komu palec przekleństw na czoło położę, / Niech nosi znak na czole.... „ Istnieje interpretacja, że Osoba jest złośliwym portretem Mickiewicza, któremu Słowacki zarzucał, iż niesprawiedliwie niszczył go w oczach współczesnych.

Jacek Kajtoch Słowackim jako żywo nie jest, ale „Wyborcza...” bardzo pragnie zostać Mickiewiczem. Czyżby więc, po swoim najdłuższym życiu, Adam Michnik miał trafić na Wawel?

Wojciech Kajtoch

Druk: „Ulica Wszystkich Świętych. Miesięcznik Mail-Artu” (Lublin) nr 9 (63)
29.VIII.2004, s. 3-6.

*Z góry się przyznaję: Jacek Kajtoch to mój Ojciec. Być może to nie ja powinienem był opisać tę historię, ale innych chętnych nie widzę.

SPIS TREŚCI

WSPOMNIENIA

Czy zostałem tym, kim chciałem	7
Moi nauczyciele i... ..	47
Z moich szpargałów.....	67
Tego się nie zapomina.....	89
Czy coś po nas zostanie?	97

POLEMIKI

Na marginesie publicystyki p. Aleksandra Szumańskiego	103
Ostrzegam panów K.S. i A.S.....	113
Krajobraz po ataku	115

SUPLEMENT

„Doświadczyłem wielkiej klęski ideałów” Rozmowa z literatem dr Jackiem Kajtochem	131
Wojciech Kajtoch: Przygoda z „Wybiórczą...”	143

